



. 8. 21.



Interesa Familijne.

~~~~~  
POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

.....  
Tom III. i IV.  
.....

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha 1. 10.

1875.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



---

Nakładem Pillera i Gubrynowicza et Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.

## I.

Kasztelaniec, mimo wrznszeń dnia tego, w niczem przeciw ustanowionemu porządkowi nie zgrzeszył: cofnął się o swojej godzinie do sypialni, rozebrał, położył i kazał rozcierać; ale choć pracował nad uspokojeniem siebie, wrzawa niezwykła, wysiłek w rozmowie, jakieś wzruszenie mimowolnie doznane, które bardzo się zbliżało do utajonego gniewu, osłabiły go i widocznie znużyły nad miarę. Ku wieczorowi już, chociaż przy świecach nie bardzo kto mógł dostrzedz zmiany na twarzy jego, gospodarz znacznie podupadł. Świeżość pozorna i nadrobiona rzeźwość z którą wystąpił rano, opuściły go rychło, stał się ocieślały, postarzał w oczach. Jak gdyby tylko sztucznemu jakiemuś podtrzymującemu środkowi winien był trochę siły chwilowej, — starzec wszedłszy do sypialni już był zwiedłym i zużytym grzybem. Twarz jego naciągniona upadała w fałdy, częste ziewanie, zdradzało cierpienie nerwowe, wyraźniej jeszcze objawiające się dreszczem.

Powiódł okiem po pokoju i usiadłszy na krześle, w które ciało jego wpadło i osunęło się bezsilnie, wyciągnął rękę do stojącego tuż dzwonka. Na pierwszy słaby dźwięk jego, Termiński, po cichu, ostrożnie, jak wąż wsunął się do pokoju na palcach; doświadczenie bowiem nauczyło go, że trzeba było chodzić jak najostrożniej, gdy stary cierpiał cokolwiek, każdy szelest go niecierpliwiał. Wszedł kamerdyner, nie otwierając zda się drzwi, nie dotykając podłogi, nie czyniąc najmniejszego hałasu, rzekłbyś niecielesne jakieś zjawisko. Twarz jego tylko martwa zdradzała w tej chwili żywą, czującą istotę; baczne oko wyczytać na niej mogło ziemskie namiętności, podłość posunioną do najostatniejszego stopnia poniżenia, chciwość niecierpliwą i ciekawość gorącą.

Kasztelanie, z głową spuszczoną na piersi, nie patrząc na niego, podał mu obie ręce. To znaczyło że trzeba go było rozebrać. Trudno sobie wystawić jak wprawnie, jak cudownie prawie Terminiński zsunął z niego suknie, nie zdejmując go z krzesła, i uwolnił od wszystkiego co na sobie miał we dnie. Nie potrzebował on uawet zmienić pozycji i raz tylko uniesiony nieco na rękach sługi, znalazł się w szlafroku. Terminiński milczał i patrzył; cieszyło go to co widział i zgadywał — kochani krewni zmęczyli, znudzili, rozdrażnili starego... tego pragnął. Westchnął; było to preludium rozmowy.

— A! cóż to za dzień straszny! — odezwał się wpadając w pania i badając czy mu mówić pozwolą (głos jego nie raził ucha; zniżony był, jednostajny i płynął jak mruczenie niewinnego wiatru) — co to za najazd! jakie utrapienie! — O nas to mniejsza, mniejsza o wydatek — dodał — ale...

— Mniejsza Wasanu! odezwał się stary — ba! nie dziwię się, ale wieleż wydudlili?

— Około czterdziestu butelek, jeśli się nie mylę.

— A co zjedli! — mruknął Kasztelanie — tysiąc rzeczy przedziwnych, którobym ja był sam zjeść powinien... Strasburgski pasztet dobrze nadszarpany... uważałem.

— To prawda, ale to nic w porównaniu jak Jaśnie pana znudzili... Gdybym był mógł, tobym ich poprzepędzał.

— O! dobrzebyś zrobił — rzekł Kasztelanie — ale niechaj siedzą, niech jedzą... tyle tego...

Terminiński te wyrazy pamiętne usłyszawszy i zapisawszy sobie z radością, pochwycił i mówił dalej:

— Boć to Jaśnie panie, nie co innego jak ta obrzydła chciwość ich prowadzi... śni się im już sukcesja ale nie widzą kto z brzegu. Masz pan więcej sił od nich...

Kasztelanie się uśmiechnął.

— Sił! djabła tam... ale rozumu to pewna, bo ich gospodarnie używam.



— Otóż to jest — dodał Terminiński... toć to jedno. Ja z panną Anielą cały dzień tylkośmy przemyśleli nad Jaśnię panem, a gryźli się, że oni nam tak Jaśnię pana namęczą. Bo to nie darmo taki zjazd, to jakiś spisek.

— O! o! jaki dyplomata! — eicho rzekł stary.

Terminiński się uśmiechnął, i zawiązując głowę Kasztelanicowi, ciągnął dalej:

— Nie ręczę żeby to nie był spisek na życie...

— O! o!

— A cóż! myślą sobie, pan przywykł do spokojności, jak tak poczną utrudzać, to zamęczą.

— E! e! na taki wymysł machiawelski ich nie stało -- odparł Szambelan — wachali tylko czy trupem nie śmierdzieć; alem im pokazał, że nie jestem tak zgrzybiałym jak myślą... niech mi dadzą pokój!

— Ja i panna Aniela...

— A! a! czemuż to Aniela nie wyszła — zapytał stary chmurno — to kaprysy niepotrzebne... Lubie żeby ludzie widzieli, że mi przecież jeszcze i ładna kobietka nie obojętna... Anielą się przecież pochwalić można... niczego i znaleźć się umie.

— Ale bo Jaśnię pan nie wyobraża sobie — rzekł Terminiński — jak to jest kobieta wstydliva, skromna i łatwo się trwożąca; schowała się dziś aż za firanki, żeby jej nikt nie widział.

— Hm! — uśmiechnął się stary — myślałby kto Terminiński, żeście sobie słowo dali wzajemnie się wychwalać.

— Ja, Jaśnię panie! ja! — zawołał sługa — szczerze powiedziawszy, gdyby nie przywiązanie Jaśnię pana do niej, co mi ją szanować każe, nie bardzobym był za panną Anielą; wołałbym dla Jaśnię pana co młodszego, żywszego, bo to dla dojrzałego człowieka lepiej przypada! ale co prawda, to prawda; Aniela to rzadki klejnot, bo żeby się tak przywiązać...

— Oj! oj! do kogo?

— A! Jaśnię panie, to się już nie godzi.

— Ba! Jakiś ty dziś czuły Terminiński; co ci to jest?

Termiński zmieszał się, uciał i zamilkł.

— A no! gadaj bo — rzekł po chwili stary — mnie to nic nie szkodzi że bredzisz — lubię i przywykłem wieczorem słuchać twojego głosu, to mnie trochę usypia... gadaj! gadaj!

— Jaśnie pan znowu w żart obróci.

— No! to ci korona z głowy spadnie? — spytał stary szydersko... — Cóż tedy twoja pauna Aniela?

— Nic, tylko co prawda to prawda, że to najwierniej do pana przywiązana istota.

— Ha! naturalnie po tobie! — zaśmiał się Kasztelan — nie żałuj-że i sobie.

Termiński znów z tropu zbity stanął.

— Pan ciągle żartuje.

— Ale bo któż widział o sobie zapominać!

— To pewna, że i z tych krewnych, żaden lepiej pana od nas nie kocha — kończył zawsze cichutko kamerdyner... — ale gdyby mi było wolno szczerze mówić, panua Aniela, jeśli nie bardziej, to przynajmniej inaczej kocha pana, i zapewne po kobiecemu, więc gwałtowniej odemnie...

Kasztelanic stłumił uśmiech gorzki.

— W tem coś jest — rzekł do siebie — krewni napędzili im Piotra, już się powachali... Myśli mi ją swatać! o! jakież głupi! jaki głupi!

Głośno jednak nic nie rzekł stary, tylko stłumionym uśmiechem powitał pochwałę.

Termiński, widząc że mu się nie wiedzie, urwał i począł słać łóżko, z nieporównaną sztuką przebijając puchówki i poduszki tak, by najmniejszego nie zrobić hałasu, na chwilę nie zapomniał się i nie stąpił głośniej, a w pół kwadransa posłanie było gotowe. Natenczas ujął starego pod ręce i z lekka przesadził go na łóżko.

Stary długo zwykle usnąć nie mógł, było więc w porządku dniowym, że gdy się położył, Termiński przywoływał pannę Anielę, która siadała przy nogach jego, i siedziała dopóki sen nadchodzący nie zwołał znowu Termińskiego, mającego dopomódz uspieniu nacieraniem i łechtaniem. Łóżko starego sybaryty było

może najlepszym dowodem, że cały cel jego życia na wypieszczeniu ciała polegał... Było to stare, nadzwyczaj obszerne łoże, niskie, wiszące na pasach, które wyteżyć lub opuścić było można lekkim palca pociśnięciem; obszerny pawilon okrywał je do koła. Nie wielki stoliczek pod niem ukryty mieścił wodę i czego tylko mógł w nocy zażądać. Lampka za 'umbrellką paliła się w nogach, a dzwonka pas z kółkiem oszytem w sukno, ukryty był w posłaniu tak, że trąceniem nogi leżący mógł przywołać służbę. Ułożenie i kształty poduszek były budową ściśle obrachowaną i bardzo miśterną; pokrycie wreszcie z kilku oddzielnych składające się kap i kołder, tak urządzono, żeby je leżący mógł łatwo zastosować do stopnia ciepła, jakiego potrzebował. W głębi, w ścianie przy której stało łoże, długie, na pozór niepotrzebne, mieściło się zwierciadło.

Gdy stary utonął w puchu, a z pod kołder tylko blado-żółta głowa jego, straszliwa znużeniem, z obwisłą wargą, na wierzch się wydobyła, Terminiński otuliwszy go, wyszedł, i prawie w tejże chwili, drzwiami od swoich pokojów, wsunęła się na palcach Panna Aniela.

Rysy jej nie okazywały ani znużenia, ani wstrętu, ani żadnego silniejszego uczucia, tylko jakiś smutek przybrany po nich się rozlewał; strój miała na sobie wieczorny, wolny, obszerny, lekki, pokrywający zręczną jej kibić; głowa była odkryta i we włosy ubrana. Śmiało i bez wahania, wprost zbliżyła się do łóżka starca, którego oczy zabłyśły, i usiadła na niem, milcząca.

— A! musisz pan być okrutnie zmęczony — zaczęła po chwili dobierając także najłagodniejszego głosu — nie potrzeba panu czego?

— Nic, nic Anielusiu, tylko trochę się odegrzać patrząc na ciebie, popieścić z tobą... to mnie ukołysze i uspi. — To mówiąc tak okropnie uśmiechnął się, wyciągając swą białą rękę zimną i suchą, ku Anieli, że ta, gdyby nie siła jaką miała nad sobą, byłaby się cofnęła z przestachu i obrzydzenia... Uśmiech zmuszony nagroził ruch jej mimowolny, którego sta-

rzec nie postrzegł... wysunęła rękę i podała ją rozpustnikowi, który do ust ją przyciągnawszy pocałował.

O! gdybym mógł odmalować ten obrzydliwy całus trupa, w którym chorobliwy zawrzał płomień, — całus szatana, w którym nie było szalu miłości, ani jej wdzięku, tylko żądza piekielna, upojenie szkaradne, samolubne, ohydne... Od pierwszego pocałunku, tego nektaru boskiego poety, od tych dwóch lutni zgodnego dźwięku co się zlewa w jedną całość — do namiętnego dotknięcia co ma zmarłe zmysły rozbudzić, ileż to przejść musi człowiek stopni, nim tak spadnie, że w suchej łupinie szuka rozkoszy ostatka, wysysa próżno nektar co go upajał. Ten pocałunek sam już był grzechem.

Wzdrygnęła się wewnątrz kobieta, ale uśmiechnęła po wierzchu; westchnienie aktorki wyrwało się z jej ust, które obrzydliwość krzywiła a uśmiech pokrywał.

— O, jak mi pana było żal dzisiaj! — zawołała niby z uczuciem — ta zgraja, ten szum tyle ciekawych oczu... i to uczucie jakim napawać musiała chciwość dziedziców — znużyć pana i zniecierpliwic musiały okropnie.

— A! a! — kaszlnął stary — trochem się to ja zmęczył, ale wiecie jakiego doznałem najwięcej uczucia — rzekł pochylając się ku niej, tak że głową dotykał sukni.

— Jakiegoż proszę? o! to ciekawe.

— Uczucia zaspokojonej zemsty... wszystkich ich z kwitkiem odprawię, choć wszyscy pójdą z nadzieją. Uśmiechnąłem się im ślicznie... ale zjedzą djabła! — Stary zgrzytnął zębami. — Głupi! głupi!

Oczy mu błysły czemś piekielnem.

Aniela śmiechała się tylko; ta nowina tak dla niej była pożądaną! Jeśli oni szli z kwitkiem, ktoś przecie musiał z tego korzystać, czemu by nie ona?

— Zasłżyli bo na to natrętni ludzie — dodała — to wyraźny spisek!

— O! spisek i ślicznie im się udał... Piotruś niewinny robaczek — szydził Szambelan — podjął się wi-

dzę parlamentować... Doskonale! Chce mnie nawrócić; jaż tak bardzo jestem pobożny do ślicznych oczek Anieli! Głupcy! głupcy! — powtarzał z cicha ze złością.

— I z ką im ta śmiałość wdzierać się w cudze sprawy?

— A zachciałaś pauno Anielo — pieniądze zawsze cudów dokazują, gdy się ich bardzo zechce; każdy myśli o nawracaniu, sądząc, że może pobożny pokutnik przez wdzięczność zapisze co apostołowi! podli! podli!

— Co za nikczemność!

— Dość tego — urwał stary — dość — mówmy o czem weselszem. Czemuś to nie przysłała do stołu?

Aniela zarumieniała się nagle jak piętnasto-letnie dziewczę, co jej jeszcze dosyć łatwo przychodziło w potrzebie; spojrzała błagająco na starca i ciszej szepnęła:

— A Panie! możnaż po mnie tego wymagać... w tym tłumie! Myślisz pan, że ta biedna sierota, dlatego żeś ją kupił, już ci i wstyd sprzedała, i niema czucia, nie zna swego położenia! A któż wie serca ludzkie! w najzepsutszem jest może iskra z której coś dobrego rozpaść się może... Myślisz pan, że Aniela jest ostatnią z ostatnich... mylisz się... Przywiązałam się do ciebie serdecznie, namiętnie, boś ty był pierwszym coś mnie przygarnął, alem ci nie poświęciła reszty wstydn...

— Pierwszym? — podchwycił ironicznie nieporuszony, nielitościwy Kasztelaniec.

Aniela porwała się: — Wątpisz pan o tem?

— Siadaj-no tylko i oddaj rękę; niech będzie że nie wątpię, ale co się tyczy namiętności, przywiązania!

— Myślisz pan, że bez niej wytrwałabym w tem położeniu, spodleniu, gdy wszędzie tyle a może więcej znalazłabym co tutaj?

Stary zamyślił się, zdawał się na wpół wierzyć, na wpół rachować. Aniela sądziła, że go już dotknęła — raptem parsknął śmiechem.

— Anielko kochanie — rzekł — przysuń się no bliżej, a mów ciszej... Kiedy mnie tak namiętnie kochasz, to dobrze, rywalki nie znajdziesz... masz mnie całego, wszystkie kości i trochę skóry.

Ta okropna odpowiedź zmieszła na chwilę kobietę, ale z przytomnością niezwykłą grała dalej rolę swoją, z westchnieniem podniosła oczy na starca i odezwała powolnie:

— Ludzie są niewdzięczni! o! niewdzięczni, nie wierzą przywiązaniu, nie wierzą sercu, wszędzie szukają interesu...

— Bo wszędzie jest interes tylko, otwarcie lub skrycie, — odpowiedział Kasztelaniec — nie wierzą przywiązaniu, bo każde przywiązanie zdradza, nie wierzą sercu, bo serce to kawałek mięsa przez które się krew sączy... nie wierzą, bo kłamstwo jest wszędzie.

— Kłamstwo prędzej czy później daje się poznać — odpowiedziała kobieta — a nie wszystko, o! nie wszystko kłamie. Pan należysz do tych ludzi, których świat okrutnie doświadczyć musiał, gdy wszelką im odebrał wiarę — to okropne!

Kasztelaniec skrzywił się boleśnie, rozpaczliwie prawie, oko mu błysło zapalone, ale rychło poskromił wzruszenie i dodał:

— To trudno! trzeba mnie przyjąć jakim jestem, bo innym nie będę.

— Ale co za męka dla tych, którzy go prawdziwie kochają!

— Niech nie kochają! — zaśmiał się starzec.

— Jako? — spytała Aniela.

— Niech tylko udają kochanie, to daleko taniej ich kosztować będzie, niech robią co ja chcę, i nie krzywią mi się pod nosem... a zresztą to mi wszystko jedno...

Aniela z przestrachem prawie spojrzała na tego trupa, który przy niej leżał, i zamilkła ulegając chładowi wiejącemu z ust jego. Nie odstępowała jednak od myśli raz powziętej: znać było w jej zaciśnionych ustach, w rzucie oka byстрыm i śmiałym, że spodziewała się przemódz Kasztelanica i przebojem wejść do zamkniętego serca, które starość bezsilna otworzyć jej miała. Uchyłmy ten obraz szkaradny, którego nie bez wstępu skreślić byliśmy zmuszeni.

---



## II.

Znijdziem teraz w jaśniejszy wejrzeć kątek, na uśmiechnięte, spokojne w Horoszkach ustronie, na dziedzińczyk i ogródek Hieronimowstwa, gdzie pocziwa praca słodzi sobie znój rezygnacją i nadzieją w Bogu. Tu kilka dni różowych, pamiętnych, spływały Stasiowi, zdaleka jak na obrazek cudowny spoglądającemu na Zosię. Staś, jak każdy prawdziwie rozkochany, zostałby na nią patrzeć tylko, nie śmiejąc, nie myśląc się nawet przybliżać.

Ta pierwsza miłość jego życia była jeszcze prawdziwą, anielską, niewinną, sielankową, z której niestety! śmieją się później często ci co nań nią płakali. Biedne i rozkoszne życia chwile! ich przeznaczeniem otworzyć serce człowieka, podnieść go, uszlachetnić, zbohaterować rzucić w świat ideałów; tej chwili owocem często bywa żywot cały, z niej się rodzą poeci, rycerze, artyści, z niej także wylęgają się podli i nikczemni. Jest to szal porankowy ze snu nicości budzącego się człowieka, który marzy rozkosznie, by otrzeźwiony później snom się swoim uragał. Ale wartaż jawa późniejsza tych marzeń pierwocin?

Staś był niezepsutem dzieckiem; pierwsze w nim serca rozbudzenie było popędem szlachetnym, poetycznym, uczyniło go natchnionym, podniosło w świat nieznany. Unikał jednak wylania się ze swem uczuciem na zewnątrz, bo instynkt szlachetny nie dozwalał mu objawić tego, czego trwania i siły nie był pewnym. Domyślał się, że miłość wypróbować się powinna, nim będzie miała prawo odezwać się za sobą.

Ale tyle jest rozkoszy w sercu młodziana, zajętem, oblanem tem uczuciem, tak ono ze wszystkimi męczarniami wystarcza samo sobie! tak w myślach i dumach płyną chwile uroczu, strzelisto!!.... Staś chodził na polowania z Hieronimem, latał po polach niby się ucząc gospodarki i herboryzując, wieczorem dopiero

najczęściej powracał do ubogiego domku, i tu chwil kilka szybko ulatujących spędzał z przelektą, strwożoną a wzruszoną Zosią. Krótkie to były chwile, ale mgnienie jedno oka na tak długo nasycę tę miłość, co z drobnego ziaruka umie wysnuć światy! Dość mu było spojrzenia, słówka, ruchu, jednego nic, by tem niczem wyżyć, by sobie z tych niców, jak ptaszę, co gniazdko z puchów buduje, zlepić cały gmach wspomnień i szczęścia.

Piękna-bo piękna jest niepokalana młodość, gdy z nią, z tym skarbem Bożej ręki, wychodzi na świat człowiek, którego dziewictwa nie skaził oddech zatruty, nie zbrukało dotknięcie starych i zamarzłych ludzi; — piękna i wielka i silna jest młodość, a żaden wiek jej potędze nie zrówna. Oziąca, zolbrzymia wszystko czego dotknie, tworzy z niczego, kruszy rzeczywistość twardą, tratuje nogami zwyciężoną, podściela ją i depcze.... a na jej gruzach piętrzy złote stropy swoje, i aniołami zaludnia.

Mój Boże! mój Boże! dla czego nie ma dwóch młodości przynajmniej, na początku i na życia końcu. Jakby po ciężkiej próbie środka żywota człek spieszył do jego ostatka, jakby się ochłodził w tej kąpieli, jakby orzeźwił do niebios!... A! ale jakby mu stokroć ciężiej umierać było! Prawda! prawda! nie trzeba nam dwóch młodości na szczęście dość miejsca w jednej, na zaludnienie wspomnieniami wystarcza, a gdy się zakrwawi, i tej jednej odboleć trudno!

Staś i Zosia byli, rzec można, ideałem dziewiczej pary; oboje tak czyści, oboje tak piękni, tak od pierwszego wejrzenia należeli do siebie, że choć Zosia ani wiedziała w prostocie ducha że kocha, już jej myśl rozstania jak całun czarny migiała przed oczyma.

I pocieszała się powtarzając sobie:

— Zobaczę go znowu! — Ale sama nie wierzyła swym słowom i lzy płynęły po jej twarzyczce.

Były w tych trzech dniach, jak w życiu każdego człowieka, długie godziny, ale dni piorunem minęły; zadrzał Staś, przypomniawszy że ojciec ma wrócić co chwila.



Zosia krzątała się jak zawsze przy pracy, w milczeniu, z tym uśmiechem pół smutku, pół wesela, który jest kwiatem cnoty niewieściej, który zamyka w sobie rezygnację, nadzieję, spokój i miłość. Cały jej dzień upływał na modlitwie i pracy co za modlitwą stała. Wyrećzała matkę, oszczędzała kłopotu ojcu; a odpoczynkiem była jej przelotna chwila, w której klękała przed ukrzyżowanym. Teraz jednak praca i modlitwa nie potrafiły zająć ją całą, stawiała często zamyśloną i pytała się siebie z niejakim przestрахem: Co to się stało, że serce jej biło, że nie tak była spokojną, nie tak jak dawniej wesołą? Nie śmiała zapytać matki, a nie pojmowała co się z nią działo...

Ani Staś do niej, ani ona nie śmiała się zbliżyć do niego — szukali się oczyma, witali skinieniem, rozumieli milczący... Staś przy niej był wesoły, rozmowny i widocznie usiłował się podobać, choć ta zalotność, na którą się składały miłość i miłość własna, nie na wiele była przydatną. To już pierwsze wejście zrobiło wszystko.

W domu nikt nie postrzegł skłonności dwojga młodych, Hieronim nie miał czasu myśleć o tem, matka nie mogła nic podobnego przypuścić.

Ale nigdzie jak u państwa Pawłów pobyt Stasia nie zrobił większego wrażenia. Jak się tylko dowiedzieli że miał pozostać (bo wiedzieli wszystko zawsze) osnuły się różne projekta. Julja chciała pociągnąć ku sobie młodzieńca i zwabić go do Petry — Petra nie zdawała się temu przeciwną, a przyjemna i wymowna panna Hiacynta podawała środki ku temu.

Ale dzień upływał, a Stasia ani złapać, użyto podstępów i otwartych zaprosin, od których wyłamać się nie mogąc, poszedł Staś markotny, zabawił chwilę, udał ból głowy i uciekł.

Julja, która nie wierzyła w bole głowy w ogólności, a szczególnie w bole głów młodych, chyba po dowiedzeniu uderzeniu o ścianę z towarzyszeniem dobitnego słońca — znaczącego zrobiła marsa. Hiacynta milczała, Petra się dąsała, ale Staś tymczasem uciekł. Szpiegi

donieśli, że wesoło potem wiódł w ganku rozmowę z państwem Hieronimostwem i Zosią; Julja zagryzła usta i zapłonila się od gniewu.

— Co on tam robić może? — zawołała przy córce — chyba chłopczyk rozumny, bałamuci tę kluczniczkę Zosię! Rozumiem! myśli że to nic za sobą nie ciągnie! I w duchu dodała: — Głupi, co mu to z tego przyjdzie! nie sądziłam by do tego był skłonny; tak na pozór zimny! — Potem skończyła głośno:

— Trzebaby jeszcze spróbować!

Ale wszystkie próby były nadaremne; wychodzono na przechadzki umyślnie by się spotkać ze Stasiem, dla miłości jego zbliżono się nawet do Hieronimostwa, zapraszano ich — wszystko się nie udawało. Julja byłaby się wściekała z gniewu gdyby jej do ostatka nie podtrzymawała nadzieja, która nareszcie zupełnie zawiodła. Zachowała ją jednak choć zwiędła i zeschła na później.

Tych dni kilka miały w sercu Stasia pozostać pamiętnymi na zawsze — były to dni nroczyste, dni święte jego życia. Takich kilka ma z nas każdy; przeżył je najuboższy i schował do podróżnej sakwy pielgrzyma, schował żywymi kwiaty; by je wyjąć później zeschłą trawą.

Ostatniego wieczora, niewiem jakim przypadkiem, dwoje dzieci pozostali sami w ganku; Hieronim na chwilę odszedł, Hieronimowa z okna przez które patrzała usunęła się, wywołana przez swoich chłopców. Staś stał oparty o słup ganku i wlepił wymowne oczy w Zosię — Zosia nieśmiała uciec, choć wielką miała ochotę, bo jako gospodyni bawiła gościa — ale rumieniec żywy pokrył jej śliczną twarzyczkę aniołka i wejrzenie zażawione upadło ze strachem na ziemię; tak obawiało się wygadać z wielką tajemnicą, tak było pewne, że mówić musi.

Stała zmieszana, skłopotana przebierając w rękę nieodstępne kluczyki i różowymi paluszkami wiążąc i rozwiązując ich węzeł. Śliczna tak była w jasnej swej sukience, która osłaniała jej kibić i wyrażała ją liniami dziwnej prostoty, przypominającemi Flaxmannowskie rysunki do poezji Hezjoda. Karczek jej biały

wygiął się jak szyja łabędzia, krew oblewała twarzyczkę, czoło i ramiona; drżała cała, a usta nieme uśmiechały się z przywyknienia do łagodnego uśmiechu, bo w sercu była nieopisana trwoga.

Staś, śmielszy myślą choć sercem tchórz jak ona, wybierał się coś powiedzieć wielkiego, czulego, pięknego i słowa zdawały mu się jak farby malarzowi, który spojrział na słońce. Słońcem jego było własne serce i przy jego uczuciu bladły wyrazy, czerniały myśli i rozsypywały się w proch.

Nareszcie gdy szelest wewnątrz domu nastraszył go przerwaniem tej chwili nieopłaconej, serce zabiło gwałtowniej i otworzyło usta.

— Kochana moja kuzynko — rzekł wzdychając — wszak to mój ojciec dziś pewnie nadjedzie; nie uwierzysz jak mi żal będzie ciche Horoszkę porzucić! tak mi tu z wami było dobrze, tak miło!

— A! mój Boże! — odezwała się Zosia nieśmiało, na cóż mówić te grzeczności, czyż my nie wiemy, że tam kuzynkowie lepiej w domu; bo tam mama i siostry...

— Ale nigdzie, nigdzie, proszę wierzyć, nie było i nie będzie mi lepiej jak tutaj!

— Bo pan Stanisław grzeczny! — odezwała się Zosia po cichu.

— Ja! ale ja wcale nie jestem grzeczny — żywo odparł Staś — dałem tego dowody u państwa Pawłów, można mi tedy wierzyć. To nie prosta grzeczność, to wyraz uczucia.

— Doprawdy! cóż panu odpowiem za nas wszystkich, chyba podziękuję tylko.

— O! nie! nie, proszę mi powiedzieć, że Staś pojechawszy przypomni się kiedy, że nie będzie jak pospolity gość, o którym ledwie odjechał zapomina się jutro.... bo ja... nigdy tych kilku dni nie zapomnę.

— Ale i my i my! — odpowiedziała Zosia (instynktem my, mówiąc zamiast ja wyraźniejszego). My mówiło w potrzebie za wszystkich, a ja znaczyć miało dla Stasia.

— Hieronim, bratowa i ty kuzyneczko — i ty? podchwycił Staś zbliżając się nieco.

— I ja! i ja! — naiwnie ale ciszej odpowiedziała mu podnosząc oczy.

O! w oczach całe jest życie! Usta je wyrzec mogą, piersi wyrazić westchnieniem, ale co usta, co piersi przy wzroku, tym promieniu wewnętrznego światła, który wprost płynie z serca! Wzrok jest światłem duszy... to emanacja samego żywota. Wzrok mają tylko ludzie — zwierzęta widzą, patrzeć my umiemy tylko. O ile mowa nasza przewyższa głos niemy zwierzęcia, o tyle wzrok nasz góruje nad zwierzęcem wejrzeniem. Tam jest tylko namiętność, u nas gra myśl sama

Zosia spojrzała i nie mówili już więcej.

Staś cicho tylko szepnął jej jeszcze:

— A więc, mam drogą obietnicę że o mnie nie zapomnisz?

Ona nic już nie odpowiedziała, nie mogła, głos zawiązał w piersi... weszła matka.

Staś zasiadł na ławce dumać, bo Zosia szybko znikła z ganku. — Zestarzał, w chwili tak gorąco patrzył w przyszłość, w której obok siebie chciał widzieć Zosię. Widzieć go tak srodze zadumanym, jak tylko młody i starzec dumać umieją, jeden, że chce życie zwyciężyć, drugi, że myślą tylko żyje już cały — usunęła się dyskretnie pani Hieronimowa, a młody chłopiec został sam z sobą.

— O! ja ją kocham na wieki! — zawołał w myśli. — Czuję że to nie chwilowy szal, że to coś, co musi być wiecznem. Bez niej nie rozumiem życia; ona będzie moją! Ale wieki, wieki czekać mi na to potrzeba... A! będę czekał! A ona? — Tu się zatrzymał. — I ona czekać mnie będzie! — rzekł w pierwszej chwili, ale rozważa smutniejsze mu przyniosła przypuszczenia. — Ona! tak śliczna, tak niewinna, tak dobra i pracowita! ją pochwycę, ledwie dojrzewającą ktoś porwie przedemną. Powiedziałbym ojcu — nie! ojciec mój śmiać się będzie; poczekam jeszcze, nie mam dziś prawa odezwać się; później nie będę się tail.

I bił się z myślami, aż ostatnia zabłysła mu różowa, jasna, szczęśliwa.

Klasnął w ręce i poskoczył z ławki.

— Ja jadę za granicę, więc mnie nikt nie posadzi żebym to robił dla siebie. Czyżby rodzice nie mogli wziąć Zosi do sióstr moich? Oneby ją uczyły, oneby jej dały z serdeczną radością wszystko, czego w oczach ludzi braknąć jej może. Ja ją tak kocham jak ona dziś jest, ja ją tak wolę... to ideał raju, to Ewa nim się waż ukazał, Ewa Miliona, spiąca snem niewinności, dzieło czyste Bożej ręki, co dopiero oczy otwierać poczyna ku światłu dziennemu, techną jeszcze Stwórcą, z którego wyszła dłoni... Ale potrzeba, by nikt nie miał prawa powiedzieć jej: — Tyś niższa odemnie w czemkolwiek. Trzeba tego aniołka oprawić w złote ramki, w których mu będzie tak ciasno! Rodzice moi wziąćby ją mogli — powiem o tem ojcu, on to zrobi! To myśl jedyna, wybrana, złota! pocałowałbym siebie za nią gdybym mógł.

I poskoczył do góry, jak student wypuszczony z ławki szkolnej, gdy pan Hieronim ukazał się z uśmiechem na ustach.

— Co to ci Stasiu?

— A! nie! krew mną rzuciła! — rzekł rumieniąc się młody chłopak.

— Jak to? tak po dniu cię rzuca? — rozśmiał się starszy.

— Bywa to! czasem w miejscu ustać nie mogę i tak mnie coś świerzbi w pięty, że muszę poskoczyć. Zdaje mi się nawet że taniec musieli wynaleźć tacy, jak ja młokosy, w celu ukrycia podobnych mimowolnych rzutów.

Hieronim rozśmiał się z tej nakręconej teorii; usiedli, w tem — o cudo! Hieronim aż zdretniał prawie: w dziedzińcu ukazała się cała czereda Pawków, wprost i najwyraźniej dążąca ku dworkowi, którego od dawna nie odwiedzała. Gospodarz patrzył i oczom swoim nie wierzył, powstał i polecał po żonę.

Staś odwrócił się i skrzywił — pani Pawłowa mocno wysznurowana, Petra z minką kwaskowatą i Hiacynta, wyczupurzona i oblana wonnościami, nabalsamowana cała — zwolna zbliżały się ku gankowi. Przestraszeni i zdumieni tą wizytą tak niespodziewaną, Hieronimowie oboje czekali na nią z należną gościnnością w progu, podeszli nawet, by uczyć bratową, która z wyrazem źle ukrytej niechęci i wyższości, zbliżała się ku nim.

— Przyszliśmy bratową — (ten wyraz Julja wymówiła cichuteńko) — odwiedzić. Dobry wieczór! Nasz gość — dodała z przyciskiem — tak o nas zapomina, że my sami go szukać musimy.

Staś nisko i arcy-poważnie się uklonił.

Hiacynta dodała:

— Jakże panu w tej sielskiej zaciszy?

— Co pani? — spytał młody chłopiec otwierając oczy ogromne i udając że nie rozumie, lub może niezrozumiawszy w istocie.

— Jak pan się czuje w tej sielskiej zaciszy? — powtórzyła pańska Hiacynta, z uśmiechem któryby szatana odstraszył.

— Ja! a! nadzwyczaj szczęśliwym! — żywo odpowiedział młody chłopiec.

— A! nawet, szczęśliwym! — z przekąsem przerwała Julja, siadając w ganku choć ją usilnie proszono do pokoju — ten wyraz mówi wiele...

— W mojem przekonaniu tylko to co powinien.

— Może więcej niż powinienby mówić! bo się nie wszystko mówi! — rzekła znów Julja szydersko prawie.

— Owszem pani — płomieniem oblany rzekł Staś — wszystko się mówi, gdy się nic złego nie myśli.

Odpowiedź była niezmiernie ostra, ale uleciała niezrozumiana, i rozmowa zerwana umyślnie, poczęła się w inny sposób.

— Pan na nas nie łaskaw — mówiła Julja — a podobno już powrót papy bliski; nie będziemyż więc i my mieli szczęścia pocieszyć się bliższą jego znajomością?



— O! bo Staś — przerwał łagodząc Hieronim — najbliższą znajomość zabiera z zajęcami w polu, i kwiatkami, które zbiera i suszy.

— Jakto? przerwała Hiacynta — pan dla ulgi cierpiącej ludzkości... zbierasz i suszysz zioła?

— Nie ze wszystkiem — odpowiedział uśmiechając się Staś — bo rumianku i mięty nie suszę, ale bawie się herboryzacją... to jest nauką o roślinach.

— Wdzięczne to, urocze zajęcie! odparła panna, czując się poniekąd obowiązana do utrzymania rozmowy gdyż się miała za najmądrszą z całego grona — zajęcie tak stosowne dla młodości, która jest sama kwiatem!

— Znałem profesora bardzo okularowego, który mu się z zapalem oddawał — rzekł Staś oburzony, że go spychają do kurteczki i krezki, z której dawno wyszedł.

— Tak? ale jestli co wdzięczniejszego — rzekła panna nie dając się zbić — nad to połączenie młodości z kwiatami? Jedno tak do drugiego podobne!

— W istocie — podchwycił Staś — oboje wędnieją tak prędko!

Nie było to bez intencji, ale intencja poszła nie-schwycona w morze zapomnienia, a panna Hiacynta zwiędnięcia nie biorąc do siebie, mówiła dalej:

— Myśl trafna; zapiszę ją w sztambuchu swoim, w którym notuję wszystko co posłyszę pięknego. — Tę zdobycz będę panu winna.

— A! pani! — zawolał Staś — proszę na mój karb nie kłaść tej myśli, bobym mógł uchodzić za złodzieja. Jest to myśl, którą przynajmniej tysiąc pisarzy ukradło u tysiąca innych, a pierwszym jej autorem musiał być nierzawodnie stary Adam, jeśli w jesieni kiedy zebrało mu się na zły humor....

Wszyscy się zrozumieli, Julja tylko nie, bo była nie rada kierunkowi rozmowy już odbiegającej od obecnych spraw i teraźniejszości, w której kółku lubiła ją trzymać.

— Co tam państwo mówicie o kwiatkach — poczęła — mówcie lepiej o ludziach. Jakże się wieś podoba panu i nasze proste życie?

— Pani wie że i ja jestem wieśniak!

— Ale nie, tyle lat spędziłeś pan w mieście!

— Tęskniac za wsią.

— Ale tu — z przyciskiem dodała Julia — jesteś pan już w sercu wsi; jest to co najbardziej być może wiejskiego.

— W sercu wsi! — szepnęła Hiacynta — co za wyrażenie szczęśliwe!

— O! o! i serce wsi bardzo mi się podobało! — odpowiedział Staś.

— A pan się nie znudził bez fortepiana, książek, muzyki i tańców?

— Tańców zupełnie nie lubię, książki mam z sobą, a bez fortepiana przywykłem się często obchodzić. W dodatku miałem strzelbę i ciągle tak mile towarzystwo.

— Aleś pan z niego mało korzystał, kiedy jak pan Hieronim powiada, kwiatki i zające składały zwyczajną jego kompanię.

— Kwiatki i zające były tylko rozrywką, boć bym przez te trzy dni i państwa zanudził, siedząc im ciągle na głowie.

— Na głowie! — pomyślała Hiacynta — to wyrażenie nieszlachetne, obraz nieprzyzwoity nawet! Brak wychowania widoczny!

— My się na to przynajmniej skarżyć nie możemy — rzekła Julia z przekąsem.

Staś spuścił oczy, uczuł się winnym, udał nawet że niedosłyszał; w tem zaturkotało opodal na drodze, wszyscy zwrócili oczy, ujrzano szybko ku dworowi Pawłów jadącą znajomą nejtyczankę żółtą gospodarza, a na niej rozparty, a raczej w pół leżący jechał spieszenie mąż Julji. Przejeżdżając mimo pokornego dworku Hieronimów, spojrzął i z podziwieniem poznał w ganku żonę, córkę i Hiacyntę. Widok to był dla niego zdumiewający; zdało mu się w początku, że się omylił, przetarł oczy, kazał jechać powolniej, nareszcie nie-



mogąc wytrwać, stanął przed bramą i pieszo wszedł w dziedzińczyk. Oczywiście nie zwodziły: żona, córka, były u Hieronimów. — Cóż się to stało? — pomyślał — one co tak ich nie cierpią serdecznie... to coś doprawdy dziwnego... Ale ba! — dodał w myśli — tam jest Staś! rozumiem wszystko. — Kuta baba! — powtarzał w duchu, ciesząc się przebiegłością żony.

W tej chwili jednak kuta baba nie w swoim była humorze, powitała męża zimno, Staś, któremu Paweł zwiastował powrót ojca, także smutno bardzo nań spojrział i westchnął po cichu, reszta towarzystwa przyjęła go ceremonialnie.

— A ojciec mój? — spytał nieśmiało Stanisław.

— Dziś tu będzie niezawodnie! — odparł pan Paweł.

Zły humor gościa nie uszedł wprawnego oka Julji; powstała żywo, pożegnała skinieniem głowy gogardliwem przytomnych i pospieszyła z mężem do domu.

---

### III.

Dziwnie słabi są ludzie; miłość własna tyle ma władzy nad niemi, że często najrozumniejszym odbiera moc zdrowego sądu o uczynkach i tem co się ich samych dotyczy. O drugich wyrokuja trafnie, o ich obrotach umieją wyrzec zimno i sprawiedliwie; gdy przyjdzie do siebie samych, mylą się najzupełniej, a jeśli sumienie podpowie im szczerą prawdę, to miłość własna tyle ma do zarzucenia, tak uśmierza i łagodzi wyraz sumienia, że w końcu przerobi go na swoje kopyto. Nigdy może w znacznej gromadce ludzi różnych, ta prawda tak jasno na wierzch nie wyszła, jak teraz, gdy się wszyscy poczęli ze Strumienia rozjeżdżać. Przyjął ich wszystkich zarówno grzecznie, uprzejmie, dworacko Kasztelan; dla każdego znalazł słówko pochlebne, każdemu coś powiedział miłego, nikomu je-

dnak wyraźnego nie okazał pierwszeństwa. A choć się żaden z tego nie chwalił, wszyscy, każdy z osobna, wywieźli to pocieszające przekonanie, że Kasztelanica szczególnie łaskawe zwrócił na nich oko. Nawet najrozsądniejsi od tego uprzedzenia nie byli wolni, tak stary dworak umiał ich omamić przemawiając do wszechwładnej miłości własnej. Jeden tylko Dziadunio, którego przecież Kasztelanica ze szczególnym przyjmował szacunkiem, rubaszenie mu ciągle odpowiadał, nie dał się ugłaskać i założył do wózka starą szkapę, jasno widząc, że się te wszystkie zabiegi na nic nie przydadzą. Ale Dziadunio znowu był z tych ludzi, którzy z obawy, by nie widzieli rzeczy zbyt dobrze, zawsze je widzą nadto czarno. Dziadunio znał ludzi i tak się lękał fałszu, tak kochał prawdę, że ją nawet samemu sobie umiał w potrzebie powiedzieć, co najrzadsza. Wielu drugim powie surowo cp im należy, ale nie sobie. Dziadunio właśnie był jednym z tych rzadkich ludzi, co z sobą samymi nie wchodzą w kompromisa i sądzą się bez litości. On też jeden wyjechał ze Strumienia, widząc jasno jak szły rzeczy i nie uwodząc się wcale. Resztą: pobywwszy z sobą na osobności, rozmyśliwszy się o przyjęciu, rozważywszy każde słowo Kasztelanica i stosunek jego do siebie, najdziwniej się łudziła.

Najrozsądniejszy pan Piotr, uległ także tej zarazie i wyjeżdżając tak mówił do siebie: — Biedny Samuel zbyt czarno go sobie maluje; zresztą i to prawda, że nie przed każdym człowiek się gotów odkryć. Czulem jednak, że co mi mówił, szczerze, z serca... Widzę i ledwie nie boleję nad tem, że ten człowiek wyraźnie ma szczególną do mnie sympatię... dlatego nikomu jeno mnie się zwierzył ze swoich cierpień dusznych. Mam jakiś wpływ na niego... Boję się, by w swym testamentie nadto nie pomyślał o mnie... byłoby to prawdziwe nieszczęście, bo nie chciałbym skrzywdzić familji... Nie mylę się, szczególniejszy widziałem pociąg jego ku mnie... a jak to przyszło nagle, niespodzianie! Biedne człeczysko, nie miał może dotąd nikogo, przed

kimby się odważył wypowiadać z prawdą, ku której serce go pociąga...

I pan Piotr mówił sobie dalej:

— Nie mogę tych stosunków przerywać; może też będę tak szczęśliwy, że go całkowicie nawrócę, że wesprę i uwolnię od tej zgrai pijawek co go otacza... Poznał się na mojem sercu! Biedny człowiek! Żał mi go szczerze! co wiek zepsuł, serce naprawić może.

Ten sam temat z różnemi warzającami obrabiali niemal wszyscy wyjeżdżający ze Strumienia, każdy po swojemu.

August Pobiałą uśmiechał się w głębi kocza i marzył także:

— To człowiek dobrego towarzystwa, znać na nim że bywał na dworach, otarty... Pojeliśmy się oba zrozumieli zaraz; uważałem jak za każdym daniem zwracał się do mnie, niby mego zdania żądając o potrawach. Miły, wcale miły starzec, trochę zepsuty! no! wiek XVIII. zafarbował go i coś dziwnego. Dwór Stanisławowski, Warszawa, Francja, jak go Niemialy podpsnąć? Zdaje mi się, że ze wszystkich na mnie szczególnie uważał. U stołu ciągle był do mnie zwrócony, pytał, rozpytywał o familję, zagadywał kilka razy, ciągał... Prawdziwie śmiesznieby było, żeby mi go tak sobie wejrzeniem, magnetycznie pozyskał... ale to mi się już trafiało. A! a! nie gniewałbym się! choć familja naturalnieby krzyczała. Juściż jeśli ma komu obojętnemu zostawić, lepiej żeby krewnemu zapisał... Wybierz kogoś, z kim sympatyzuje! Człowiek z gustem!

Pan Tomasz, który jechał obok, trochę rachował na swój dowcip.

— Nie mam wątpliwości — mówił — żem się staremu podobał. Śmiał się aż za boki biorąc z każdego konceptu, mrugał na mnie stary filut! A! a! i sam nie głupi, jeszcze ostry dowcipiek w nim, jest! Żał mi moich braci, że go sobie pozyskać nie umieli, ale widzę że z nas trzech, najwięcej szansy dla mnie. Ha! ha! gdyby mi zapisał wszystko toć i to dla nich! Ożenić

się już nie ożenię... (westchnął czegoś) alebym trochę pohulał, a reszta dla Augusta i Józefa.

Józef też choć gderliwy, choć kaszlący i milczący, miał pretensyjkę do podobania się.

— Magnat! — mówił jadąc i klnąc trzęską drogę — magnat co się zowie, ale zbyt już hula! Jest tam nieco rachunku i widać ład, ale po co dla swoich, dla familji ten występ? Liczyłem butelki szampana, wypili kilkadziesiąt, minimum tysiączek złotych, a rocznego procentu złotych pięćdziesiąt! Ale dobry człęk, i choć tak występuje czasem, jednak ostro się słyszę trzymać z pieniędzmi... Jest ład! jest! Szczególna rzecz, ale my we dwóch zgodzilibyśmy się najlepiej, uważałem to z jego mowy: lubi porządek i oszczędność. Jakiem mu mówił o mojem gospodarstwie, to mu się oczy świeciły. Żeby tak mnie zapisał Strumień zobaczyłby co bym z niego w lat dziesięć zrobił, i ileby kapitału leżało. A! a! myślę, kto wie! gotów to zrobić, bośmy się coś bardzo pokochali.

Pan Antoni także na wózku jadąc śpiewał piosnkę podobną.

— E! e! nie tak czarny djabeł jak go malują. Kasztelanica ma serce, ma... kto go nie wart nie zobaczy; ale zemną był, już się poskarżyć nie mogę, prawdziwie serdecznie; nawet mi delikatnie dał do zrozumienia, że mnie nad innych preferuje. Byłaby finfa Samnelkowi tego, żeby nam wszystko wałnął! Ale ba! krzywdy jego nie chcę, dałbym mu część... część pewną... tak... jakąś cząstkę, na złagodzenie bólu, reszta dzieciom. Ale bym im jeszcze pogospodarował na większem i pokazał co umiem. Daj mu Boże zdrowie, Kasztelanicowi, ale to człowiek co się na ludziach zna! ba! ba!

Nie będziemy powtarzali reszty tych piosnek, które zresztą nadzwyczaj grzeczne i układne przyjęcie Kasztelanica wywołało — wszystkie tym były podobne, wszyscy, aż do Sobockiego, który posadzał Kasztelanica, że na żonę jego rzucił nie obojętnem okiem — łudzili się nadziejami, bawili orzechami pustemi.

Skutkiem tego było, że wszyscy po odwiedzinach

pamiętnych, poczęli przemyślać, jakby utrzymać i powiększyć pozyskany sentyment Kasztelanica i afekt jego tem sobie pomnożyć. Łamali głowę czemuby przypodobać się mogli, i każdy wedle usposobienia, usiłował przypominać się jakimś datkiem lub posługą. Kasztelanic niczego się bardziej nie lękał, niczem bardziej nie brzydził, jak listami, na które odpisywać musiał, przerywającemi spokojny i uregulowany byt jego. Gdy zaraz potem zaczęły płynąć sarny, szczupaki. owoce, przysmaki i podarki różne od krewnych, a za każdy dziękować przyszło, a każdemu coś odpisać, stary o mało się nie wściekł. Zważywszy jednak, że gniew i zniecierpliwienie niebezpieczną policholią wywołać mogą, że niepolitycznem byłoby obrażać tych którzy się dla niego na grzeczności zmagali, zasadził Jasia do smażonych responsów i uzbroiwszy się wytrwałością, przebywał już te nasłania tak ciężkie dla siebie ze stoicką rezygnacją.

Jaś bacznie ciągle wpatrywał się w stryja i chwycił ledwie dostrzeżone na twarzy jego błyski gniewu i rozjątrzenia — w duchu myślał z nich korzystać. Terminiński także, w interesie panny Anieli, chciał na nich coś zbudować, gdyż i przed nim nie mogły się ukryć starca gniew i niecierpliwość. Oba jednak za pańnicy milczeli, dając czas uczuciu żeby się w duszy starca rozrosło.

Tymczasem panna Aniela codzień była czulsza, smutniejsza i trostkliwsza; Terminiński coraz gorliwszy w usługach, powoli gdy tylko mógł rzucał słówko za swoją protegowaną. Kasztelanic te słówka dotąd w milczeniu połykał, i ani się zżymnął. — Aniela i jej adwokat byli najlepszych nadziei, nie tając przed sobą że to powoli iść musi.

Jaś patrzył, czekał, i doczekał się tego, że potrafił zręcznie pochwycić rozmowę spiskowych. Był już na drodze, klasnął w ręce... Wygrana moja! — rzekł do siebie! Począł rachować nad swój wiek bystro i trafnie.

— Stary stryj znudzi się ich naleganiem. — Aniela mu się sprzykrzy, Terminiński mu daje klepiąc jedno a

jedno. Naówczas schwycę porę i wyforuję oboje; potrzeba mi tylko mieć drugą Anielę na podstawkę i drugiego Termińskiego na przypadek, i o to wartoby się wcześniej postarać. Za pierwszym syknieniem starego na nich, muszę ich mieć gotowych pod ręką. Aniela, chwała Bogu! sama sobie interesa psuje: on chce wesołości, ona go karmi sentymentem, w którym on nie wierzy. — Wszystko dobrze, cicho! czekajmy!

Niecierpliwie jednak Jaś czekał, badał, wypatrywał chwili, gdy wybuchnie znudzenie i niecierpliwosć stryjowska. Wiedział on z góry, że przed nim stary się nie poskarży, ale postanowił sam śmiało wywołać wyznanie, gdy pora na nie przyjdzie.

Gdy tak czycha, Aniela i Termiński pracują, ciągle się łudząc nadzieją że się ta praca ich na coś przydać może. Kilka miesięcy panna przychodziła ciągle z jedną mową, czuła, kamerdyner przy każdej zręczności rzucił słówko za nią, Kasztelanic tylko brwi podnosił, usta mu drżały konwulsyjnie — ale milczał. Termiński rachował na słabość i dobijał, ale wśród dzieła postrzegać zaczął, że pan coraz dla niego zimniejszym się stawał. Widział to już i Jaś, radując się w milczeniu, że tak dobrze wszystko naprzód rozrachował.

Jednego wieczora, po skwarnym dniu ostatków, lata, Kasztelanic siedział w fotelu, ciężko dysząc i nie mogąc znieść upału, którego wieczór przepowiadający burzę nie zmniejszał. Termiński związał się koło niego szczeniocząc.

— Jaśnie pan uważał, jak panna Aniela mizernieje — rzekł cicho.

— Mizernieje — powtórzył stary — tak i starzeje, co nie na awantaż.

— Tego nie uważałem — rzekł Termiński — owszem, zdaje mi się, że dziwnie się trzyma... nawet to zmizerowanie uczyniło ją więcej zajmującą... O! smutna i cierpiąca; mówiła mi, że chciałaby pojechać poradzić się do familji.

— Doktora tu można sprowadzić — rzekł stary.



— Niewiem zresztą co to za projekta; mówiła tylko że chciałaby pojechać.

— Czemuż mi nie o tem sama nie mówiła?

— Nie śmie! a mnie z płaczem już od kilku dni nagli, żebym pana o to prosił — i ma powód słuszny.

— Powód? cóż nowego.

— Nie śmiem mówić, bo mi zakazała żeby Jaśnie pana nie zmartwić, ale w istocie ważny powód.

— No! to nie bądźże głupi, nie strasz mnie, rękawiczek nie kładnij, a mów od razu.

Termiński, jak człowiek co chce szeroką przeskoczyć przepaść i obawia się upadku, zawahał się.

— Nie bądźże błaznem a gadaj — powtórzył stary żywo — to mnie nudzi!

— A więc! — wzdychając rzekł Termiński — kiedy Jaśnie pan każe, to muszę, ale to historia! Gdybym był mógł przewidzieć co się stanie, nigdybym nie narażał Jaśnie pana na to...

— Ale cóż się tam u kaduka stało?

— Gdyby tylko pan się nie gniewał, a pozwolił mi opowiedzieć...

— Słyszałeś, że nietylko pozwalam, ale każę; gadaj i nie męcz! — zawołał Kasztelaniec.

— Rzecz się ma tak — odezwał się jakając trochę sługa — że panna Aniela, o czem ja zresztą nie wiedziałem — ma brata.

— Choćby dwóch, a cóż to ma mi szkodzić? — rzekł stary.

— Jaśnie pan pozwoli mi skończyć; brata tego jeszcze w dzieciństwie oddano do kadetów, i tak zginął z oczów familji, że niemal o nim zapomnieli. Teraz licho mu nadało powrócić; złe języki słyszę doniosły mu coś o siostrze... naturalnie że go to obeszło mocno....

— Ba! ba! już i brat z komedji! stary koncept — rzekł z przymuszonym uśmiechem Szambelan — no, i cóż? zapewne chce co utargować?

— A! Jaśnie panie, to dziś podobno pułkownik i człek

bogaty; on grozi całę czem innem... chce zmusić procesem do ożenienia... przynajmniej tak się odgraża.

Staremu oczy krwią zasły, ale od śmiechu parsknął.

— Termiński! — zawołał — i ty temu wierzysz, a myślisz że ja dam wiarę?

— Ale to prawda, Jaśnie panie, to najistotniejsza prawda! Panna Aniela truchleje na wspomnienie brata, boi się jakiej awantury, myśli uciekać.

Stary głową pokiwał — rzekł — cóż ty myślisz o tem, Termiński?

— Co ja myślę? — rzekł oburącz chwytając ostatek odwagi sługa... — Czy Jaśnie pan przywiązany jesteś do panny Anieli czy nie, w tem kwestja; czy bez niej się obejść możesz?

Kasztelanie spojrział na niego z pod oka, skrzywił usta.

— To pytanie zuchwałe — rzekł powoli — przywiązany!! ha! ha! człek się i do fotelu przywiązuje nalogiem. W moim wieku zmiana choć się jej czasem zachce niebezpieczna, zbyt irytuje, zbyt pobudza, wyściecza — póki się człowiek przyzwyczai, dopóki pozna, oswoi, czas się drogi traci; nie chciałbym nikogo zmieniać przy sobie... ale...

— Ale co, Jaśnie panie?

— Ale cóż mam począć z tym bratem, kiedy taki zuch.

— Jaśnie panie — z westchnieniem rzekł Termiński, grając rolę poważnego doradcy. — Gdzie pan znajdzie tyle przywiązania, tyle serca, tyle poczciwości, taką łagodność i charakter jak panny Anieli — to trudno! To perła! Uczciwa, pobożna!

— Nie chwalże jej tak Termiński; będę myślał że ci co za to obiecano...

Sługa się zaczerwienił, i oburzył niezmiernie.

— A! Jaśnie pan nie znasz sług swoich! godziź się takim słowem ich kaleczyć?

— No! no! dalej, do czego szedłeś?

— Mam wszystko powiedzieć?



— Rąb a śmiało.

— Na miejscu Jaśnie pana — wyrzucił Termiński jak z procy... — jabym się z nią ożenił...

Kasztelanic nieznacznie się uśmiechnął, ruszył ramionami, dobył tabakierki.

— Umhu! — rzekł — i jabym to zrobił, gdybym był na twojem miejscu...

Termiński zbłądł.

— A nawet — dodał stary — to projekt niczego. Gdy się z nią ożenisz, brat nic powiedzieć nie będzie mógł; honor będzie ocalony.

— Ale panna Aniela nie zechce pójść za mnie... — nagle pomiarkował się Termiński. — Wątpię przynajmniej — dodał — bardzo wątpię, a z mojej strony toby była ofiara...

— Wszak ty mnie tak kochasz, Termińsiu — szyszcząc wyraźnie rzekł Kasztelanic — mógłżebyś nie chcieć się ożenić z tą, którą muie swatasz?

— Jaśnie panie, co to mówić — wikłał się Kamerdyner — toby było zbyt jawne... to by było..

— To by było doskonałe... i wilk syty i koza cała, a w testamentcie znalazłby się posażek dla obojga.

— A! Jaśnie panie — wzdychnąjąc z głębi piersi zawołał Termiński — spodziewamy się setnych lat dla Jaśnie pana; na testament serce nie pozwala się oglądać...

— Ba! wołałbyś żywca? — rzekł Kasztelanic.

— Co to o tem mówić, wysokie progi na moje nogi — odparł Termiński. — Panna Aniela na mnie i nie patrzy — ona szlachcianka, brat pułkownik, dobrego rodu, a ja wyznawszy prawdę, at! Ale czemuby Jaśnie panie nie pomyślał o tem co ja mówię?

— Ja!... a to tyś widzę zawarjował Termiński? — zawołał stary odwracając się — co ci to?

— Jakto Jaśnie panie? jakto? — niespokojnie zapytał sługa, widząc że poszedł złą drogą.

— Chcesz mnie widzę gwałtem żenić?

— Alboż co, Jaśnie panie.

— Z panną Anielą?

— Ja! ja mówię tylko co myślę... to moja wina... Zresztą co mnie do tego. Jeśli się temu jakoś nie zaradzi, ona pewnie wyjedzie...

Stary słowa już nie rzekł; Terminiński niespokojnie go badając oczyma, pokręcił się chwilę jeszcze i wysunął zakłopotany.

— Ha — rzekł do siebie w sieni — to pierwszy szturm, nie dziw że odparty! Powoli się może z tą myślą oswoić. Ale prawdę mówiąc, nie najlepiej to poszło! Ostrożnie potrzeba, ostrożnie.

Coś szmyrgnęło w ciemnym korytarzu; Terminiński się obejrzał, nie było nikogo.

— To pies — pomyślał — ale jak się tu zakradł do zamczystej sieni?

Nie był to pies jednak, ale Jasiek, który od niejakiego czasu codziennie pode drzwiami sypialni rozmów Terminińskiego podsłuchiwał. Zręcznie wysunął się na podwórze, a ktoby był ujrzał bladą twarz jego ożywioną jakimś uczuciem dziwnem, poznałby, że się w głowie chłopca wielkie gotowały zamiary.

Jaś poleciał do swojej ubogiej izdebki z zaciśniętymi ustami, z bijącym sercem, zacierając ręce, dodając sobie odwagi, cicho coś szepecząc do siebie. Całą noc biegał jak nieprzytomny, obrachowując, zastanawiając się, licząc, a słowa, które się z ust jego wyrwały, dowodziły że wielka odbywała się w nim walka. Nade dniem dopiero, ukołysany jakąś nadzieją, rzucił się nierozbierając na swój barłóg i gorączkowym snem spoczął na chwilę.

W pokój pana Terminińskiego nie lepsza noc była. — Sługa z brwią namarszczoną, ze spuszczoną głową, z założonemi w tył rękami chodził i dumał posępnie. Czuł on, że się porwał na rzecz wielką, może przedwcześnie, ale kość była rzucona, cofnąć się niepodobna — strach go przejmował chwilami, dreszcz przebiegał, czarne mary snuły się przed oczyma.

Całą jego nadzieją była słabość Kasztelanica, nie-dołęztwo, w które samolubstwo wpędziło, nałogowe przy-

wiązanie równie do ludzi jak do godzin. Ilekroć uląkł się, powtarzał sobie po cichu:

— Ba! ba! a jakby się on obszedł bezemnie? a kto go położy? To być nie może! nie może! Ożeni się czy nie, a ja zostanę na miejscu! nie ma się co obawiać.

Złe spał i Kasztelaniec po rozmowie z panną Anielą, w której na skutku spisku, także ów bajeczny brat jej, pan pułkownik wystąpił. Widział on doskonale osnowę roboty, zamiary i środki, był pewien że się nieda nieostrożnym intrygantem, ale go trapiła myśl, że mu roboty te pokój zatrują, życie zmieszają i krew żywiej popędzą. Potrzeba było walczyć, a Kasztelaniec na bóg taki ostatka sił żalował. Przewracał się więc całą niemal noc niespokojny, a weśnie łajac Termińskiego, Anielę i Jasia, zmęczył się marami.

Jak skoro zaświtał ranek, Jaś zniknął ze swej izdebki i we dworze nigdzie go nie było widać. Termiński miał go za zbyt nieznaczące stworzenie, by kroki jego śledzić, i nie zwrócił na to uwagi. Tymczasem Jasiek zasiadł na strychu dworu, wkradłszy się tam o świcie, przez składy od których klucze bywały mu powierzane, i szukał tej części snfitu, która odpowiadała zamkniętej, tajemniczej izbie Kasztelanica. Szczęściem dla niego, w starym dworze nie wszystkie pokoje miały sufity narzucane, w bocznych było tylko stolowanie z tarcic, wyklejone papierem, i takie właśnie okrywało pokój Szambelana, w którym zwykł był kilka godzin dnia zamknięty przepędzać.

Jaś potrzebował się upewnić, co zawiera ten pokój, i co w nim robi Kasztelaniec; zasiadł więc na strychu, rozpatrzył się dobrze w położeniu, rozrachował szerokość i długość, odrzucił trochę gliny, dobrał się do tarcic i począł po cichu świdrować dziurę w suficie.

Robota, którą trzeba było prowadzić bardzo ostrożnie, szła nie łatwo na zawiędłym drzewie; ale po półgodzinnem dłubaniu zaświtał promyk przez wykreconą dziurkę i Jaś. chciwie do niej oko przyłożył. Nic widać nie było jeszcze, musiał ją rozszerzać, musiał rozrobić

ukośnie, co niemało zabrało mu czasu, ale nareszcie pożądaný otrzymał skutek.

Oko jego, drżące niepokojem i ciekawością, przylgnęło do tego otworu, któren teraz odkrywał mu już tajemnicę dla wszystkich dotąd osłonioną i nieodgadniętą.

Pokój, w którym Kasztelanic zamknięty część dnia samotnie przepędzał, miał dwoje okien od podwórza zakratowanych. Jedno z nich zabite było okiennicą na zawsze, drugie od dołu grubą zasłonięte firanką, i w pół przeźroczystym zapuszczane storem. Jaś ujrzał w pół mroku kilka naprzód szaf i kufrów zamkniętych, do koła ścian ustawionych. W pośrodku był wielki stół, zasłany suknem zielonem, a przed nim wygodny fotel i krzesło. Na stole leżały rządami stosy kart, taljami poukładane bardzo porządkie, kilka arkuszy papieru i marki jakieś. Na ścianach cztery wielkie obrazy w przepysznych ramach złożonych przedstawiały o ile mógł dojrzeć nagie jakieś postacie w rozmaitych położeniach...

Zresztą, nic tu nie zwracało uwagi, a Jasia najbardziej zajęły karty, — których celu i potrzeby nie mógł zrozumieć, bo Kasztelanic nigdy w nic nie grywał — i papiery jakieś z kałamarzem i piórami w drugim końcu stołu. Długie godziny samotne, które tu przepędzał Kasztelanic! jeszcze dla niego były tajemnicą. A że mu wielce zależało na dowiedzeniu się jak ich i na co używa, postanowił zatrzymać się, doczekać jego przyjścia i wypatrzyć co tu robił.

Wcześniej więc oko przyłożywszy do dziurki, starając się najmniejszego nie zrobić szelestu, układał się na górze i czekał. Godziny szły nadzwyczaj powolnie, i już Jasiak niecierpliwie się poczynął, gdy usłyszał klucz chodzący w zamku, skrzypiące drzwi, i nie bez drżenia ujrzał Kasztelanica wsuwającego się powolnie do pokoju... Twarz jego była zmęczona, zbladła, oko nabrzkłe, postawa malująca utrudzenie. Wszedłszy zaryglował się natychmiast, postąpił kilka kroków powolnie, zamyślony, spojrzął na zegarek i przybli-

żywszy się do stolika przerzucił naprzód papiery jakieś, które zdawały się rachunkami zapisane.

Jaś oddech i życie w sobie wstrzymywał jak mógł, cały będąc okiem, cały wejrzeniem. Chwilę trwał przegląd papierów powolny; Kasztelanic poszedł do jednej z szafek, za której otwarciem ukazały się w niej stosy kart, książki i różne drobne buteleczki; wziął parę talij, obejrzał bacznie i zasiadł z niemi w fotelu.

Tego wszystkiego dotąd Jaś nic zrozumieć nie mógł—stary poczał karty tasować, mieszać, przygotowywać, wreszcie spojrział na próżne krzeselko, jak gdyby na niem kogo widział (stało ono z boku) i poczał grę dziwną.

Rzucił karty na trzy dzieląc je kupki, z krwią zimną, z uwagą wielką, ale bez oznaki najmniejszego wrażenia; niekiedy tylko okiem na próżne krzesło skinął, zastanowił się chwilę i znowu ciągnął. Gdy się talja skończyła, zaczął coś pisać kredą, wziął inne karty i znowu rzucał, znów rachował, zastanawiał się, zdawał coraz rozogniać, ożywiać, nawet uśmiechnął parę razy i w przestankach zatarł ręce.

Jaśkowi zdawało się to wszystko niezmiernie do szaleństwa podobnem, i całej tej roboty tajemniczej z kartami zrozumieć i wytłumaczyć sobie nie mógł.

Tymczasem jednostajne to zajęcie przeciągało się coraz dłużej, bez żadnej zmiany, i zmęczony chłopiec z trudnością wytrwać mógł w położeniu, na którym go w początku utrzymywała ciekawość. Kasztelanic grał z próżnem owem krzeselkiem, pisał, mazał, ciągnął i nie było temu końca. Głos bijącego zdala zegara obudził go nareszcie: podniósł głowę, położył talję, spojrział na swego nieodstępного Bregueta, i szybko dokończył talji. Potem zdawał się pilno jakiś robić rachunek, odsunął karty i skierował się ku drzwiom, coś zapisawszy na papierze.

Wszystko to co tu widział, było dla Jasia niezbadaną tajemnicą, a czego najbardziej pragnął, tego wysledzić nie potrafił. Co się zawierać mogło w szafach i kufrach, co były za papiery na stole, czy gdzie nie

leżał przygotowany testament? tego nie wybadał a nawet domysleć się nie umiał.

Gdy drzwi za Kasztelanicem się zamknęły, Jaś powstał szybko, zamknął otwór zrobiony, narzucił go gliną i starem drzewem, a sam pospiesznie zbiegł do składów, przez które przemknął się do sieni i niepostrzeżony uciekł do swej izdebki.

O zwykłej godzinie, poprzedzając Kasztelanica, synowiec już był w salonie i odpowiadał na jego pytania codzienne, wpatrując się w twarz zgrzybiałą i znużoną, na której czytał ślady niepokoju.

— Chciałbym stryja dobrodzieja prosić — rzekł pokornie całując go w rękę — o pozwolenie na parę dni do miasteczka.

— Po co? — spytał Kasztelanic.

— Jestem trochę nie zdrowszy; prosił mnie przytem Sobocki, żebym ich odwiedził.

— Z Sobockim bardzo się wdawać nie życzę — rzekł stary wpatrując się w Jaśka — to lajdak — a doktora nie zdajesz mi się potrzebować.

— Chciałbym się z siostrą zobaczyć — dodał chłopiec.

— Wiem, że to wszystko kłamstwo — spokojnie przerwał stryj — prawdy mi nie powiesz, ja jej na ten raz odgadnąć nie mogę, ale pamiętaj, że jak sobie pościelesz tak się wyśpisz.... Jedź na dni trzy i powracaj....

Jaś w rękę go pocałował, nie próbując nawet się tłómaczyć.

Przy stole Kasztelanic rzucił słowo wyprostowanemu panu Bulwie o koniach dla Jaśka, i rozdysponował sam, jakimi go posłać miano. Terminiński i Aniela spojrzeli po sobie znacząco! odjeżdżający Jasiek dosyć im był na rękę, bo choć się go nie lekali, zawadzał.

Ale po namyśle głębszym pierwsza Aniela pomiarowała, że ten wyjazd może nie być obojętny i ukrywać jakieś zamiary. Mysł ta przelotnie tylko mignęła jej i innemi zagłuszona, w natłoku ich znikła.

Przy poobiednych warcabach, Kasztelanic nim po-



czął drzemać, przypominał jeszcze Jaśkowi żeby jak najprędzej powracał, najmniejsze bowiem złamanie porządku dziennego, do którego potrzebnym był młody chłopak, już go niemile dotykało.

Ku wieczorowi zaprzężono bryczkę, cicho zabiegły konie przed oficynę i Jaś, otulony płaszczykiem, z oczyma iskrzącemi, radością jakąś i niepokojem, nakazawszy jechać żywo, pospieszył do miasteczka.

---

#### IV.

Tymczasem, pod niebytność Jasia nowe poczęto przypuszczać szturmy, zawsze do nich owego bajecznego używając pułkownika, którego dosyć żywo i trafnie malowano starcowi, tak że choć w niego nie wierzył w początku, wpadł już na myśl, że wynajdą jakiego zawadżkę, którego nasadzić nań mogą.

Aniela pracowała udanym strachem. sentymentami, uczuciem, łzami, do ostatka niecierpliwiącemi starca, ukrywającego jednak uczucie które nim miotało; Termiński powoli starał się w niego wlewać strach, grożąc zaburzeniem i rozstrojeniem całej pracowicie usnutej budowy regularnego życia. Kasztelanie obojgu opierał się jedyną swą bronią, szyderstwem, ale już ta codzienna walka, ten niepokój nienstanny, poczynwały go niecierpliwić do nie wytrwania. Z każdą godziną zwiększał się gromadzący gniew, od którego wybuchu wstrzymywał tylko egoizm, przerażający starca odmianą żywota, a więc cierpieniem, a więc skróceniem tego życia, które rozmierzał i wywahał, po odrobinie je czerpiąc by na dłużej stało.

Termiński ośmielony pozorną martwością pana, jego milczeniem, choć widział zniercierpliwienie, miarkując że było nieuchronne; coraz się go mniej obawiał i zapalczywie docierał. Kasztelanie odwracał napaści, zawsze z nich żartując tylko i puszczając mimo siebie. Ale co chwila napady były gorętsze i nieznośniejsze;

ów wymarzony pułkownik wyrastał na rzeczywistość, zbliżał się, groził, pisał, nacierał. Aniela wchodziła zalana łzami, i doskonale odgrywając wszystkie uczucia, które ukazać potrzebowała, męczyła starca codzień okrutniej.

To też twarz jego nosiła już ślady walki, do której nieprzywykły, znieść jej nie umiał, ani odwrócić. Widział jak na dłoni co z nim i dlaczego robiono, a na odparcie tych szturmów miał tylko broń jedną, zimne szyderstwo, niewiarę i daleką groźbę. Serce jego nie byłoby płakało za nikim, ale natóg samolubny wiązało go do tych katów, dla których ani szacunku, ani przywiązania nie miał. I oni też nie mieli nad nim litości, choć pozornie otaczali przesadzonemi oznakami współczucia. Terminiński wpatrywał się w zbladłą i uwiędłą twarz stariego, śledząc w niej postępów znużenia i wyglądając rychło się podda utrapiony starzec; — kierował on Anielą, dyktował jej każde słowo, wskazywał co mówić miała i co robić.

Po wyjeździe Jaśka, nazajutrz rano, Terminiński który na wszystko się ośmielony ważył, wpadł do sypialni, okazując fizjognomją przestach i jakieś rozjątrzenie nadzwyczajne. Kasztelanie postrzegł to od razu ale odwrócił oczy przewidując scenę której chciał uniknąć.

Sługa, widząc że Kasztelanie na niego nie pogląda, umyślnie nie czekając dłużej począł mówić:

— Jaśnie pan zapewne się domyśla...

— Nic się nie domyślam...

— Tak jestem wzruszony...

— Rób swoje, rób swoje — wyciągając ręce do szlafroka odparł starzec.

— Ale, bo... tracę prawdziwie przytomność...

— Staraj się ją złapać, bo coraz mi służysz gorzej.

— Człowiek nie jest panem siebie.

— A powinien nim być.

— Gdyby Jaśnie pan wiedział...

— A może nie potrzebuje wiedzieć...

— Ale bo to rzecz nieobojętna — nalegał Terminiński — tu potrzeba radzić.



— Cóż się stało u kaduka? — grzmiącym głosem, niezwyczajnym, zawołał starzec podnosząc z gniewem głowę.

Termiński który w życiu głosu takiego nie słyszał jeszcze, struchlał, zadrżał, ale widząc że od odwagi jego zależeć może wszystko, ciągnął dalej:

— Panna Aniela będzie musiała wyjechać.

— Cóż tam znowu?

— Co! ten przekłety pułkownik grozi jej, że tu przyjedzie i robi awanturę.

— A! to znowu pułkownik! — uśmiechnął się złośliwie stary... — Cóż tak strasznego? czegożes się tak przeląkł Termiński? damy rady przecie.

— Ale jak Jaśnie panie? co poczyć?

— Poczekaj tylko dni parę, zobaczysz znajdzie się rada na wszystko, nawet na pułkownika.

Głos starca, gdy to mówił, znacznie był złagodniał, uśmiech nawet, którego wyrazu nie rozumiał kamerdyner, przebiegał usta; pomyślał więc, że stary zgodzi się nareszcie na wszystko dla kupienia sobie spokoju.

— Ale jakaż rada, proszę Jaśnie pana? — spytał ciszej.

— Jaka rada! ba! bardzo bo jesteś ciekawy! Poczekaj ino trochę, a zobaczysz że nie zła i taka może której się nie spodziewasz... poczekaj...

Kasztelaniec wciąż się uśmiechał, ale uśmiech jego był złośliwy i gorzki.

— Pułkownik grozi, że tu przybędzie...

— Możecie go tam wstrzymać jaki dzień nie tem, to owem — rzekł Kasztelaniec — nieprawdaż?

— Ja nie wiem — wczoraj list odebrała panna Aniela, i służąca mi mówiła, że dziś całą noc płakała i lamentowała, a rano sama prosiła mnie, żebym o tem doniósł Jaśnie pann...

— Powiedzże jej, niech odpisze, niech parę dni przewlecze, tydzień gdy można, a na wszystko poradzim... rozumiesz?

— Rozumiem — odparł Terminiński nalegając znownu — ale jakże się poradzi?

— Mówilem ci że do zbytku jesteś ciekawy — rzekł stary — a ja nie lubię się spowiadać nikomu. Rób co mówię i basta.

— O! boby też to była wielka dla Jaśnie pana strata — dodał kamerdyner szybko — gdyby się trzeba było rozstać z osobą takich zalet jak panna Aniela. Trudno takiej drugiej, trudno!

— To mi codzień powtarzasz, uniem na pamięć... darmo gębę studzisz...

— Jak nie mam powtarzać co myślę?

— Gadaj sobie po cichu! kiedy cie język świerzbi...

— To mówiąc ubrany zasiadł do czekolady.

Gdy się to dzieje w Strumieniu, Jaś spieszy do miasteczka z równie śmiałym jak Terminińskiego i Anieli przedsięwzięciem. Przez czas jakiś dobrze się przypatrzył ich obrotom i wrażeniom, które czyniły na starcu; postrzegł jego zniecierpliwienie, obrachował, że wkrótce ostatnim szturmem zgubić się muszą. Zdało mu się, że wszystko teraz pochwycić będzie mógł, gdy tylko zechce. Myśl którą powziął była zuchwałą w istocie i tylko niedoświadczenie Jasia a zepsucie jego usprawiedliwić ją mogło. Przewidując chwilę w której Kasztelanie odepchnąć będzie musiał Terminińskiego i Aniela, chciał zawczasu przysposobić dla nich godnych zastępców, którychby był całkiem pewny. Tej myśli nie chciał się jednak zwierzyć Sobockiemu, nie całkiem mu ufając, i pozornie tylko działając z nim razem. Teraz otwierać się zdawało pole zrobienia czegoś samemu przez się. Na miejsce kamardynera i ulubienicy chciał wsadzić ze swej ręki, posłuszne sobie i niemogące mu szkodzić stworzenia. Sprawę testamentową oddzielił od tej, na wszelki tylko wypadek podrobiony przygotowując dokument. Dojeżdżał więc do miasteczka wielce zajęty trudnością zadania, nie wiedząc jak mu podołać bez pomocy ludzi, obawiając się jej z drugiej strony, snując i porąc wnioski najdziwniejsze, ale z mocnem postanowieniem dokonania co zamyslił.

Na młode chłopię, ubogie, bez doświadczenia i bez wychowania, były to rozmiary olbrzymie, charakter a raczej siła woli potężna im odpowiadała; podlegało prócz tego zepsucie i chciwość, w dali ukazując jako nagrodę, bogactwo i świat im posłuszny pod stopami zwycięzcy.

W tych myślach wyjechał do miasteczka Jasiiek, z rozognioną twarzą, rozmarzoną głową i niespokojnie bijącym sercem.

Był to wieczór jesienny, chmurny, wilgotny, smutny, a wiatr nad miasteczkiem kłęby dymów unoszący, najdziwniejszą wonią napelniał powietrze. Dzwony odzywały się z różnych stron na Anioł Pański jęcząco i smutnie; drogą wlokły się z trochę słomy i pijanym ludem wozy powracające z targu; szli pieszo śpiewając mieszczańskie napili także, żołnierze, jakieś kobiety nad miarę wesole; przelatywały bryczki brzęczące dzwonekami szlei, słowem, ogarniał powoli przybywającego hałas miasteczka i jego życie, tak różne od porządnego wiejskiego, powszedniego trybu. Załedwie zjechał z mostów i grobli wiodących ku przedmieściom, i zapuścił się w błotniste uliczki wąskie, żydowstwo czarne i brudne jeło go otaczać i naciskać.

— Jaśnie panie! Wielmożny panie! niech pan zajędzie! niech pan każe zajechać! — O! tu! o! tu! Tu staje pan Marszałek! tu zajężdża pan sędzia! Stacja frontowa! — poczęli krzyczeć żydki uwijając się i łapiąc za bryczkę.

— W mieście wszystko zajęte! wołali inni.

— Tak przeprowadzony między pierwszym rzędem domów zajezdnych, w których oknach płonęły na znak nie zajęcia świeczki łojowe — Jasiiek nie wiedział spełna dokąd się udać i co z sobą zrobić, gdy nagle dało się słyszeć:

— Stój! stój!

Chrypliwy, śmiejący się głos je wymówił i postać jakaś, trudna do rozpoznania o mroku, zbliżyła się do wózka. Był to Sobocki, pod dobrą datą powracający

z szynku, zwanego winiarnią, do domu, w towarzystwie dwóch godnych koleżków.

— Jak się masz Janie?

— A! to ty!

— Cóż to? nie poznałeś mnie.

— Ale jakżem miał poznać po nocy?

— Co ty tu robisz?

— Jak widzisz, za interesem przybyłem do miasteczka.

— Nie do mnie? — szepnął Sobocki.

— Trochę i do ciebie — odparł Jaś — ale o tem potem.

— Ba! ty widzę czując odemnie winko, myślisz żem nie trzeźwy! O! niewierna istoto! Daj ci Boże zawsze taką, jak moja przytomność! Człowiek ma najwięcej rozumu jak go trochę podleje.

— Ale to nie o to chodzi! Powiedz naprzód dokąd mi radzisz zajechać?

— A! do Arona! dobry dom i nie odrą jak u innych, ja tam do ciebie przyjdę się rozmówić, albo odsyłać konie a idź do mnie.

Jaś, schwytany tak, wcale nie był rad wypadkowi; chciał on naprzód sam postarać się o najpotrzebniejszych mu zastępców Anieli i Termińskiego, a potem dopiero zobaczyć się z Sobockim; ale projekt był złamany, bo szwagier odstąpić nie chciał, trzeba było zmienić plany.

Odesłał więc konie do owego Arona, a sam pieszo poszedł z Sobockim do znajomego nam dworku. W oknach jego jeszcze nie było światła i na dziedzińcu panowała cisza smętna, tylko z miasteczka dochodziły do tego kątką odgłosy wrzawy, dźwięk dzwonów i głuchy turkot wozów; przed dworkiem na dwóch kupkach cegieł niewykwintnie położonych, i brusie, który za rodzaj ławki służył, siedziała Antosia z dzieckiem na kolanach, sama jedna smutna jak ten opnszczony dworek, we łzach cała; z piersią dyszącą gniewem i rozpaczą prawie.

Sobocki już trzy dni pił bez ustanku, chwilami

tylko zaglądając do domu, by się z żoną ujadać — brakło chleba, brakło drew na kuchnię, sługi pouciewały, Antosia została samą i w głowie jej się przewracało.

Widząc zbliżających się z mężem gości, których z daleka poznać nie mogła, porwała się biedna kobieta z ławki i uciekła do domu, zatrzaskując drzwi za sobą; Sobocki śmiał się dziko.

— Zjesz kroćset djabłów! — mówił po cichu do siebie — tylko ja cię nagnę na swoje, i oduczę borukania się ze mną. Nie na tom ja ciebie wziął, żebym przed tobą tańcował, ale żebyś ty mi skakała. I do stu tysięcy czartów! będziesz mi skakać jak zagram.

Tu mruczący wpadł z krzykiem do dworku, wołając zaraz od progu:

— Hejże światła! samowar! Jest tam kto? Antosia!

Ale nikt się nie odezwał.

Pijani towarzysze tymczasem popadali w prawo i w lewo na kanapy i krzesła, podśpiewując, wtorując gospodarzowi i ziewając głośno. Jaś przypatrywał się nieśmiało od progu.

Sobocki, widząc że nikt mu nie odpowiada, ze złością poszedł do trzeciego pokoju, w którym się zamknęła żona i począł bić w drzwi zamknięte.

— Cóż to jest? co to ma znaczyć? — wołał!

— Idź spać gdzieś się upił! — odpowiedział głos z za drzwi — a daj mnie spocząć i dziecięciu...

— Otwieraj!

— Nie otworzę.

— Drzwi każę wylamać..

— Rób co chcesz, ale jeśli mnie doprowadzisz do ostatka... nie odpowiadam za nic.

Raz i drugi stuknął ręką i nogą we drzwi rozzłoszczony pisarek, ale widząc że im nie podola, dał pokój i powrócił przeklinając.

— Co tu robić? — rzekł do Jaśka — twoja godna siostrzyczka tak się ślicznie jak widzisz zemną obchodzi... Niechże ją wszyscy djabli wezmą! rozprawim się kiedy indziej; proszę cię z sobą do starego Nysona...

Jaś nie wiedział co zrobić, spuścił głowę i obrócił się ku drzwiom; tymczasem Sobocki od jednego do drugiego chodząc, łapał towarzyszków już po części drzemiących w mroku i wyciągał ich z sobą. Ci rozmarzeni trunkiem, nie dobrze wiedząc co się z nimi działo, bijąc się w ciemności o piece i węgly, wychodzili omackiem nieprzytomni. Cała gromadka wytoczyła się nareszcie nie bez trudności na podwórze.

Ze wszystkich, Sobocki pomimo że miał głowę dobrze zalaną, najwięcej okazywał siły i panowania nad sobą, bo śmiejąc się jednych podtrzymywał, drugich złośliwie popychał, a wszystkiemi kierował.

— Trzeba te kury spać pokłaść — rzekł do Jasia — musimy z sobą pomówić sam na sam, a choćby nas podsłuchiwać nie byli w stanie, jednak zawsze lepiej być ostrożnym.

To mówiąc, towarzyszków swoich zgarnawszy jak mógł, wyszedł z niemi w uliczkę i na chwilę opnściwszy Jaśka, zajął się rozkwaterowaniem opojów, którzy co chwila gorzej rozmarzali się. Spotkani żydzi dopomogli mu do tego i wkrótce zostali szwagrowie sam na sam. Sobocki acz cięty, acz widocznie wesół nad miarę, miał jednak całą swoją przytomność; chwycił Jasia pod rękę i kierując się z nim ku staremu miastu do winiarni, nieopodal zajezdnego domu Arona będącej, począł go usilnie rozpytywać.

— Tyś darmo nie przyjechał — rzekł natarczywie — coś jest, gadajże mi co tam? Czy stary gorzej? czy myślisz że pora mu zrobić testamencik? jak ci się zdaje, czy on zapisze co? No! mów a otwarcie?

Właśnie otwarcie miał najmniej ochoty mówić Jasiek, i myślał co powiedzieć; nie chciał bowiem wspomnieć o tem co go sprowadzało do miasteczka, a czuł, że bez Sobockiego nic nie zrobi, i co gorzej, ukryć się przed nim nie potrafi.

— Ja — rzekł trochę zająkując się i udając jak dawniej począł gapiątko — ja sobie tu tak przyjechałem tylko, pilnego nic nie ma; a co się tyczy testamentu...

— No! no! otóż to! mów co się tyczy testamentu czy pora go ulepić?

— Albo ja wiem!

— A z czemże przyjechałeś? mów bracie, my z sobą ręka w rękę... otwarcie; nie rób daremnie sekretów.

— Ty wiesz, że żadnych sekretów dla ciebie nie mam; chciałem się tylko poradzić z tobą co dalej porządzić. Stary coraz się więcej poddaje Anieli, Termińskiemu.

— No, to ich zasekwestrujemy.

— Narobią krzyku!

— Niech krzyczą; gorzej gdyby się stary pogniwał, domyśliwszy się zkąd to poszło. Jak myślisz?...

Jaś milczał, ważąc jeszcze czy mówić, czy się taić! widząc niebezpieczeństwo pierwszego, niepodobieństwo drugiego; szczęściem wchodzili w tej chwili do winiarni Nysona, i miał czas w przerwie rozmowy, głębiej się z sobą naradzić.

Ciekawa to była ta winiarnia małego miasteczka, miejsce schadzek całej niegdyś palestry, która za kołnierza nie przywykła była wylewać, dziś sądowych i kancelistów.

Dom choć w rynku, niepozorny, stary, ciasny, ale sławny lochami, nad którymi stał, zawierał kilka izdebek na przemiany przez przyjezdnych i przez pijanych zajmowanych. Winiarnia bowiem była razem domem zajezdny. Kiedy brakło gości ze wsi, wszystkie izdebki stały otworem dla miejskich amatorów węgrzyna, którzy w razie przybycia ich, wynosili się z kieliszkami i butelkami na tyły, do coraz lichszych betami przyozdobionych klitek, zostawując tylko po sobie plamy po stołach i kwaskowate zapachy maślaczu.

Utrzymanie winiarni wcale nie było wytworne; prócz zegarów, które oddawna nie szły, kilka stołów potrzebujących podpórek, kanapy włosieniem wybitej, a dalej idąc ku tyłom, coraz większej ilości żydowskich pościeli, sprzętów i wyziewów — nie było nic więcej. Dom na ten wieczór właśnie był pusty; wszystkie stancyjki stały otworem, od ulicy paliły się łojowe świece



z długimi knotami, a gosposia maleńka, czarniawa, żywa i uśmiechnięta żydowica, zapraszała bardzo pana Sobockiego do frontowego pokoju. On jednak dla przyczyn sobie zapewne wiadomych, bojąc się być wyrugowanym lub podsłuchanym, zabrał się z Jasiem do najdalszej izdebki, zwykle dla ekonomów przyjeżdżających po sprawunki i na postój przeznaczonej. Kazał przynieść butelkę węgryzna na złotych dziesięć, i zasiadł ze swoim gościem u stoliczka z warcabnicą, na prostym zydłu drewnianym!

Posługacz, z uśmiechem poglądający na Jasia, którego miał za niewinną jakąś ofiarę Sobockiego, zdziwiony tem że kancelista częstował, wniósł wino, ser holenderski i bułki.

Sobocki obejrzał drzwi, przekonał się że nikt ich podsłuchać nie może, i przysunawszy się do Jasia, nałóż naprzd dwa kieliszki, zmuszając szwagra by swój wychylił za jego zdrowie. Nastąpił drugi i trzeci rychno, nie dając odetchnąć ni przemówić Jasiowi, który był głodny i zmęczony — Sobocki nie wprzód poczęł egzaminować szwagra, aż go podpoił, co nie przyszło trudno, bo Jaś nie przywykły pić, a na czezo prawie, podchmielił się nim postrzegł, że to go spotkać może.

Sobocki lał jak w beczkę, zajadał serem i kazawszy robić herbatę, do której przyniesiono butelkę rumu, tak się wreszcie odezwał do szwagra:

— No, Jasiu, kochanie, terazże mi powiedz szczerze, co ty myślisz? co robić nam trzeba?

Jaś, skutkiem konieczności trochę, trochę skutkiem wychylonego napoju, myślał tylko od czego zacząć, postanowiwszy najszczerzej się wypowiedać. Drżał on używając Sobockiego, ale tłómaczył się przed sobą tem, że się bez niego nie obejdzie.

— Oto cała historia! — zawołał rzucając oczyma do koła — posłuchaj tylko uważnie, a potem poradzimy się...

Te słowa wyrzeczone były tak odmiennie, tak dobitnie malowały przebiegłość młodego chłopca, taki spryt błyskał mu z oczów, że Sobocki, który go za-

wsze widywał gapowatym, wstrząsł się tajemnie, mówiąc w duchu: — O! chciał mnie podejść! poczekaj oddam ci sowicie tę chętkę! Po piątku wyciągnę z niego co zechcę... Mam go w ręku.

— Gadajże — rzekł głośno przysuwając się — nikt nie słucha, co tam nowego?

— W dwóch słowach — odparł Jaś — ten matacz Terminiński zrobił widocznie jakiś układ z Aniela; dokuczają staremucząc go doprowadzić do tego, żeby się z nią ożenił. Zdaje mi się, że Kasztelaniewiczowi oboje tak dojedli, iżby się ich rad pozbył, gdyby tylko można.

— A cóż mu trudnego?

— Widzisz stary niewolnikiem jest nałogów, a kto mu tych państwa zastąpi! Gdyby tak... — Jaś się zaciął i spojrzał. Sobocki myśl odgadł.

— Gdyby, mówisz zapewne, znaleźli się inni na ich miejsce — o! o to łatwo!

— Nie tak jak ci się zdaje; stary zmiany nie lubi, trzeba mu wynuczonego jak Terminiński sługi, i drugiej Anieli. Gdyby sprytnego znaleźć człowieka, jabym go służby nauczył, a kobieta jeśli się znajdzie zdalna na miejsce Anieli, to jej uczyć nie będzie potrzeba...

Sobocki się rozśmiał; patrzył w oczy Jasiowi i dziwił się temu, co w nim odkrywał.

— Po toś przyjechał? — spytał.

— Tak, z tobą się poradzić, czy nie możnaby...

— O! można, sługę już mam...

— Jaki?

— I zaraz ci go pokażę, zobaczysz, lepszego ani żądać, co się tyczy panny, o tem jutro pomyślimy. No! ale testament? pisze on?

— Tego dotąd dojść nie mogłem — rzekł Jaś — wiem tylko, że w swoim pokoju zamknięty godzinami, nic innego nie robi, tylko sam z sobą... gra w karty...

— Jaki? sam z sobą? — zakrzyknął Sobocki.

— Tak jest! Bóg go wie czemu nie grywa z nikim; ale widać nałogu pozbyć się nie mógł i sam z sobą codzień kilka godzin musi djabłować.

Kancelista śmiał się na całe gardło.

— A to! pół warjata! — zawołał — możnaby mu tego dowieść, i jako szalonego zamknąć do Bonifratrów; ale coby nam z tego przyszło?

— To pewna że nie — odparł Jaś — lepiej go swojemi otoczyć... Wiem, że Terminiński i Aniela straszą starego jakimś pułkownikiem, niby bratem panny, który powrócił z wojska i za honor siostry chce się ująć, zmuszając Kasztelanica do ożenienia. Wszystko to wierutna bajka, bo, o ile wiem, Aniela brata nie ma a gdyby go miała, nie mógłby wyjść na pułkownika; potrzeba mi formalnego świadectwa, że Aniela była jedynaczką...

— Dobrze! dobrze! sprytnyś! — zacierając ręce zawołał Sobocki. — Świadectwo będzie: wyjmę ci p o s i e m i e j n y spis ek! (spis familijny). — No! a co więcej? — spytał szwagier korzystając z usposobienia do wynętrzeń Jasia.

— Baalboż to mało! wyszukać następców dla tych państwa! to nie fraszka!

— Dla mnie łatwiej niż dla ciebie — odpowiedział Sobocki — mogę ci zaręczyć, że sam z tem radybys sobie nie dał, nikogo nie mając... Dobrześ zrobił, znośsząc się ze mną.

Jaś zrozumiał przymówkę, Sobocki bowiem dawał mu uczuć, że nie zaraz i dopiero po pijanu mu się zwierzył; podchwycił więc zaraz:

— Albożbym to ja bez ciebie co zrobił? — zawołał z uśmiechem.

— Bezemnie i nie powinienś i nie możesz — zawołał kancelista — nie masz stosunków, nie masz sposobów; choćbys coś wymyślił nie będziesz wiedział jak dokonać.

— Zapewne! zapewne, — popijając mruknął młody chłopak. — Ja to wiem! ja to wiem!

— Ot zaraz zobaczysz, jakiego ci następcę Terminińskiego! — rzekł zacierając ręce.

— Ciekawym doprawdy!

— Hej! Myszures! — krzyknął Sobocki — Myszures! — i zaczął bębnić o stół.

Wpadł żydek, przestraszony nagłością wezwania.

— Co wielmożny pan każe? — mrugając okiem po próżnych butelkach.

— Ty znasz Puślikowskiego?

— Nu! a kto go nie zna! — zawołał Myszures — a na co pannu Puślikowską?

— Na co, to mnie wiedzieć; poszukaj mi go i przyprowadź.

— Jakto? po nocy? tak zaraz?

— Zaraz, po nocy!

— A gdzie ja go znajdę?

— Gdzie? w piekle czy w szynku, gdzie ci się podoba, byleś znalazł; weźmiesz za to dwa złote.

Żydek poskrobał się, podrzucił jarmułkę i wyszedł.

— Ale cóż to za Puślikowski? — spytał Jaś zdziwiony.

— To bardzo ciekawe stworzenie — odpowiedział popijając Sobocki. — Wystaw sobie człowieka, który od dziecka po wielkich dworach służywał, i ostatni raz był u książąt B... w...yńcu. Stary książę tak się przywiązał do niego, że mu dwadzieścia tysięcy zapisał. Ale cóż to zapis, zwłaszcza gdy głodni dziedzice nie bardzo mają ochotę zapłacić? Puślikowskiego nie lubili, bo ich do starego księcia nie puszczał, często nawet drzwi przed nosem niegrzecznie im zamknął; wzięli się na niego by mu nie oddać legatyn. A że byli naturalnymi spadkobiercami, a testament zawierał same rozporządzenia im szkodliwe, zarzucili mu nieformalność. Puślikowski, który sobie trochę grosza uciulał, wziął się wyprocesować sumkę. Piąty już rok żyje w miasteczku, wyciera kąty w kancelaryach, ostatki traci, i zkał zarwie dwuzłotówkę, puszcza na papier stemplowy. Póki miał pieniądze, nieźleśmy go doili, teraz goły — bo nie nie można mu było zrobić. Z tamtej strony płacą, a on niemal żebrze. Nie stracił jednak nadziei i siedzi w miasteczku, a że nimie grać na skrzypce, zarabia sobie muzyką, żeby od gęby

odejmując życie kancelarje! o! o! przedziwny człowiek.

— Z tego, co mówisz, miarkuję tylko — rzekł Jaś — że mu piątej klepki brakuje, kiedy się porwał na proces z B.... a mnie potrzeba człowieka zwinnego i nie głupiego.

— Bo się też mylisz bardzo, sądząc że głupi — odezwał się Sobocki. Każdy człowiek ma swoją słabość, a broń Boże się na czem uprze, choćby najwięcej na tem tracił, będzie się odegrywał do ostatka. Puślikowski dla nas perła droga; drugiego takiego nie znaleźć — przywykły do starych, bo kołysał księcia, który w ostatnich latach gorzej wrzoda był niedotykalny; zna służbę, trzeźwy i przebiegły... Zobaczysz. W jeden dzień go uložysz jak zechcesz.

— Ha! zobaczymy twójego Puślikowskiego — rzekł Jaś — ale myślę i o drugim.

— O! to sęk — zadumany popijając mrknął Sobocki — ale nie desperuje!

— Tu trzeba panie szwagrze i twarzyczki i dowcipu, i maniery nie lada, jak panny Anieli, tonu lepszego — słowem, nie wielkiej poczciwości, bo o tej nie ma co mówić na taki biorąc obowiązek; a powierchowności uczciwej, co rzadko z sobą chodzi.

— Znajdzie się to wszystko! znajdzie! — mówił kancelista zapalając fajkę. — A długo tu możesz zabawić?

— Najdalej dui dwa, trzy...

— Będzie czasu dosyć! nie ma się czem turbować; dobrze żem Puślikowskiego wymyślił; Anielę jutro będzie, niechno podumam... Ale pomówny o testamencie — zagadnął Sobocki.

Tych słów domawiał, gdy drzwiczki się otworzyły, i żydek wprowadził jakąś postać, w mroku jeszcze nie widoczną. Jaś porwał się z krzesła, domysławając Puślikowskiego i żywo podbiogł ku przybytemu.

Był to mężczyzna lat może czterdziestu, wcale pięknej postawy i szlachotnej twarzy, rysów regularnych

bystrych oczu piwnych i podniosłego czoła. Na skroni podłysiały, na wybladłym licu znać było troskę, która go jadła, z którą dniował i nocował, a razem męstwo z nią walczyło niezłamane. W istocie, niepospolitej potrzeba było odwagi, by z możnymi panami bić się o chleba kawałek, którego mieli siłę mu wydrzeć, a on nie miał siły obronić. Puślikowski tak był pięknych rysów i przystojnej fizjognomji, że strój ubogi wydawał się na nim jak przebranie; bo i postawa i układnie zgadzały się z nim wcale. Obok Jaśka wybladłego, obok Sobockiego z najeżonym włosem i pokrzywioną twarzą, człowiek ten niemal idealnym zdawał się typem. Smutnie widzieć było na nim wyszarzane do nitki i połatanie odzienie, opięte jednak starannie i czysto. Smród oliwkowy niegdyś zachodził mu pod szyję, na której była resztką czarnej chustki i dziurawej, buty i reszta sukni kilkoletnie zużycie okazywały. Pomimo tego stroju, pomimo położenia swego, wszedł śmiało, skłonił się pokornie, ale bez poniżenia, i rzuciwszy okiem po przytomnych, czekał wiadomości, na co go sprowadzono, z pewnem niezuciem godności.

— Słuchaj Puślikowski — zawołał Sobocki przystępując do niego, wyprawivszy żydka — chcesz ty wygrać swój proces?

— A! wielmożny panie! — składając ręce odezwał się z westchnieniem sługa — toć to mojego życia cel jeden; a cóżbym ja chciał więcej!

— No! to go wygrać możesz!

Puślikowski wyraźnie się nastraszył i zafrasował, przewidując że mu ciężkie podyktują warunki.

— Ale byka za jedyka; potrzeba żebyś i ty mnie coś zrobił.

— Cóż ja mogę pann zrobić? — z przestraczem poglądając na obn spytał przybyły.

— Pójdiesz w służbę dobrą, spokojną i nie darmo, do starego i grymasnego człowieka, dla którego szukają właśnie kogoś, a ja za to wezmę twój interes i dam ci na piśmie zaręczenie, że go w pół roku przeprowadzę...



— Do kogo? do kogo? w służbę! — zawołał Puślikowski — a jakże ja się mogę z miasta oddalić!

— Do kogo, to ci powiem później, co od ciebie chcemy dowiesz się także; uamysł się tylko czy się na to zgodzisz, a z góry sobie powiedz, że inaczej przepadł twój interes.

Puślikowski głęboko westchnął, głowa mu opadła na piersi, zamyslił się i zamilkł. Zdawał się dumać i ciężko widać mu było rozstać się z życiem, które wiódł, dla uowej pracy, może bezkorzystnej.

— Nędzę cierpisz — rzekł Sobocki nalegając — sprawy nie wygrasz, czas stracisz; nie lepiejze sprawę oddać w moje ręce, a ja ci za wygraną ręczę, i samemu pójść w dobrą służbę; może nawet ua nie długo?...

— Dość bo już miałem służby — smutnie odczywał się Puślikowski — człek się przywiązuje, o sobie zapomina, i zostaje potem bez chleba kawałka. Zresztą i siły już nie po temu, a tam nie małych potrzeba.... W ostatku, jakto panie tak proces opuścić?

Biedny człowiek, już się był zrośł z tą swoją sprawą, dla której tyle poświęcił.

— Służba, która ci sie trafia, nie daleko — odparł Sobocki — dowiadywać sie będziesz mógł; zresztą, ja ci dam zaręczenie, że się zajmę i że wygram.

— Ale możeż to być? — z niedowierzaniem spytał ubogi.

— Jak ja zechcę wszystko być może! — rzekł kancelista z pewną dumą — o co chodzi zresztą, kiedy daje na piśmie zaręczenie?

Przez cały czas tej rozmowy, Jaś śledził i badał człowieka i coraz go widział stosowniejszym do miejsca, które mu przeznaczali. — Powierzchnowość była nad spodziewanie, chodziło tylko o przekonanie się, jakie miał usposobienie i zdatność. O tych Jaś sądzić nie umiał, czekając z bliższem badaniem, ażeby mu Sobocki ułatwił uajwiększą trudność i naklonił kandydata do przyjęcia służby.

Puślikowski zdawał się niepokorny i więcej wzbraniał niż spieszył; znać doświadczenie nauczyło go nie-



dowierzać. Mina jego głębokie zamyślenie i nieledwie strapienie malowała. Sobocki wciąż nalegał.

— Ha! — rzekł wreszcie wezwany podnosząc głowę — proszę mi dać do jutra czasu, żebym się rozmyślił; w służbę iść nie chciałem, głowa zajęta czem innem; potrzeba się wprzód dobrze poradzić z sobą...

— Pamiętajże — dodał mu Sobocki na ucho cicho odprawiając go — że od tego twoja sprawa zależeć będzie...

Długo jeszcze trwała rozmowa między szwagrami, którzy do nocy pili herbatę, zajadali i badali się wzajemnie. Sobocki mocno był tem uderzony, że Jaś mu w początku nie pokazał się czem był w istocie i dla niego udawał głupowatego — oburzyła go ta chęćka oszukania; zapisał ją sobie, żeby za nią zapłacić. Nie pokazał jednak bynajmniej bratu żony, że się na tem poznał.

O testamentie mowy nie było, nic pewnego nie postanowiono jeszcze, ale Jaś skłaniał się na przygotowanie go, by w razie potrzeby mógł być podrzucony; zdawało mu się bowiem, i nie bez przyczyny, że charakter Kasztelanica nie dozwala przypuszczać wczesnego obmyślenia testamentu.

Późno już Sobocki odprowadził Jasia do izdebki jego u Arona i pożegnawszy, powrócił do domu, by tam nową z żoną odegrać scenę. Pomimo niezmiernej ilości rozmaitego trunku którą pechłonał, kancelista był prawie zupełnie przytomny i idąc uśmiechał się nadziejom, co po nad nim wzlatywały.

Jaś tymczasem wielkimi krokami mierzył swoją stancyjkę, niespokojny że się wygadał i zdał na łaskę człowieka, którego w duszy najmocniej się lękał. Współnictwo czyniło go niewolnikiem Sobockiego, a podolać mu chytrącią nie czuł w sobie odwagi i siły. Uspakajał się rozmaicie, cieszył, ale lekarstwa nie działały wcale; sen nleciał, strach owładnął i ze dniem dopiero zasnął, nierozebrany rzuciwszy się na posłanie.

Obudziło go silne do drzwi stukanie: był to Sobo-

cki, któremu godzina spoczynku wystarczała, który od dawna był już na nogach, i z papierami pod pachą spieszył pokazać się w kancelarji, by się od niej pod jakim pozorem na resztę dnia uwolnić.

— A co ty spiochu leżysz? — zawołał spoglądając ciekawie na Jaśka, który mu otwierał zaspany, w pomniętem i zwałanem odzieniu. — Kładłeś się widzę nierozobrawszy nawet?

— To skutek twojego przyjęcia zbyt gościnnego — rzekł Jaś usiłując znów po trzeźwemu odegrywać rolę gniptaszka tak, aby spryt spadł na trunek.

— Przyjdzie tu zaraz Puślikowski — szybko dodał Sobocki — rób z nim co chcesz, ja go już zupełnie skłoniłem do przyjęcia służby; powiesz mu do czego ma się wcześniej przygotować; mnie spieszo do kancelarji i w drugie jeszcze miejsce, bo podobno i na urząd Anieli już kogoś mamy...

— Jakto? już i to zrobione? — rzekł zdumiony Jasiak.

— Ze mną tak — czwaniąc się trochę odparł kancelista, z ukosa spojrzawszy na Jaśka... — i prędko i dobrze!... do zobaczenia. — To mówiąc wymknął się z usmiechem zadowolenia.

Jaś został w rozmyślach głębokich. w których go zachwylił wchodzący z pokorą i bojaźliwem wejrzeniem Puślikowski.

Zmierzyli się oczyma, a młody chłopak przez powłokę smutku i cierpienia, okrywającą twarz sługi, dojrzał teraz na niej wyraźniej roztropność i dobroć.

O ostatnią najmniej mu chodziło, bo chciał tylko cierpliwości i zręczności od swojego kandydata.

— Czekam na pańskie rozkazy! — odezwał się Puślikowski z westchnieniem rezygnacji...

— Więc Waćpan wiesz już zapewne u kogo służyć będziesz? — rzekł Jaś.

— Nie a nie.

— A zatem, słuchaj i dobrze pomnij co mówić będzie; zapłatę otrzymasz dobrą, może wynagrodzenie w przy-

szłości, ale pierwszym warunkiem posłuszeństwo mnie, wierność i spełnienie rozkazów na skinienie.

— To ja pann mam służyć?

— Nie mnie, ale stryjowi memu. Jest to starzec przywykły do najregularniejszego porządku; nie tylko godziny, kwadransa, ale minuty i sekundy chybić u niego nie można. Życie jego porządkuje i rządzi nim zegarek.

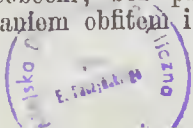
Puślikowski słuchał nważnie, a Jaś rozpoczął najdrobustkowsze opisanie całego trybu bytu Kasztelanica, od pierwszej godziny przebudzenia, do ostatniej chwili przed spoczynkiem, nie nie opuszczając, powtarzając obficie i usiłując tak nauczyć nowego sługę, aby na wszelki wypadek był zupełnie gotów.

W czasie tej mozolnej instrukcji, która dosyć długo trwała, Puślikowski rozjaśniał twarz nieco i nie zastraszył się bynajmniej trudnością służby, która go czekała.

— Pojął-żeś? — spytał Jaś — i będziesz pamiętał?

— Pan mi to jeszcze raz z łaski swojej powtórzy — odparł pokornie kłaniając się sługa — potem ja opowiem pann co spaamiętam, i będę gotów, jestem pewny siebie, choć w tej chwili. Dobrego też miałem nauczyciela w księcin B.... nieboszczyku, niech Bóg świeci nad jego duszą! — dodał. Fraszka to stryj pański, u którego wszystko pewne i niezmiennie, a na każdą rzecz jest reguła; u księcia pana dzień do dnia wcale nie był podobny! Biedak borukał się ze swoją starością, która go zaskoczyła niespodzianie! Co godzina to nowina; trzeba było zgadywać co chwila, co sekunda z miny, ze stanu zdrowia, czy księżę pan zechce być młodym, czy starym dnia tego, szaleć czy stękać, przyjmować czy odpędzać ludzi. Tam to była robota! a tu, panie, żadna sztuka, wyczyć się swoich godzin!

Jaś się uśmiechnął z radością; nanka szła dalej i z nadzwyczajną swoją pociechą około południa był pewien, że Puślikowski doskonale Terminińskiego zastąpi. Nadszedł też i Sobocki, bez papierów, z twarzą już rozognioną śniadaniem obfitem i jakąś radością wewnę-



trzną; rzucił się na krzesło, potarł włosów, zagryzł palce i krzyknął:

— A cóż! kontent jesteś z mego Puślikowskiego?

— Bardzo!

Puślikowski się nisko uklonił.

— Teraz — rzekł Jaś — ua przypadek, potrzeba go oporządzić, żeby był gotów na pierwsze skinienie moje, i niech czeka.

Sobocki dobył sakiewki i pomyślał, porachował i jako zadatek dał kilka rubli odchodzącemu, mówiąc: Pójdiesz do krawca Abramka, niech ci miarę weźmie na suknie porządne.

Po chwili sami z Jasiem zostali, który pałał ciekawością dowiedzenia się czegoś o drugim zastępcy, o kandydacie na pannę Anielę.

— Wspomniałeś mi — rzekł — o jakiejś pani, czy pannie....

— Właśnie chcę cię do niej zaprowadzić — odpowiedział Sobocki — bo jużem się z nią widział i coś jej naponiknął o tem... Ale ty znasz lepiej gust stryja; powiesz mi czy nuiiałem wybrać.

— Naprzód, jestże to co przyzwoitego?

— O! ba! spodziewam się! — zawołał kancelista — tak dalece że aż nadto nosa zadziera.

— Zmiłuj się, któż to taki? co to za jedna?

— Kobieta czy djabeł, z pewnością powiedzieć nie mogę — rzekł po chwili Sobocki — ale to pewna, że jak żyje anim widział podobnej, anim sobie wyobrażał, żeby pod słońcem była. Zkąd to wyszło, nie wiem i nikt dotąd nie doszedł; ale wychowana jak księżniczka, piękna jak królewna, a sprytna jak żydówka, kiedy chce utargować. Lat temu będzie trzy, jakiś magnat jadący do Warszawy z tą panią, rozchorował się tutaj i umarł. Została tedy, bo krewni jacyś przypytali się po nim do sukcesji, tak, że grosza słysze przy duszy jej nie zostawili, i nie było czem opłacić na stancji, bo z jakiegoś wielkiego gniewu, obrali ją nawet do fantów. Od tego czasu, żyje ta jejmość tu na bruku, w porządnym domku, z czego i jak nie

wiadomo; przyjmnie ogrom młodzieży, trzepieć się, czasem podbala muca studentów i starych wisnów, od wszystkich musi coś wydurzyć; a wesół, a pewna siebie! Zobaczysz! Co się tycze wychowania, talentów, i znalezienia się, daleko pannie Anieli do niej; twarz jakby miała lat dwadzieścia kilka, choć dużo podobno więcej pamięta, a sprytna jak brzytwa.

— O! o! żeby tylko nie była nazbyt znown przebiegła. bo by nas wszystkich mogła daleko zapędzić? — zapytał Jaś niespokojny.

— A! to trzeba w istocie rozważyć! bo jej dowierzać nie można, kogo zechce nsidli, jaką chce odegra rolę... i co zechce to dokaże, zwłaszcza ze starym rozpustnikiem jak stryjaszek dobrodziej.

— No, ale czyżby się podjęła na wieś, do takiej pustyni, na wieczne nudy jechać?

— Są bo widzisz okoliczności różne, które ją do tego zmuszą — rzekł Sobocki — coraz jej tu gorzej się wiedzie; brak ludzi, co jest to hołysz, nważałem że koło niej kręto bardzo i coraz ciasniej. Tymczasem buziaczek może obkwitnąć, trzeba o sobie pomyśleć....

— Wspomniałeś jej co o tem?

— Tak, trochę napomknąłem.

— I cóż?

— Odpowiedziała ni to ni owo, ale ją mam w ręku, to pewna.

— No! przyznać ci muszę, że z ciebie człowiek jedyny — odparł Jaś — jeśli się tn tak uda jak z Pnślikowskim. wart jesteś żeby cię ozłocić. Ale chodźmy zobaczyć twoją panią, jakże się nazywa?

— Bóg wie, znają tn ją pod nazwiskiem pani Tryze... Zobaczymy tylko która godzina, bo nam. się kazała stać na dwunastą... dochodzi... możemy rnszać.

To mówiąc, z domu Arona powiódł Sobocki Jasia na jedną z bocznych ale najczystszych uliczek. Tn, przyparty do starych opustoszonych murów dawnego zamku, stał domek z ogródkiem maluteczki, nie nowy, ale wesół mający fizjognomję, bo go otaczała zieloność i drzewa. Sztachety oddzielały małą przestrzeń,

zajętą kwiatkami nie bardzo wykwintnemi, ale pielęgnowanemi starannie; domek miał minę uczciwego mieszkania urzędnika lub właściciela. W jego okienkach z dala misterne widać było firaneczki, wazoniki i pioska, który w szyby patrząc, wartował. Pusto tu było i cicho.

Weszli przez malouką sionkę czystą, umiecioną i utrzymaną z widocznem staraniem. Z tej do pokoju zakrawającego na salonik, ciemnawego, nie bardzo przystrojonego, w którym ubóstwo klóciło się z pretensją wytworności.

Moble były tych oklepanych kształtów właściwych miejscu, które zobaczysz wszędzie, aż do zajezdnych domostw, kanapa do nich podobna, ale pokrycie smakowne choć tanie, nieco jo podnosiło.

Pod oknem stał lichy fortepianik, a na półce były graciki, między którymi niektóre kosztownością zastanawiały.

Na wielkim okrągłym stole, okrytym wypłowiałą ale drogą makatą, stał bukiet przywiedły. Smutno tu było czegoś, ponuro, bo wszędzie przez szpary kłamaniej elegancji, wyglądało piszące ubóstwo. Ale dywanik wyścielał drogę do drugiego pokoju, i poduszki haftowane suto zdobiły niewykwintne siedzenia. Obejrżeli się ledwie przybyli, gdy nie dając im czasu do rozmyślnu i wniosków, ukazała się pani domu.

Jaś ciekawo oczy w nią wlepił i stanął osłupiały.

Wyobraźcie sobie państwo co ją znacie, loretkę parryzką, zmuszoną do życia w jednym z naszych najlichszych miasteczek, upadłą, zgnębioną, przygniecioną położeniem, a usiłującą miną nadrobić i nie dać się zwyciężyć ani poprawić nieszczęściu.

Pani Tryze była tak śliczna, tak urocza, jak gdyby piękniejsza dusza mieszkala w tej postaci, na wzór dla malarza, na ideał dla kochanka stworzonej. Życie przeszło po niej, jak wieki płyną po marmurowych Grecji posagach, nie nadwreżywszy jej wdzięku, nie odjawszy jej promieniejącej piękności, nie zgasiwszy ognia co z oczu jej strzelał dziś jeszcze. Słuszną, wysmukłą,



cienka i zręczna, wyszła w ubraniu ułożonem z największem kobiecem mistrzostwem.

Miała prostą płócienną sukienkę, ale ta leżała na niej jak ulana, biały kołnierzyk i jedną za całą ozdobę bransoletę, ostatek może dawnej zamożności, przepysznej roboty, ze starożytną kameą. Na głowę nie włożyła czepka, włosy zaczesane gładko, a warkocz gdyby go rozpuściła, byłby ją okrył jak płaszcz królewski. Włos ten miał rzadką barwę czarno-kruczą, łuk brwi zdawał się zarysowany tuszem, a oczy z pod nich szafirowe prześliczne, patrzyły niesłychane przybierając wyrazy i jak Kameleon wszystkie biorąc barwy uczucia. Biała pleć, przepyszne ramiona, ręce malutkie, starannie okryte ciasną rękawiczką dopełniały obrazu tej całości, która zdumiała tak Jasia, że w ustach mowa mu zmarła ze strachu i podziwu.

Spodziewał się on czegoś bardzo pospolitego; znalazł co nie marzył i prawie się przeląkł.

Pani Tryze, ledwie okiem spojrzawszy po gościach wskazała im krzesła, a sama rzuciła się na kanapę.

Rozmowa przez nią poprowadzona, poszła z największą łatwością, po przedmiotach, które nie będąc oklepiane, były jednak wszystkim dostępne. O treść podobną tak łatwo w małym miasteczku!

W ciągu jej, Jaś, który się mało mieszał do żywych rozpraw o sąsiadach miejskich owych państwa, ciągle z oka nie spuszczał zachwycającej gospodyni. Nie pojmował dotąd, jak Sobocki potrafi się odważyć mówić z nią o tem co ich tutaj przywiodło. Ze swej strony pani Tryze, nie okazując wcale, że się wpatruje w Jasia, egzaminowała go bacznie, i dziwiła się pewnie, co może znaczyć u niej tak niepoczesny wysłaniec. Odkryła w nim wprawdzie przebiegłość i zepsucie, ale ubogi strój ją zraził, i minka niechętna dostatecznie to okazywała.

Po chwili, Sobocki spojrział na zegarek, przypomniał sobie jakiś interes i pochwycił za kapelusz.

— Ja tu zaraz powrócę — rzekł szybko — zosta-



wiam pod opieką pani mego szwagierka, proszę mi go tylko nie zbałamucić.

A Jasiowi szepnął:

— Śmiało rozmów się o wszystkim, we troje to nie idzie; za godzinę powrócę.

Jaś usiadł zmieszany, niewiedząc od czego począć, ale ledwie się drzwi zamknęły za Sobockim, przysunęła się ku niemu pani Tryze, do reszty dobila go wzrokiem swoim i sama, widząc jego nieprzytomność, zaczęła:

— Niechże mi pan powie — słodziuchnym odezwiała się głosem — któż to jest ten stryj pański? Trochę słyszałam o nim, ale radabym wiedzieć więcej?

Powiedziała to tak po prostu, niez mieszana, nie zarumieniona, że Jaś języka w gębie zapomniał.

Pierwszy to raz w życiu znalazł się w obec tak zachwycającej kobiety, pierwszy raz uczuł siłę wzroku który zna co może i umie spełać gdy zechce; krew zawrzała w nim i wszystkie namiętności, wywołane przykładem, mową, osamotnieniem gorącym, zburzyły się w nim gwałtownie. Jaś nie był panem siebie, w głowie mu się mieszało, serce biło w piersi, myśli rozpierzchłe leciały wściekle jak chmury na burzę; pani Tryze spostrzegła to widać, rada była wrażeniu znamionującemu jej zwycięstwo, i powtórzyła nalegając:

— Któż to jest stryj pański, ten Kasztelaniec Zawilski?

Zadanie było trudne, a Jaś nieprzytomny, źle się z niego wywiązał, i choć mu pomagała kobieta, nie-dobrze zdał sprawę z zamiarów które go sprowadziły, ale domysłność pani Tryze dopełniła czego brakło. Uśmiechała się ona zmieszaniu młodego chłopca, zgadywała i podchwytywała myśli jego, które bojaźliwie wyrażał, wyjaśniała je sama zadziwionemu, i choć Jaś niewiele jej potrafił powiedzieć, domysliła się wszystkiego, nawet namiętności którą wzbudziła w pośle.

W istocie, szatan to być musiał ta kobieta — oko jej zabłysło jakimś ogniem straszliwym, niepokonanym, strzeliło jakąś potężną nadzieją, i po chwili zasunęło

się mgłą łzawą, smutkiem kapryśnym, zamysleniem dziwaczmem... Cały tam świat dumań, szybko jak błyskawice przelatujących, musiał się zmieścić między jednym a drugim. Wstała milcząca, spuściła głowę, przeszła się po pokoiku, któren szyderczym teraz objęła wzrokiem i zbliżyła się do zdziwionego Jasia, wracając do zalotności powszedniej z którą go powitała.

— Prawdziwie — odezwała się — ze wszystkich wypadków mojego życia, bogatego w wypadki, to może najdziwniejszy. To mi daje miarę mojego upadku! Na co zesła biedna Eliza! — wpół serjo, wpół żartem zawołała łamiąc ręce... — ale są okoliczności — spojrzęła dwuznacznie — w których się wiele robi!!

— Mogę się więc spodziewać? — spytał Jaś.

— Że pojedę na ochmistrzynię do waszego Kasztelanica — dorzuciła szybko — a tak! tak! muszę! Wolę to, niż gnić w tem małym, przemierzłem miasteczku, gdzie żyję wśród szui, i gdzie mnie sądzą ludzie po sobie... Bądź pan spokojny: ze starym kapryśnym rozpustnikiem dam sobie rady; nie boję się go wcale, nie będę mu płakać i scen czułych odegrywać, ale go śmiechem i szyderstwem dobiję... Zresztą! tu! tam! niżej czy wyżej! gorzej czy lepiej! — zakrzyknęła z jakimś dziwnym wyrazem — byle skończyć, byle żyć póki wątku staje i dograć tej głupiej komedji do końca.

To mówiąc ruszyła ramionami; Jaś nie rozumiejąc, spoglądał na nią ciągle zdumiony i coraz bardziej wdziękiem tej oryginalnej postaci przejęty.

Nie wiem, czy ta rozmowa tak dziwna, czy przykre położenie kobiety, czy wspomnienia rozdrażniły mocno panią Tryze; była widocznie podniecona, rumieniec tryskał jej z twarzy, ruchy szybkie, rzuty oka ogniste, oddech przyspieszony, dowodziły niezwykłego stanu duszy. Na przemiany to uśmiech, to wyraz bólu i dzikiego szyderstwa, prześlizgał się po jej ustach, a słowa towarzyszące im, płątały się dziwną tkaniną niezrozumiałych utyskiwań i odgrózek.

— Nieprawdaż — mówiła — że to los godzin zaz-

drości! Ochmistrzynią u stoletniego starca, co kocha z rządu wszystkie swoje ochmistrzynie dla rozrywki! Cha! cha! cha! to wyborne! Godnam była tego końca! śliczny wieniec życia! Tak być musiało! tak być powinno! A musi być miły stryjaszek? nieprawdaż?

Ruszyła ramionami. — Pani Eliza Tryze ochmistrzynią! A! juściż to lepsze, niż pani Eliza w małej mieścinie niewiedzieć czego siedząca i po co? którą palcami pokazują jako kochankę wszystkich co u niej raz byli!!!... To lepiej... A więc, jadę do tego Strumienia.

Jaś przerwał mowę kilką słowy.

— Nie przedzaj — rzekł — aż dam znać i przyszlę po panią, to jest gdy wszystko gotowe będzie na jej przyjęcie.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Wiercie mi, niecierpliwie czekać będę; to coś nowego w zeciu, któremu tak brak zajęcia i nowości — to bardzo ciekawe dla mnie i zabawne; pragnę, żeby to było jak najprędzej...

— I ja się o to starać będę...

— A więc umowa zawarta! — zawołała klaskając w ręce — to wybornie! to wybornie.

I śmiała się do rozpuku.

W tem nadszedł lisiem okiem mierząc ich oboje Sobocki; pani Tryze poskoczyła przeciwko niemu.

— Dobiliśmy targu — odezwała się śmiejąc ciągle — jadę do Strumienia na klucznice!

— No! to i dobrze! — rzekła kancelista — spodziewam się, że wszystkim z tem dobrze będzie.

— A mnie — spytała kobieta nagle — i mnie myślisz, panie Sobocki?

— Dlaczegoż nie — odparł cynicznie przybyły — spokojny i dostatni kawałek chleba.

— Zapewne — robiąc minkę śmieszna piszczącym głosem staruszki odezwała się pani Tryze — kawałek chleba z miłosierdzia! dla mnie i to dobre! O! jak to pocieszenie! jak to pocieszenie — dodała — okręcając się po pokoju.

Tych słów domówiwszy rzuciła się na kanapę, zakryła oczy, zamikła, a gdy dłoń po chwili podniosła i obejrzała się, zdając nie wiedzieć co się z nią działo — oczy jej były dziwnie czerwone.

Wszystkie jej ruchy, miny, wyrazy, nagle zmiany głosu i twarzy, były dla Jasia zagadką; ale ta istota kapryśna, dzika, niepohamowana, zrobiła jednak na nim wrażenie tak silne, że gdy pożegnawszy ją wyszli z małego domku, uczuł się jakby pijanym. Świat mu się kręcił i tańczył w kolo, a z każdej strony, kątka. zdawały się nań patrzeć te czarodziejskie oczy szafirowe, z których tryskał gniew, uśmiech, miłość i smutek, jak gdyby w duszy co się niemi tłómaczyła, wszystkiego było do brzegów...

— A co, albo nie śliczna i nie miła kobieta? — spytał poklaskując Sobocki i zaglądając w oczy Jasiowi — a co? nieprawdaż?

— Śliczna to prawda — odpowiedział po chwili zapytany — ale dziwne stworzenie! Boję się o starego, żeby go kaprysami nie zamęczyła.

— Strach to próżny — rzekł Sobocki — potrafi z siebie zrobić co zechce, byle chciała! Bądź spokojny; to główne, że przyrzekła pojechać. A zatem, panie Janie, mamy już na miejsce Termińskiego doskonałego kamerdynera, na miejsce nudnej panny Anieli, ochmistrzynię i — podał wyjmując papier z kieszeni — świadectwo urzędowe, że żadnego brata nigdy panna Aniela nie miała, ani przyrodniego, ani stryjecznego nawet. Teraz możesz jechać i działać, a ja tu tymczasem — rzekł spoglądając z ukosa — wszak przygotowuję testamentik?

— Tak! ty przygotuj testament! — szepnął roz-targniony Jaś — a ja postaram się o resztę...

— I fortunka nasza! — krzyknął kancelista podskakując choć byli na ulicy... dopieroż zahulamy!

---

V.

Gdy się te intrygi knują w miasteczku, w Strumieniu pozostawieni spiskowi, spieszą z dobieciem swego, rachując na słabość Kasztelanica, na jego osamotnienie i starość do nałogów przyrosłą. Pan Samuel patrzy i nic nie widzi: doświadcza tylko złych humorów, czuje zwiększającą się obojętność ku sobie, skwaszenie starca i swoją w obec tego bezsilność. Rotmistrz je i poluje, poluje i zajada.

Kasztelanic chodzi chmurniejszy niż kiedy, żółty, zestarzały, zdając się zbierać na wielki jakiś krok, na który zdobyć mu się ciężko. Nieraz już westchnął, głowę spuścił i w chwili swej drzymki codziennej, głęboko zamyslił.

Na dobitkę jeszcze, krewui poczęli, przypominając się staremu krewnemu swemu, obsypywać go coraz częściej darami, nawiedzać listami, nudzić komplementami i do reszty zrażać ku sobie natrętnością, w której on widział tylko dowody chciwości. Nie jeden list zdarły został ze złości próżno hamowanej, nie jedno przekleństwo i straszliwy błysk oczów przywitał ofiarę, mordernie przysposobioną i obmyślaną; starzec jednak tyle miał mocy nad sobą, że każdemu odpisywał grzecznie, uprzejmie i nieledwie czynił nadzieję wdzięczności. W tych trzech dniach, w ciągu których nie było Jasia do pisania odpowiedzi, przyszło sześć listów, a na nie pod dyktą Kasztelanica odpisywał pan Samuel, rad że go przecie do czegoś użyto. Rotmistrz to wszystko krzywo pozakopertowywał, popieczętował plamisto i posłańce odjechali z nadziejami.

Ostatniego wieczora, uprzedzającego powrót Jasia, Termiński, który go się już co chwila spodziewał i choć nie lękał, ale jakoś strzegł instyktowo czując w nim nieprzyjaciela, przypuścił najformalniejszy atak do starca.

Wszedł niosąc pogroźkę przybycia pułkownika, który sam miał zjechać dla upomnienia się o honor siostry swojej. — Kasztelanic zniósł straszną groźbę zaciąwszy

usta i odesłał po odpowiedź do jutra. Po Terminińskim, we łzach cała przywlokła się panna Aniela, zapowiadając rozstanie i wynurzając swe żale, że ją okoliczności do takiego kroku zmuszają. Kasztelanie wysłuchał dosyć cierpliwie mowy, popatrzył na lzy z ciekawością dziecięcia, co je po raz pierwszy widzi, westchnął nawet nie wiem z jakiego powodu, ale na wszystkie zakłęcia, narzekania, strachy i napady martwym się okazał.

Twarz jego zmieniona, wywrócona, straszna, tyle już miała wyrazu zuiecierpliwienia i gniewu, wydobywającego się na wierzch mimowolnie, że spiskowi oboje zcierpli tego wieczora spostrzegłszy za późno jak fałszywą i do niczego niewiodącą wzięli się drogą. Ale oboje za daleko byli już zaszli, by się zwrócić, choć nie wiedzieli co począć.

Gdy stary znękany trzymaniem się na wodzach, usnął nareszcie, czy sen ndał dla pozbycia się swych prześladowców, Terminiński pobiegł niespokojny do pokoju panny Anieli. Znalazł ją nieorozebraną i chodzącą żywo z wyrazem niepokoju po pierwszej izdebce. Spojrzeli sobie w oczy i odgadli się wzajemnie.

— A! źle pannu Anielo! — zawołał Terminiński trąc czuprynę i wykrzywiając usta — przez pannę ja mogę stracić wszystko, com długą służbą sobie zarobił....

— Przezemnie! — zawołała obrażona i rozjątrzona kobieta -- co to jest? czy prosłam pana, żebyś się mną opiekował? To ja raczej wymawiać mu bym mogła, żeś mnie zaplatał w niepotrzebne kłopoty! Kasztelanie nadto ma przebiegłości żeby się dał tak wziąć! to dzieciństwo!

— Tak! a czemużeś Waćpanna nie mówiła mi tego wprzód? — zapytał kamerdyner....

— Tu niema co robić sobie wyrzutów! — zawołała Aniela — potrzeba radzić; źle jest!

— Ja to widzę że źle.... ale już się niepora cofnąć! — zamysłony odezwał się mężczyzna, dumając tylko jakby się pozbyć Anieli i poświęcając ją, siebie ocalić.

— Potrzeba radzić! — powtórzyła gniewnie kobieta,



która chciała już w duszy wyznać wszystko Kasztelaniewiczowi i zwalić winę całą na Terminińskiego.

Spojrzeli sobie w oczy i ledwie nie przeczuli, że się zdradzić pragnęli.

— Kasztelanie jest, jak nigdy nie był — zawołał Terminiński — to pewna. Znam go dawno, a nigdy takim nie widział; gotów dla spokojności na wszystko!

— I ja to widzę!

— No! to radźże Waćpanna!

— Radź Waćpan, jakieś radził sam i robił od początku, ja umywałam od tego ręce.... Sama byłabym go doprowadziła do ożenienia powoli. Waćpan wszystko popsułeś pośpiechem.

— Nie ja pewnie, Waćpanna swemi nedorzecznymi łzami; trzeba było to robić na wesoło, nie na beksliwo... a byłoby dobrze....

Oboje tak wynawiali sobie wzajemnie winę wspólną, gdy turkot wózka, który już po północy przywiózł Jasia do oficyn, wstrząsł Terminińskim i zagnął go do powrotu. Rozeszli się kwaśno z myślami zdrady, z gniewem ku sobie, z niespokojem trudnym do ukłóysania.

Nazajutrz, w porze obiadowej zwyczajnej, Jaś kwadransami jak zwykle poprzedzając Kasztelanica, wszedł do salonu. a na twarzy jego nic nie oznaczało wielkiego zaprzętnięcia i niebezpiecznych zamiarów. Wejrzenie wczoraj do kłaustwa przynieszonego chłopaka zimno było, i nie zmieszane ani nadzieją, ani strachem.

Kasztelanie ukazał się po chwili, zmieniony, żółty i zmierzyl okiem ciekawem Jaska, który go pokornie powitał, całując białą jego i suchą rękę.

— A nie hulaleś tam Acan z Sobockim? — spytał Kasztelanie.

— Nie — rzekł Jaś — radziłem się lekarza i siedziałem z siostrą.

— Cóż tam słyhać w tej powiatowej dzinrze? — rzekł po chwili stary, oglądając się już na śniadanie które wnoszono.

— Nie, cicho, stryju dobrodzieju — odpowiedział Jaś



— drogi już jesienne, ludzi mało, i pustka gorsza niż kiedy.

— Hm! — chrząknął Kasztelaniec zabierając się do śniadania, i na tem skończyła się rozmowa. Nie pora była ją przedłużać; bo pan Samuel i Rotmistrz, pilnując się obiadowej godziny, otworzyli drzwi i razem weszli do sali.

Obiad przeszedł w złowrogim milczeniu. Panna Aniela stawiała się do stołu, ale na nią ani spojrział Kasztelaniec, ani zagadał do Terminińskiego; kilka razy ukradkiem obejrzała się ona na Jasia, który spokojnie oczy miał wlepione w swój talerz i udawał skromnego, niewinnego chłopaczka. Bulwa, polityk, wielki znawca ludzi, choć go o to z brzucha i facjaty nikt nie posądził, czuł jakieś zmiany w powietrzu! przewidywał katastrofy, i siedział jak na szpilkach, uiewiedząc zkąd piorun uderzy, a lękając się żeby guza nie oberwał.

Pan Samuel równie milczący jak wszyscy, i co mu się często zdarzało, żeby sam potem bratu nie przerywać, wysunął się w czasie ustawiania warcabów, a Rotmistrz korzystał z otwarcia drzwi i drapnął za nim. Bulwa, nie spytany o nic, odprawiony skinieniem, umknął zamyślony, tak że przy grze rozpoczynającej się machinalnie, już nikogo nie było.

Tę właśnie chwilę obrał Jasiek do zadania śmiertelnego ciosu spiskowym; posunął pierwszą figurę, podniósł głowę, zbladł jak chustka bo wiedział co ważył, i rozpoczął:

— Stryj dobrodziej, czy uchowaj Boże nie cierpiący? bo go widzę od tych kilku dni zmienionym?

Jakkolwiek cicho i ostrożnie wymówione były te wyrazy, że gra powinna się była odbywać w milczeniu, a Kasztelaniec przywykł do posłuszeństwa Jasia, uderzyło go to śmiałe odezwanie się; cały się wzdrygnął, oczy wzniosł blade i spytał:

— Od kiedyż to się mówi przy grze?

— Ja bo mam bardzo ważne powody do mówienia — odparł Jaś cichutętkim tak wymierzonym głosem, by go z pod drzwi dosłyszeć nie było można; — mam

coś oznajmić stryjowi dobrodziejowi, a że nie trafia mi się w innej chwili sposobność....

— Ale cóż to jest? — groźnie zapytał Kasztelanic.

— Wielka śmiałość moja, za którą naprzód prze-błagać mi potrzeba — odparł Jasiak żywo korzystając z chwili gry — ale może stryj dobrym chęciom wy-baczy....

— Co to za płatauina? co to za nowa komplikacja! — z gniewem wewnętrznym i oczyma błyszczącymi mówił stary — chcesz bym i ciebie wypędził....?

— Chcę, byś stryj dobrodziej owszem, był oswobo-dzony....

— Co, od kogo?

— Proszę o chwilę tylko....

— Mów, ale pamiętaj co mówić będziesz....

— Jestem młody, ale dojrzałem wczesnie — zawołał Jasiek posuwając wciąż machinalnie figury, które Kaszte-lanic zabierał równie bezmyślnie grając — widzę co się koło mnie dzieje, i żal mi stryja, rzuconego na łup intrygantom:

— A! — uśmiechnął się stary przerywając grę.

— Termiński i Aniela są w spisku: słyszałem ich zmowy; obiecanych ma sto tysięcy jeśli wyrobi że się stryj z nią ożeni. Wiem że straszą jakimś tam puł-kownikiem, oto jest dowód — wydobył z kieszeni pa-pier — że panna Aniela nigdy nie miała rodzeństwa...

Kasztelanic wyciągnął rękę po papier, twarz jego była jeszcze chmurna, oczy kłóły wejrzeniem bezli-tośnem.

Nie jednak nie rzekł, tylko szydersko i niespokoj-nie razem wypatrywał się w Jasia, który drząc mó-wił dalej:

— Zdawało mi się że ocalić stryja z rąk tych intry-gantów, co mu spokoju nie dają, było moim obowiązkiem.

— Obowiązkiem! — pomruknął Kasztelanic — wszy-scy aż do dzieci muszą się mną opiekować! Na honor jest bardzo zabawne! I cóż dalej panie Janie?

— Zdało mi się, że po tem co się stało i panna

Aniela i Terminiński nie mogą, nie powinni tu dłużej pozostać — kończył Jaś odważnie.

— Śmiało! śmiało! — pomrukiwał Kasztelanic — no, więc cóż?

— Pomyślałem jednak, że bez usług trudno się będzie obejść stryjowi, że należało przygotować im następców!

— I po toś jeździł do miasteczka? — szydersko spytał stary...

— Tak jest; mam kamerdynera za którego rękę, że zastąpi i przewyższy dawnego w najtroskliwszej usługach...

— Cóż to za jeden? — ciekawie po cichu już zapytał starzec uśmiechając się dziwnie — toby był dobry figiel!

— Służył on u księcia B... do śmierci jego; niezmiernie zręczny i bardzo pocziwy człowiek!

— O! i pocziwy nawet! — uśmiechnął się stryj — sądzisz jak dziecko! cóż dowodzi pocziwości? czy dziury na łokciach?

— Mam także kogoś na miejsce pauny Anieli..

Kasztelanic podniósł się z krzesła, wyprężył, oczyma ogromnie zmierzzył Jaśka i widocznie zdziwiony usiadł powoli, zamysławiając się. Z tego opanowania i wrażenia jakie widocznie wywarł na starcu korzystając, Jasiek kończył:

— Jak tylko stryj rozkażesz, można będzie posłać konie do miasteczka i sprowadzić zastępców.

Kasztelanic milczał, głowa jego pochyliła się na piersi, myślał głęboko i długo. Jaś drżał oczekując odpowiedzi.

Po strasznej a długiej chwili milczenia, Kasztelanic z uśmiechem starego satyra, zmrużonemi oczkami spojrzał na skłopotanego synowca.

— No! — rzekł — trzeba ci oddać sprawiedliwość: masz odwagę i wiele sprytu... nie darmoś mój chleb jadł! Wszystko to dobrze! zobaczmy co z tego być może; ale życzę ci bądź ostrożny, w niebezpieczną się grę wdałeś. — Szczęściem trafiłeś na dobrą chwilę...

— Com zrobił to pewnie z przywiązania do stryja — przebąknął młody chłopak.

— A! ba! dajże mi pokój — uśmiechnął się niedowierzająco Kasztelaniec — tem mnie nie obalamucisz... Masz nadzieję że coś zrobił wypłacić ci się powinno; chcesz się pomścić na sługach co tobą pomiatali, to rozumiem; a co się tyczy przywiązania, dajmy temu pokój... ja się na to nie biorę... długo żyłem! znam ludzi dobrze! do starych kości trudno żeby się kto przywiązał!.

Jaś nie nalegał.

— Wiele odwagi! wiele odwagi — dodał Kasztelaniec powoli i jakby do siebie — to zabawna rzecz! Zobaczymy! zobaczymy! miej wszystko na pogotowin! Zobaczym! może coś być z tego. Spodziewam się jednak żeś Acan nie zobowiązał się względem tych ludzi? żeś im nic nie obiecał? żeś nie przyrzekł formalnie, i nie zgodził się na moją kieszeń?

— Wszystko to zostaje w mocy i woli stryja! — dodał Jaś — ja tylko ich wyszukałem...

Na tem skończyła się partja, która i tak chwilę dłużej trwała niż była powinna; obawiał się młody chłopak, by Terminiński znowy nie zwietrzył, i gdy Kasztelaniec uśmiechnięty nieco, ale zamyślony razem wychodził do swoich pokojów, Jaś się wysunął jak zwykł był do izdebki w oficynie.

Nie wiem jakim szczęściem, ważna rozmowa między Kasztelanicem a synowcem nie została podsłuchaną. Terminiński nie domyślał się jeszcze niczego, niespokojny dumał tylko, jakby albo swego dokonać, albo się cofnąć w porę. To jednak trudnem było; — za daleko zaszedł, zbyt widocznem byłoby kłamstwo i podejście, zbyt upokarzające odstąpienie; szukał jakiegoś środka i znaleźć go nie mógł. Znal on nadto Kasztelanica, by przypuszczał że się lada czem da mu wyklamać; zdawało mu się że pierwsza bajka o pułkowniku była dobrze osnutą, przekonywał się dziś że nie posłużyła na nic; trudniejszem jeszcze wydawało mu się zadanie wypłatania z niej teraz. Chodził więc

niespokojny i zafrasowany, przeklinając w duchu pannę Anielę, a panna Aniela oddawała mu to z nawiązką.

Nadszedł wieczór, po dniu spędzonym zwykłym trybem, i nie bez obawy Termiński wsunął się do sypialni Kasztelanica, który jakby na przekór jemu, zdawał się weselszy i swobodniejszy.

Postanowił, po rozmyślach wielu, dobijać do ostatka zamierzonego dzieła, a gdyby Kasztelanica okazał mu nareszcie groźną twarz i niepokonane serce, cofnąć się zasłaniając panną Anielą, na którą wszystko miał rzucić. Aniela ze swojej strony prawie podobny nsnuła projekt, zamierzając pozbyć się Termińskiego, wyznaniem, że on ją na to co robiła namówił.

Dobry humor Kasztelanica, który łatwo było poznać Termińskiemu po najmniejszym starca ruchu, a niedługo po zwierzejszej postawie, trochę go zniepokoił; zbliżył się śmiało i począł milczącego rozbiierać...

— Cóż tam słyszeć o pułkowniku? — spytał po chwili stary z widocznym bardzo szyderstwem, sam pierwszy zaczynając.

— O pułkowniku! — niespokojnie rzekł Termiński, zdziwiony wspomnieniem którego zwykle unikał stary — ja nic nie wiem nowego; może co ma panna Aniela?

— Juściż gdyby miała, pierwszybyś o tem wiedział jako wierny jej konfident — podchwycił stary, — a zatem nic nowego?

— Dosyć dawnej z nim biedy! rzekł Termiński — jak uważam, to się musi na tem skończyć, że panna Aniela, jakkolwiek przywiązana do Jaśnie pana, będzie przynuszona go opuścić.

— A Waćpan jako jej przyjaciel i doradzca — zimno dorzucił Kasztelanica obwijając się szlafrokiem — zapewne za nią pójdziesz?

— Ja? — zmieszał się sługa.

— Tak sędzę! tak przeczuwam! tak się domyślam! — na różne trzy głosy żartobliwie odezwał się Szambelan. Termiński zastygł ze strachu; ale myśl nieszcześliwa, myśl że nikt go zastąpić nie potrafi przy starcu,

który długimi laty przywykł do niego, dodała mu zuchwalstwa.

— Jeślim już Jaśnie panu niepotrzebny — odezwał się śmiało....

Kasztelaniec spojrział na niego zimnem mściwem okiem.

— Jakżeś to zgadł! — rzekł chłodno.

Pomimo strachu któren uczuł, Termiński jeszcze nie wyobrażał sobie, żeby do czegoś przyjść mogło, bo ufał zawsze że go nikt zastąpić nie potrafi, nie domyślał się grożącego niebezpieczeństwa; odwrócił jednak rozmowę.

— Czy Jaśnie pan położy się? mam zawołać panny Anieli?

— Swoim porządkiem! swoim porządkiem — rzekł Kasztelaniec — powinieneś go się był nauczyć.

Wedle tego porządku, dzwonek dał znać pannie Anieli o jej godzinie; Termiński poukładawszy wszystko usunął się, a ochmistrzyni weszła, jak od dni kilku była zwykle, ze smutną twarzą i wyrazem niespokojności. Jej także zdawało się że nikt zastąpić nie potrafi przy starcu zużytych, nałogowymi obawiającym się najmuńiejszej zmiany, która życia więcej trochę niżeli zamierzał wyczerpać mogła.

Nie będziemy opisywali tej sceny, która się powtórzyła u łoża Kasztelanica: była ona dalszym ciągiem dawnych, ich rozwinięciem i dopełnieniem. Stary wysłuchiwał żalów, lez i groźb z zupełnie zimną krwią i zwykłym szyderstwem, nie odzywając się prawie, lub przerywając tylko wynurzenia kołacem pół słówkiem. Ranna narada z Jasiem wzięła skutek: postanowił uwolnić się od napastników, którzy widocznie na słabość jego rachowali i znosił ostatek prześladowania z obojętnością człowieka, co sobie obmyślił skuteczne na nie lekarstwo.

Nazajutrz, zaledwie przebudzony Kasztelaniec rozkazał zawołać do siebie Bulwy. Nie była to godzina zwykła, i Termiński niespokojny, polecał, nie mogąc się domyśleć co to znaczyć miało. Bulwa schwycony

w łóżku, gdyż po preferansie którego lubił, wysypiał się wygodnie, ledwie miał czas wdziąć na siebie węgierek i przestraszony poleciał do dworu.

Zastał pana siedzącego w krześle, spokojnego, z wypogodzonym czołem i wyrazem silnego jakiegoś postanowienia na twarzy. Stał u drzwi oglądając się niepokojnie.

— Waćpan chcesz zapewne ostać się na swoim miejscu? — spytał go zimno Kasztelanic — nie życzylbyś sobie stracić go?

— Jakto Jaśnie panie? — wybelkotał struchlały Bulwa... Jak żonę i dzieci moje kocham... jak pragnę zbawienia... ja... o niczem nie wiem i nic winien nie jestem....

— Alboż cię obwiniam? — powolnie począł stary zażywając tabaki — pytam się tylko, czy chcesz na swoim miejscu być dłużej?

— Całe moje życie, wedle rozkazu... szybko zawołał Bulwa.... gotów jestem i pragnę służyć Jaśnie pann.

— Koniec końcem, chcesz mój chleb jeść to słuchajże mnie — rzekł starzec, — i spełnij święcie co ci będzie rozkazano, nieoglądając się na nic.

Ciarki chodziły po skórze pana Bulwy, który apren-dował, że się coś bardzo ważnego stać musi, i drżał cały.

— Rozkażesz Waćpan zaprządz konie, upakować rzeczy i odwieźć naprzód pannę Anielę do miasteczka....

Ta nowina tak była niesłychaną, że rządcy zdawało się w początku, jakby się przesłyszał; postrzegł to z jego twarzy Kasztelanic, i powtórzył:

— Panna Aniela wyjedzie najdalej o trzy kwan-dranse na trzecią, tak, żeby jednym dniem, u siebie w domu stanać mogła.

— Wedle rozkazu! — szepnął zdumiony Bulwa.

— Spytasz się Waćpan także Termińskiego, dokąd życzy być odesłanym, gdyż i on odjeżdża. Termińskiemu daje się czasu do jutra na przygotowanie do podróży. — Słyszysz Waćpan?



Zapytanie to nie było bez przyczyny, rządzca bowiem, którego ściśle stosunki łączyły z kamerdynerem mający w nim protektora i osobistego przyjaciela, nie wierzył uszom i osłupiał, nie mogąc znaleźć słowa.

— Ale Jaśnie panie! — odważył się wybąknąć.

— Tu nie ma żadnego ale — szybko zawołał Kasztelan — jest mój rozkaz i zostanie spełniony. Terminski zapewne wyjeżdżać nie zechce, będzie szukał powodu zostania, może pomyśli się tu ukryć do czasu; otóż masz Waćpan wiedzieć, że jeśli na to pozwolisz, lub dopomożesz temu, stracisz miejsce. — Rozumiesz Waćpan?

— Wedle rozkazu! — odparł swoim zwykłym przysłowiem pan Bulwa, przelekły do najwyższego stopnia, lecz nie mogący pojąć, co tak wielkie i nagle zmiany spowodować mogło.

— Konie także mieć proszę w pogotowiu — dodał stary — jeśli ich zapotrzebuję, do powoziku i do bryczki.

— Wedle rozkazu — cichuteńko rzekł Bulwa.

— Teraz wiesz już Waćpan wszystko — dodał Kasztelan — co wiedzieć potrzeba, idź; i żeby mi to było spełnione.

— Wedle rozkazu! powtórzył rządzca, nie mogący znaleźć klamki we drzwiach, tak był zdziwiony i przelekły — idę i zajmę się natychmiast.

Kasztelan uśmiechnął się tylko z jego bojaźni, i zadzwonił.

Ale nikt nie przyszedł na głos ten, gdyż Terminski właśnie się w sieniach od Bulwy dowiadywał o swoim nieszczęściu.

W pierwszej chwili uderzyło go ono jak piorun, stracił mowę, zdrętwiał, nie rozumiał, ale rozpacz sama dodała mu odwagi: powiedział sobie, że to są tylko postrachy, że stary obejść się bez niego nie potrafi, postanowił ani się tłumaczyć, ani prosić wybierać, pewien że zostanie odwołany.

W drugim końcu domu, równe wrażenie uczyniły rozkazy Kasztelanica na pannie Anieli, której o nich

także oznajmił Bulwa. Ale tu lzy i gniew razem się zbiegły, rozpacz i złość: wypędzenie z domu ostatnie wywracało nadzieję. Rachowała wprawdzie na nałogowe przywiązanie Kasztelanica, jak Terminiński, znając jego nawyknięcie do osób mu potrzebnych; nie spuszczała się jednak całkiem na skutek odjazdu, postanowiła spróbować czy go odwrócić nie potrafi.

Dzwonek drżał jeszcze w ręku starca, gdy z przewróconą twarzą, z zapłakanemi oczyma, w raunym stroju, ukazała się na progu jego pokoju panna Aniela. Wyras oczów, który ją spotkał, mógł jej odjąć wszelką nadzieję — był bowiem szyderski, zimny i odpychający. Postanowiła jednak wszelkich użyć środków na odwrócenie ciosu, który ją uderzał.

— Co pani rozkażesz? — suchym swym głosem za-  
pytał odwracając się ku niej starzec.

— Pan Bulwa... nie mogąc dokończyć, wyjąknęła Aniela.

— Pan Bulwa spełnił mój rozkaz — odrzekł Kasztelaniec zimno — nie chcę pani dłużej narażać na prześladowanie jej familji, na wymówki brata; życzyłaś sobie kilkakroć powrócić do domu, żądanie jej spełni się dzisiaj.

— Panie! godziź się to! — płacząc odpowiedziała kobieta.

— Co? czy się godzi? — podechwycił starzec nieublagany — czy się godzi męczyć, znęcać się? podchodzić i oszukiwać? — mogę spytać z mojej strony.

— Oszukiwać?

— Tak! tak! — Masz pani dowód, że ten ukochany brat nigdy na świecie nie był. — Wiele lez kłamanych darowałem, intrygi co spokojność zakłóca nie mogę. Darujesz pani — dodał dotkliwie znęcając się — że wcale do ożenienia ochoty nie mam, a że to było jej celem — lepiej się rozstać, by darmo dziecinnemi nadziejami nie uwodzić. Pan Bulwa ma rozkaz obrachować, opłacić i dziś jeszcze wrócić panią ukochanej familji, i troskliwie o honor jej bratu.

Te przykre żarty, które odejmowały wszelką nadzieję

zmiany wyrokn pannie Anieli, przyprowadziły ją do wściekłości prawie.

Z za łez rozśmiała się szydząc.

— Myślisz pan, że bardzo stoję o to, żeby tu gnić przy nim? — ofuknęła się żywo. — A więc pojedę, tak, pojedę natychmiast! Wiem kto to wszystko zrobił: godny synowiec jego przywiózł ten papier, którego pan Sobocki mu dostarczyć musiał. W dobre, o! w dobre destaniesz się pan ręce! — dodała z przymuszonym śmiechem.

Kasztelaniec od dawna odwykły od wrażeń silniejszych, uczuł że te wyrazy wzruszyły go do głębi; wspomnienie Sobockiego którego się lękał, groźba Anieli, dotknęły go żywiej, niż się spodziewać było można. — Porwał się drżący z krzesła.

— Wszyscy tu są w moich rękach! — zawołał — ja nie będę w niczyich! Idź Waćpanna i wyoń się ztąd.

— O! z największą ochotą! żegnam pana! — trzaskając drzwiami krzyknęła panna Aniela — życzę mi szczęścia! Adieu! adieu!

Drzwi się zamknęły: Kasztelaniec upadł na krzesło i głowę opuścił na rękę — w duszy jego dziwne się kręciły myśli. Przedstawiały mu się wszystkie cierpienia, które go czekały z tych zmian na jakie się odważył. Osamotnienie grożące, nowi ludzie, nowe może powody niecierpliwości, i nowy życia szafunek?

— Ha! mówił w duchu — podobno jak młokos nie-uważny rzuciłem kość pospiesznie; co to będzie! co to będzie! W moim wieku otaczać się nieznajomymi, przywykać do nich, uczyć ich! to wielka głupota! Ale są korzyści, są niezaprzeczone korzyści! Będą mi się zasługiwać! muszą być ostrożni. Termiński i Aniela byli już niebezpieczni dla mnie: chcieli opanować, odważyli się pomyśleć żem bezsilny starzec, z którym zrobią co zechcą? Musiałem tak skończyć. Jaś nie jest niebezpieczniejszy od nich! Odepchnę go gdy zechcę, gdy się odważy przewodzić i zapragnie także rej wodzić. — Ciężko mi tylko będzie przetrwać pierwszą chwilę...

Obejrzał się, dobył zegarka i brew mu się zmarszczyła.

— Godziny zmieszane — rzekł — porządek wywrócony! co to będzie! co to będzie! jak te dni przebyć w takim zamecie! Wiele to się życia wyszafuje na to!

Gdy Kasztelaniec duma tak, dręczy się i dzwoni chcąc kogo dowołać, Jaś pogląda od oficyn na zamieszanie które wywołał; spodziewał się trochę tych skutków, ale nie sądził żeby tak szybko nastąpić miały. Wieść o wyjeździe Anieli i Terminińskiego zastała go nieprzygotowanym, ale duchem zerwał się z łóżka, i pchnął posłańca do Sobockiego, oznajmując mu, by nie czekając więcej, przysyłał na wieczór Puślikowskiego i panią Tryze. Bulwa, który z wykrzyków i przekleństw obojga odjeżdżających domyślił się kto tej kaszy nawarzył, chcąc sobie zaskarbić łaski nowego faworyta, pobiegł natychmiast do oficyny.

Ukazanie się jego w biednej izdebce Jasia, w której dotąd noga jego nie stała, miało wielkie dla niego znaczenie. Rządca, trochę skłopotany tem, że się nigdy nie domyślał wziętości jaką miał Jaś otrzymać, i nie zaskarbił sobie wcześniej jego względów, pokorą i posłuszeństwem postanowił spłacić swoją omyłkę.

— Przyszedłem się spytać — odezwał się zmieszany i uniżony — czy pan co nie rozkaże?

— Ja? — rzekł Jaś — ja?

— Bo to ja zawsze — pospiesznie podchwycił Bulwa — zawsze wyglądałem chwili żeby być panu użytecznym; ale wiadomo jaka to była niewola z Terminińskim. — Chwała Bogu żeśmy się go pozbyli!

Jaś się uśmiechnął.

— Ja tu — rzekł pokornie — nic nie mam do rozkazania, panie Bulwo; jeden Kasztelaniec stryj, rozporządza. Trzeba jego rozkazy spełniać, i nic więcej.

— Ale może by co?

— Nie, nic, nic — odparł Jaś.

— Pan widzę nie ma we mnie ufności?

— Mało się znamy: jak się lepiej poznamy... teraz, spiesz pan spełnić co Kasztelanie mu polecił...

— O! o! wychodząc rzekł do siebie rządzca — kuty! zręczny! dobrego będziemy mieli pana! Trzeba go koniecznie złapać! — Bez tego mogę wylecieć! — To widzę nie żarty! — I nie nałożywszy nawet czapki pobiegł na folwark.

Tymczasem w całym dworze zamieszanie było niesłychane, słudzy latały, szeptali, nowina niespodziana krążyła z ust do ust, zdawało się, że świat na swej osi w inną się stronę poruszył.

Chłopiec pana Samuela przybiegł do niego z wieścią tą, właśnie gdy z rotmistrzem wzdychali i stękali na swoje położenie.

— Wszak to pannę Anielę i Termińskiego słyszę wywożać! — krzyknął wpadając na próg.

— Co? dokąd? śni ci się czy co — spytał pan Samuel.

— Ale jak Boga kocham, prawda! Cały dwór do góry nogami! — Kasztelanica ubiera Paweł, Termiński się pakuje, panna Aniela słyszę płacze, przeklina i szklanekami ciska. Bulwa lata jak oparzony... w stajni zadysponowano konie do koczobryka i do wózka...

Samuel i Rotmistrz spojrzeli po sobie.

— Cóż to się stało? to jakaś rewolucja! — rzekł stary zapinając kapotę — trzeba się pójść dowiedzieć!

W tem stanął zamyślony w pośrodku pokoju. — Jaś jeździł do miasteczka — rzekł w duchu do siebie — to jego robota! Ale to tylko początek? Wyprawił dziś jednych, jutro odważniejszy, wypędzi i nas. Trzeba mu tu być samym! — to nie chybną...

— Rotmistrzu! odezwał się — nie ruszaj się z kąta, siedź cicho, nie mieszaj do niczego, mogliby cię wpłatać w co! ja sam pójde się dowiem i rozpytam.

To mówiąc pochwycił czapkę pan Samuel i wysunął się szybkim krokiem z pokoju.

W dziedzińcu obejrawszy się, nie mógł już wątpić, że to co chłopiec oznajmił było prawdą. Zwykle spokojne podwórze przedstawiało obraz niezwyčajny; wy-

noszono tłumoki, ludzie latali, krzyżowały się rozkazy, kupkami zbierali się ciekawi rozprawiając o dziwnym, niepojętym wypadku. Właśnie w chwili gdy pan Samuel wyszedł, niewiedząc jeszcze gdzie się uda, nadbiegł Jaś, spieszący do dworu i spotkał się z nim oko w oko.

— Dzień dobry ci Jaśku — zapytał stary niespokojnie — powiedz-że mi co tu się dzieje? Jakies widzę zamieszanie, ktoś odjeżdża? co to jest? Ludzie bajki jakies plotą....

Jaś zarumionił się, uśmiechnął nieznacznie.

— Właśnie i ja się o tem dowiaduję — rzekł udając naiwność — mówił mi Bulwa, że Aniela i Terminski wyjeżdżają oboje. Ale nic nie wiem co to się stało?

— Stryj wio, że Kasztelanie nie zwykł do porady brać nikogo; zkądżebym miał o tem wiedzieć? Muszę lecieć, żeby się rozpytać, a może tam mnie zapotrzebują....

To mówiąc pospieszył biegiem do dworu; pan Samuel pozostał sam zadumany.

— Ha! — rzekł — niedługoż i nani tu popasać! To niezawodnie robota Jasia, ani wątpić! Dziś im, jutro nam, wczesnie się trzeba upakować!

Smutny powrócił do oficyn, i zastał obojętnego Rotmistrza, zajętego przy kominie starannem oczyszczaniem fajki i cybucha.

— Wszystko prawda — rzekł — ale to podobno nie koniec na tem! dostanie się i nam, Jaś to zrobić musiał. Widziałem go przed chwilą, udaje niewiniątka! A co pocniemy jeśli nas ztąd wyrugują? — spytał syua.

— Co? — uśmiechając się obojętnie zawsze i podnosząc głowę, na której twarzy nie było wyrazu najmniejszej troski, Rotmistrz — pójdziemy gdzieindziej biedę klepać. Juściż tu nie raj!

— Oj nie! — odparł ojciec — ale czyściec przynajmniej! — uśmiechnął się boleśnie. — Gdzieindziej może być piekło....



— Znajdziemy kątek, a niewieleć nam potrzeba! —  
O, i pan Piotr nas przyjmie!

— Ale nadzieje! nadzieje! tu się na to gotuje wi-  
dzą — żywo dorzucił pan Samuel — że nam wszystko  
z przed nosa pochwyć.

— Chcesz ojciec, bym Jasiowi uszy poobcinał? —  
zapytał syn, który nigdzie innej rady nie widział, tylko  
to jedno na wszystko miał lekarstwo.

— A! dajże pokój! na Boga panie Wincenty! —  
zakrzyknął Samuel — co ci w głowie, na co się to  
przyda! Siedźmy, milczmy i do niczego się nie mie-  
szajmy... co Bóg da to da!

---

## VI.

We dwadzieścia-cztery godzin potem zaszła nad-  
zwyczajna zmiana we dworze Strumińskim, a na miej-  
scu wygnanych Termińskiego i Anieli, osiadła pani  
Tryze i Puślikowski. Niewiadomo jak przyjął pierwszy  
raz do siebie przystępujących, na wiarę Jasia wyboru  
sprowadzonych Kasztelanic; to pewna, że nazajutrz wy-  
szedł orzeźwiony, odmłodniały, w wysmienitym humo-  
rze i niedozwalając najmniejszej czynić wzmianki, ani  
sam wspominając o tem co zaszło, urządził swój dzień  
jak najściślej wedle dawnego trybu. Na Puślikowskim  
znać było wielce pracę Jasia, który go tak wcześnie  
o najdrobniejszych nawyknieniach starca uwiadomił, że  
zrečný i znający służbę dworak, nie zawahał się na  
chwilę, nie szukał nic, nie pomylił się w niczem. Ka-  
sztelanic zdumiony, że nie poczuł odjazdu Termińskiego,  
spoglądał i milczał, niechcąc się wydawać z radością  
jaką mu to sprawiało. Punkt o południowej godzinie,  
drzwi się otworzyły, zastał już u drzwi Jasia pokorne-  
go, skromnego, cichego jak przedtem i nie chlubiącego  
się wcale swoim tryumfem. Że jeszcze nikogo nie było  
prócz nich dwóch, Kasztelanic podając mu rękę do po-  
całowania, uszczypnął go w twarz, co było oznaką  
wielkiej łaski i rzekł po cichu:



— Spisałeś się Acan bardzo gracko, ale jednakże nie życzę ci często podobnych próbować przedsięwziąć.... mogłoby to być niebezpiecznem.... Ale na ten raz udało się bardzo dobrze; winszuję Waści, Jaśku....

Jasiiek się skłonił pokornie.

— Jeślim co zrobił to pewnie w najlepszej chęci dla stryja dobrodzieja....

— Szeroko o tem Dawid pisał — odparł stary usta wykrzywiając — Waści się chciało zemścić, był rachunczek.... no! ale się i mnie przytem coś upiekło. Powiedz-że mi, kto ci u kata te dwie figury wyswatał?

— Przypadek — rzekł Jaś skromnie.

— Ten głupi przypadek coś mi pachnie Sobockim, a lotra tego się boję, i Waści się strzedz radzę. Pani Tryze przyzwoita kobieta..... to osobliwszy trafunek?

Uśmiechnął się stary z zadowoleniem.

Wniesiono śniadanie; wszedł i pan Samuel z Rotmistrzem, oba po naradzie postanowiwszy dopóty o niczem nie wspominać, póki by sam Kasztelanie tego przedmiotu nie zaczęli.

Z niecierpliwością wyglądał Rotmistrz i ojciec jego otwarcia drzwi od sali jadalnej, dla zobaczenia pani Tryze, której dotąd spotkać nie mogli; nareszcie Puślikowski, wystrojony i zręczny, otworzył drzwi i oznajmił, że zupa była na stole. W głębi pokoju malowały się już ciekawym oczom dwie postacie: — pana Bulwy, niezmiernie wyprężonego i przestraszonego ostatnią rewolucją pałacową, i ślicznej pani Tryze.

Dla pana Samuela, dla Rotmistrza a nawet dla Jasia, było to nowe zjawisko i nroczco zastępowało kwaśną pannę Anielę. Kasztelanie wdzięcznie bardzo ukłonił się jej z dworskiem przymileniem. Jaś poglądał na nią zdumiały, nie widząc w niej nic dawnego, prócz piękności, która zdała się podniesioną ubiorem, tem co ją otaczało i silną wolą okazania się piękną. Była też nią niezaprzeczenie, a strój skromny lecz zręcznie dobrany, krasił jeszcze wdzięk naturalny tej zagadkowej istoty. Wyraz jej twarzy był łagodny, skromny, ale na dnie jego jakaś niedostrzeżona wielu, niewzła pruszy-

ka szyderstwa. Oczy jej biegały żywo, zdając się liczyć, poznawać, chwytając wszystko co otaczało. Pan Samuel i Rotmistrz sklonili się nowo-przybyłej z daleka; Kasztelanie dał znak siadania i wszyscy zabrali miejsca swoje.

Pomimo wyłącznego zajęcia jedzeniem, stary kilka razy oderwał się od niego, by spojrzeć na piękną panią Tryzo; zaczął ją w rozmowie i znalazł gotową do odpowiedzi, dowcipną i wesołą.

Jaś jak w tęczę patrzył także na nią, i zapomniawszy, że ludzie widzieć mogą wrażenie jakie na nim czyniła, cały się oddał roskoszy zatapiania we wdziękach, które od pierwszej chwili do głębi go poruszyły. Ona zdawała się nieuważać ani ciekawości nieznajomych, ani zajęcia Jasia, ani uśmiechów Kasztelanicy, ani ją przejmowało położenie dziwne, dwuznaczne w tym domu; na twarz jej nie wystąpił rumieniec, głos nie zadrzżał; swobodna zupełnie, pani siebie, była jak w domu znajomym, jak gdyby w swoim żywiole.

Pod koniec objadn smutno spuścił głowę pan Samuel; przeczuwał on, że tak zręczna istota sprzymierzona z Jaśkiem wszystkim ovladnąć musi. Czuł niebezpieczeństwo, ale co na nie radzić było? Wezwana już raz familja nie dopomódz nie potrafiła, można się było drugi raz do niej udawać!

— Zostawmy to woli Bożej — rzekł w dachu — co ma być niech się stanie! Ja tu na to nie doktor!

I z niezuciem smutku, które powiększała jeszcze dziwna obojętność na wszystko pana Rotmistrza, nieumiejącego podzielać ani obawy, ani zaprzętności ojcowskich, pan Samuel cofnął się zaraz po objedzie do oficyny.

Jaś pozostał sam na sam z Kasztelanicem, a najlepszym dowodem jego zadowolenia i uspokojenia było, że starzec wedle obyczaju, ledwie wygrawszy partję, usnął.

Nazajutrz i dni następnych rzekłbyś, że się nic nie zmieniło w starym dworze, tak ślicznie wszystko powróciło do swojego porządku. Jeden tylko Jaś nieuspo-

koił się wcale; spełnił bowiem dotąd część tylko zadania, a reszta pozostała najwięcej go niepokoiła.

Chodziło mu o odsunięcie całej rodziny Kasztelanica i do tego zmierzał, by sam przy nim pozostać, a najbardziej niepokoił go na załodze siedzący pan Samuel i Rotmistrz. Ale potrzeba było czekać pory do ich oddalenia.

Wszystko jednak szło jak najpomyślniej dla Jaśka, który wkrótce upatrzył chwilę sposobną, by przemówić. Obsyłano nienastannie Kasztelanica podarunkami i listami, które go w najwyższym stopniu niecierpliwiły. Raz tedy, gdy na jedno z pism podobnych wypadło odpisywać, Jasiiek zebrawszy się na odwagę, tak począł:

— Uważam, że stryja dobrodzieja dosyć męczy to ciągle przypominanie się knzynków.

— Masz Waćpan racją — odpowiedział zażywając tabakę Kasztelanica — ale cóż począć? Do pieniędzy lgnie wszystko, trudno się od tego odczepić!

— Byłby sposób — rzekł Jaś pisząc.

— Hu! Waćpan i na to masz sposoby?

— Ja! stryju dobrodzieju — tylko myśląc o tem, wydumałem kto temu wszystkiemu przyczyną, ale....

— Miej Waćpan zwyczaj, kończyć kiedy zaczynasz — zawołał Kasztelanica.. — mów.

— Prawdziwie nie śmiem, niegodzi się może.

— Patrzcie! jaki skrupulat. Powinieneś wiedzieć, że w te ceregiele nie wierzę; świerzbi cię mów, jeśli co nie głupiego. Któż temu winien?

— A któż jeśli nie stryj Samuel, co to pierwszy do Strumienia drogę pokazał — rzekł śmiało Jasiiek. Wiem z pewnością, że on to hałasu narobił u familji i wszystkich tu na nrodziny sprowadził.

— Jakto? wiesz o tem pewnie! — zawołał Kasztelanica, któremu brat oddawna zawadzał, rad z powodu, żeby się go przyzwoicie pozbyć.

— Wiem wszystko jak to było — kończył chłopiec chwytając z ręczność. — Jak tu była pani Hieronimowa, przez nią oznajmił familji co się tu dzieje; zawołał ich wszystkich na radę, żeby stryja dobrodzieja

obsadzić stróżami.... Potem się gdzieś tam zbierali, rozprawiali i nareszcie aż do Strumienia przyjechali....

— I pan Piotr prawił mi kazanie! — mruknął Kasztelanie uśmiechając się. — Ale wiesz-że pewnie, że to robota brata Samuela?

— Wiem o tem najdowodniej — odparł Jaś — mógłbym powtórzyć nawet niektóre ich wieczorne rozmowy tu w Strumieniu. Chodzi im bardzo, żeby się stryjowski majątek w obce ręce nie dostał....

— I tak zawczasu, za życia, bezwstydnie już sobie go pilnują, już nim rozporządzają, a żeby mi się przypodobać, to mnie obsedują listami i kiepskimi swemi prezencikami.... Ale to zdrada ze strony pana Samuela, któremu dałem dach i przytułek.... naprowadzać ich na mnie....

Jaś nie odezwał się więcej, rzucił węgiel, podpalił, a sam się przychowwał.

Kasztelanie tymczasem myśl i wiadomośćkę schwyconą ua wszystkie strony obracał. Dotąd nie miał powodu, zaczepki, żeby się zbyć nieprzyjemnego świadka, choć mocno tego pragnął; nie znajdował pretekstu do zerwania z familją; tu mu się doskonała trafiała zrzeczność, postanowił ją pochwycić i z niej skorzystać.

Dzień czy dwa upłynęły na układaniu planu i na ostatku, uzbroidwszy się w odwagę i zimną krew, który miał postawić przeciw powadze i uczuciu brata, Kasztelanie dnia jednego przed objadem, w niezwykłej porze, posłał Puślikowskiego po pana Samuela.

Starego coś tknęło, spojrzął na Rotmistrza, westchnął.

— A co! — rzekł — pewnie i dla nas przyszła pora manatki pozbierać! gotujmy się panie Wincenty.

Rotmistrz niedowierzając ramionami ruszył.

Pan Samnel zastał brata chodzącego żywo po swoim sypialnym pokoju; twarz jego wyrażała niby gniew, którego w istocie nie miał, i oburzenie udane. Jak tylko zobaczył na progu pana Samuela, stanął i odezwał się:

— A godzi się to panie bracie! a godzi się to?

— Co? co?

— Co? ślicznych się dowiaduję rzeczy, za prawdę! Mógłbym się tego po Wasindzieju spodziewać?

— Ale cóż jest, u Boga?

— Co jest? Jam was przyjął i przytulił, a wy przeciwko mnie spiski knujecie, familję gromadzicie, chcecie wziąć w kuratele, żeby majątek zagarnąć! Któż jeśli nie Waćpan, panie bracie przez Hieronimowę spędzaliście całą familję, żeby o mnie starcu radzić i obśadzić mnie stróżami? alboż nie? Zaprzeczcie kiedy możecie?

Pan Samuel wzruszył lekko ramionami.

— Nie zapieram się co prawda! ale nie tak to było jak mówicie, panie bracie.

— Jak było nie wchodzę, dość że było — przerwał Kasztelaniec. Chodzi wam o spadek po mnie: wiedźcie, że z niego nie dostaniecie pruszyнки!

— O tem dawnosmy wiedzieli — odparł Samuel z pokorą — nie nowina, panie bracie; ale pozwólcie mi się oczyścić z potwarzy rzuconej na mnie; przez kogo, niewiem, choć się domyślam.

— Nazywacie to potwarzą?

— Nie było w tym kroku nic ci uwłaczającego.

— Tak! tylko stróżów mi chcieliście dodać, i opanować starca....

— Pozwól, kiedyśmy na tę drażliwą materję wpadli, panie bracie — odezwał się Samuel — niech ci całą prawdę powiem....

— Żadnej prawdy nie potrzebuję od Waszeci, panie bracie.

— Jak chcecie....

— Proszę tylko, żebym był wolny od szpiegostwa w domu, od znanych mi uczuć familji, która nie o dobru mojem myśli ale o majątku....

— Tak! doskonały powód pozbycia się mnie! — rzekł Samuel — niech i tak będzie, pójdziemy ja i syn dziś jeszcze.... zostaniesz sam jak chcesz; ale pamiętaj-

cie bracie, pamiętajcie, kim się obsadziliście i kto z wami zostaje.

— Cóż to? macie mnie za zdzienniałe stworzenie, co nianiek potrzebuje i lada komu da sobą powodować? — ofuknął się Kasztelaniec. — Nikt w życiu mną nie rządził i rządzić nie będzie!

Pan Samuel nie rzekł więcej słowa, smutnie skłonił się z uczuciem prawdziwym, więcej zgryziony niż rozgniewany i na progu odezwał się uroczyście tylko:

— A więc, żegnaj cię panie Stanisławie.... noga moja nie postanie więcej w tym domu, z którego mnie sromotnie wypędzasz — przebaczam ci to. Na tym świecie nie zobaczymy się więcej: do zobaczenia na innym.

Stary stanął, spojrzął i z litością się uśmiechnął.

— Klaniajżo się odemnie panu Piotrowi! — dodał — i szczęśliwej drogi!

Drzwi się zamknęły powolnie; ze spuszczoną głową, przygnębiony swym nieszczęściem, zgryziony powłókl się wygnany do oficyny. Rotmistrz czekał na niego w ganku paląc fajkę; postrzegłszy ojca, po wyrazie jego twarzy, po postawie poznał, że się coś złego stać musiało: rozgniewał się tylko, zacisnął pięść i chciał lecieć uszy pobrywać Jasiowi, któremu przypisywał to wszystko.

— A co? — spytał z daleka.

— To com wywróżył — rzekł stary z rezygnacją — jesteśmy wypędzeni, wypowiedziano nam schronienie, kazano się wyrzoc wszelkich nadziei. I kropli wody więcej tu w usta nie wezmę! — dodał starzec z dumą, która na twarz wystąpiła — zwiążemy węzłki nasze i pójdziemy ztąd jednej chwili.

— Gdzież ten lajdak, żebym mu...

Nie miał czasu dokończyć Rotmistrz, schwycony silną dłońią ojca.

— Wara mi od wszelkiej zemsty, panie Wincenty — rzekł poważnie — pod błogosławieństwem zakazuje słowa, mrugnięcia!... Bóg się pomści za nas!



— Ale ja bym go stłukł na gorzkie jabłko!

— I popełniłbyś nierozsądny występki — przerwał ojciec. Wszystko dobrze zważywszy jest to największa przysługa jaką nam mógł synowczyk wyrządzić; dość mamy tego z powszednim chlebem codziennie połykanego upokorzenia. Muie tylko miłość ojcowska gotowa na ofiary, ciebie niesłychana obojętność mogły w tem piekle utrzymać. Dość na Boga! więcej ubogich żyje na świecie, a żyją jakoś! I nam Bóg dopomoże!

To mówiąc, pan Samuel wszedł z Rotmistrzem do zajmowanej przez siebie izdebki i począł natychmiast pakować węzelek swój nie wielki, rozkazawszy synowi podobnie się przygotować.

Widać że śledzono ich kroki, gdyż Bulwa przysłał z zapytaniem kiedy rozkażą dać sobie konie. Ale pan Samuel odpowiedział, że żadnych koni nie potrzebuje i nie chce.

W pół godziny po rozmowie z Kasztelanem, Jaś z za węgła domu, nie ukazując się sam, widział starego stryja, który z Rotmistrzem pieszo do najbliższej wsi odchodził, nie obojętny się nawet na czarny dwór Strumieński. Postrzegł to i Kasztelan przez okno swego pokoju, uśmiechnął się, ale przykro mu się wydać zrobiło, bo zawołać kazał Bulwę i natychmiast wysłał konie, które kijem odpędził Rotmistrz.

Tak tedy Jaś, pan placu, sam na sam pozostał z Szambelanem. Puślikowski acz uczciwy człowiek, a może dla tego właśnie że poczciwy, był mu posłusznym i wiernym; pani Tryze trzymała go załotnością na więzach, ale nie przypuszczała do zbytnej poufałości.

Z nią Jaś radby był spędzać dnie całe, ale z ręcznie odprawiany, odchodził z coraz większą namiętnością. Inna dla Kasztelana, wobec którego wyraźnie przybierała jak najprzyzwoitszą postawę i mowę, śmiała i kapryśna z Jasiem, niepojęta dla nikogo, kobieta ta poczęła wkrótce po swoim przybyciu zawładywać całym domem. Umiiała przemówić do każdego, ująć, nastrożyć, przymilić się, wybadać i wcieliwszy się szybko



w to co ją otaczało, stała się środkiem, ogniskiem, kn którym zwrócone były oczy wszystkich.

Sam niepokonany dotąd, Kasztelanie ze wstydem obawiał się już być zwyciężonym przez nią.

Czła i troskliwa dla niego, powolnie potrafiła go doprowadzić do namiętności rozpustnej, gwałtownej jak stare ognie, silnej, niepohamowanej, którą odpychała przybierając ton i powagę kobiety nieszczęściem straconej nisko, ale umiejącej się szanować. Codzień wzrastało to pragnienie, gorzał silniej starzec, i codzień zbywała go szyderstwem, zimną niewiarą, lub zadziwieniem kobieta, która własną bronią starca z nim walczyła.

Jakkolwiek podobala się Kasztelaniciowi, nie był z nią tak swobodny jak z Anielą, z której narzekań szydził i z sentymentalności żartował; pani Tryze w pół żartem, w pół poważnie, czasem nawet z pokorą przybraną, wskazywała mu nienastannie przedział, jaki rozdzielał ją, służę, od pana.

Ten nowy żywioł w życiu Kasztelanica z jednej strony wlał w nie jakieś zajęcie, coś świeżego i pętnego, ale z drngiej działał nań w sposób niezwykle, rozdrażniający i powolnie wyczerpywał dotąd zaszanowane siły. Postrzegał się starzec, że nie miał spokoju jaki mu dawniej dawało nałogowe nawyknięcie, że nowość niszczyła go, a nie umiał ani się z nią oswoić, ani ją odepchnąć.

Postanawiał sobie codzień wyzwolić się z więzów przyzwyczajenia, przeskoczyć zapory, które mu kładła pokorna duma tej kobiety, nagiąć ją do swych obyczajów, z których w początku chwilową tylko zrobił ofiarę; ale w jej przytomności znieśmielony odkładał potem do jutra, i tak się to ciągnęło coraz dalej a dalej.

Tymczasem zmiana w życiu, wprzód regularnem nawet w nadużyciach, zaczęła coraz silniej działać na starca.

Co dzień podnupał gorzej, starzał się raptowniej i nie uszło oczu Jasia, że stryj choć się nie przyznaje, choć walczy, musi przyplacić zdrowiem katastrofę do-

mowa. Twarz jego traciła świeżości reszty, nawet w chwilach południowych nie ożywiając się już jak dawniej; oczy miały ogień gorączkowy, przerażający momentami, to znów gasnący nagle. Nawet ręka dotąd pulehna i biała chudnąć poczęła i czernieć. Niekiedy Kasztelaniec czując upadek, musiał się widocznie podsycać swemi tajemniczemi exilirami, bo wychodził z rumieńcem na twarzy wypieszczonym, z zaognioną cerą, ale skutek tych specyfików trwał bardzo króciuchno, a po nich następowało gorsze jeszcze z sił opadnienie.

Przyczyny moralne przykładały się także silnie do pogorszenia stanu Kasztelanica. Człowiek ten zbyt dobrze znał złą stronę świata i ludzi, by nie ocenił tego co się w koło niego działo. Jaś ze swą przebiegłością cichą, z pokorą udaną, z intrygantwem zręcznem, niepokoił go coraz bardziej. Kasztelaniec poczynił się go obawiać, a to uczucie strachu było razem dowodem słabości. Otoczony ludźmi podsadzonemi z ręki jego, osamotniony więcej niż kiedy przez oddalenie się pana Samuela i Rotmistrza i usunięcie familji, rozdrażnionej tem wygnaniem, pozostał sam na sam z chłopakiem, którego uczył się codzień lepiej.

Okoliczność jedna przejęła go większą jeszcze bojaźnią i dała mu wielce do myślenia.

Jaś spostrzegając upadek na siłach stryja, wzmagając się jakąś wewnętrzną chorobą i trawiące go zniszczenie, począł nareszcie myśleć o testamencie. Potrzebował się wprzód doskonałe wywieść i przekonać, czy Kasztelaniec zamyśla o nim lub nie, mógł bowiem zamiast dopomódz sobie zaszkodzić. Odsunięcie familji całej, posługi które oddał stryjowi w ostatnich czasach, codzienne około niego starania, budziły w nim nadzieję, że Kasztelaniec wszystko co ma, zapisać mu może. Mylił się w tem bardzo, ale miłość własna zawsze zaślepia. Żeby się więc przekonać czy myśli o testamencie, i nieporywać się na robienie niepotrzebnego, coby go musiał pozbawić części fortuny, może mu w całości przeznaczonej, Jaś usadowił się na strychu w godzinach, które Kasztelaniec spędzał w swoim pokoju,

i każdy ruch starca najpilniej postrzegał. Ale pomimo najuważniejszego badania, nie odkrył nic mogącego naprowadzić na jaki domysł o testamencie. Starzec przychodził zwykle o swojej godzinie, przewracał jakieś papiery, siadał do kart, grał zapamiętałe, zapisywał zapewne gry wypadek i powracał do sypialni.

Niekiedy kładł coś i wyjmował z szafek, rozpatrywał w kufrach, układał, ale oko Jasia nie mogło dopatrzyć zajęcia celn i zrozumieć znaczenia.

Te śledcze zasadzki z zupełną teraz swobodą dokonywane, trwały ciągle i nie ustawały na chwilę. Jaś codzień mocniej gruntował w przekonaniu, że testamentu nie ma i być nie może, że potrzeba go przygotować i wezwać Sobockiego znowu na pomoc do dzieła. Zebrał więc powoli odcisk pieczętki, wzory pisma i podpisu, nawet próbki stylu w kilku listach i z niemi chciał się udać do miasteczka, czekając tylko chwili dogodnej.

Tymczasem Kasztelanie codzień zdawał się gorzej a gorzej, nie skarżył się, ale uiknął i niszczał w oczach. Doktorów nie lubiąc i nie wierząc w medycynę, leczył się swemi eliksirami, pigułkami, tajemniczemi jakimiś lekarstwami i wszystko przypisując wyniszczeniu, jadł ogromnie, czem się dobijał jeszcze. Im gorzej się czuł, tem więcej niecierpliwiąc, chwytając przez siebie wymyślonych środków, myśląc że się ratuje, rychlej jeszcze stan swój pogorszał. Cierpienie z niepokoju przechodzące, obawa która się z nim łączyła, dotąd zaoszczędzone wyczerpując siły, przyspieszały kres życia, które trzymało się na włosku do czasu. Pierwsza cegielka wyjęta ze sklepienia tego, miała je obalić na ziemię.

Jaś przygotował się już jechać do miasteczka dla postarania o testament, i trafem zaniedbał dnia jednego swoich postrzeżeń z sufitu. Tegoż dnia właśnie Kasztelanie, wszedłszy do swego pokoju, długo po nim chodził zamysłony, czując się coraz gorzej; oczy jego błędziły z miejsca w miejsce bez celu. Nagle padły w zaciemniony kątek sufitu w którym zrobiony był otwór. Dziurka ta, jakkolwiek nieznaczna i mała

z wierzchu, że kilka razy nieuważnie poprawioną była, wyraźniejszą się ukazywała od strony pokoju niż z góry. Wisiały od niej drzazgi, widać było na podłodze pod spodem trociny i drzewa kawałki upadłe. Kasztelaniec spojrzał, pobladł, zadrżał, przybliżył się żywo i usta mu się zacięły. Popatrzył w górę dla zbadania czy nie zwierzę jakie ten otwór zrobiło; wlażł na kufer blisko stojący, żeby się lepiej przypatrzeć, wziął w ręce szczątki wiorów i poznawszy w nich rękę ludzką, oblał się zimnym potem.

Nie potrzebował się długo zastanawiać nad tem kto mógł go szpiegować; odgadł Jasia od razu i strach którego doznawał, przejął go głębiej jeszcze.

Właśnie gdy przybrawszy twarz jak najobojętniejszą i wesołą nawet, wychodził o swej godzinie do salki, Jaś przybył także z zamiarem wyproszenia się do miasteczka.

Na pierwsze słowo, które o tem powiedział młody chłopak, Kasztelaniec podejrzliwy, rozdrażniony, domyślił się prawie wszystkiego; rodzajem jasnowidzenia chorobliwego postrzegł jak na dłoni co zuchwały młokos osnuł. Ale nie pokazał po sobie nic wcale; spojrzał mu w oczy badawczo, pomyślał, już miał wybuchnąć i wstrzymał się. Uśmiech tylko szyderski, szatański, złośliwy, skrzywił mu usta blade i wpadłe.

— A jedź Waćpan — rzekł — jedź, kiedy chcesz — możesz nawet sobie jaki dzień zabawić, to cię rozerwie. Młodemu trzeba dystrakcji...

Jaś nie domyślił się wcale ile ironji, i jaka groźba była w tych wyrazach, które wziął za dobrą monetę. Ucieszony pozwoleniem, zaraz po obiedzie posłał po konie do Bulwy, upakował się szybko i po partji warcabów, odjechał.

Kasztelaniec nie zdrzymnąwszy się, choć udawał że spał, odszedł do swojego pokoju w stanie rozdrażnienia niesłychanym. Gniew, niecierpliwość, choroba wzmagająca się miotaly nim na przemiany. Życie owe regularne dni dawnych zatrute zostało, i jak koło maszyny

wyrzucone ze swego miejsca, kręciło się w dziwacznych kręgach ostatkiem sił już tylko.

Jak skoro tylko Jaś odjechał, zadzwonił stary na Puślikowskiego.

— Zawołać mi Bulwy — rzekł żywo — natychmiast!

Rządca zdyszany, przelekły jak zawsze, bo się obawiał wszystkiego, a najbardziej rozkazów pańskich w niezwykłej godzinie, przyleciał do dworu natychmiast, stanął w progu i wyszepnął cicho swoje zwykłe:

— Wedle rozkazu!

— Co to mi Asan mówiłeś wczoraj, że się tam nie możesz porozumieć z proboszczem o dziesięcinę? — zapytał nagle Kasztelanic.

Strumień bowiem dawniej do dóbr Ordynackich należący, opłacał w naturze lub pieniądzech dziesięcinę do kościoła parafialnego, jak wiele dotąd dóbr na Wołyniu.

— To, Jaśnie panie — odparł Bulwa — rzecz taka, że ksiądz proboszcz nie chce brać pieniędzy, żąda odebrać w snopie, bo powiada że mu w tym roku na zapomogę dla ludzi potrzeba.

— Już też dosyć tych dziwactw ze strony proboszcza — odezwał się Kasztelanic — ja sam z nim muszę skończyć ten interes. Co rok to nowina! To pieniędzy żąda, to ziarna, to snopa! Niechże raz zawrę umowę stałą z tym klechą...

— Jeśli Jaśnie pan rozkaże — szepnął Bulwa, który w tem miał swój rachunek — jabył pojechał i uławił wszystko.

— Nie, nie! Muszę temu Jegomości powiedzieć słowa prawdy! Dosyć tego! dosyć!... To mówiąc, chodził żywo stary i zdawał się mocno zagniewany.

— Cóż Jaśnie pan rozkaże? — zapytał rządca.

— Co? Oto, jedź mi Waćpan zaraz do niego. Słyszysz Waćpan zaraz...

— Wedle rozkazu...

— Nic mi ani wspominaj o dziesięcinie; powiedz

tylko że się z nim widzieć chcę, niech przyjedzie do mnie...

— Jakto, Jaśnie panie, tak zaraz?

— Natychmiast! i prosić żeby przybył dziś jeszcze... Ten interes krew mi psuje, chcę go jak najprędzej zbyć z głowy...

— A jeśliby proboszcza nie było? — zapytał Bulwa.

— Waćpana rzecz żeby był, słyszysz!

— Wedle rozkazu! — Skłonił się Bulwa, poskrobał w głowę i po cichu wyszedł.

— Jednak to dziwna rzecz — rzekł do siebie w progu — co to się panu zamarzyło. Samemu robić interes z proboszczem? Czyby się dowiedział o tych dziesięcinach? Wątpię! Nigdy jak żyw nie widział księdza Bakałowskiego; księży nie cierpi! to coś niepojętego! Ale nie ma co! potrzeba słuchać! Niech lichu weźmie coby się tam na proboszczu dało utargować! Trzeba słuchać! to nie ma co!

I pędem pospieszył Bulwa na folwark, kazawszy po drodze zaprzęgać konie co najprędzej.

Tymczasem Kasztelanie wszedł do swojego pokoju, zamknął się w nim, zaryglował i przeciągnął pobyt nad zwykłą godzinę.

Późnym wieczorem dopiero, posłuszny Bulwa przywiózł księdza Bakałowskiego, o którym słówko nim wejdzie.

Proboszcz ten wcale nie był pospolitym człowiekiem, ale natura obdarzyła go charakterem i temperamentem, które się ze stanem jego najmniej zgadzały. Żywy, gorączka, pełen szlachetności i najpiękniejszych uczuć, aby się w kapłańskim charakterze utrzymać musiał z sobą nieustanną staczać walkę. Często zamiast nawracać pokorą i słowem łagodnem, wielką miał ochotę po starodawnemu użyć dyscypliny i kunicy. Grzech oburzał go zarówno jako chrześcijanina i człowieka, a człowiek przemagał czasem kapłana. Nie nowina też mu było dobrze wyłajać w konfesjonale. Znał on do siebie tę wadę prędkości, jak mógł się hamować, odpokutowywał umyślnem upokorzeniem porywczej swej



żywości, jednak całkiem ujarzmić jej nie mógł. Z drugiej strony ksiądz Bakałowski miał najlepsze serce, gotowość na ofiary niezwykłą i wszelkie przechodzącą granice; pojmował stanowisko kapłana z całą jego wielkością i ważnością i spełniał postannictwo swe z zaparciem siebie zupełnem.

Ta walka z gorączką wewnętrzną, ze starym Adamem, nadawała szczególne piętno całemu jego życiu, i czyniła je może piękniejszym jeszcze, bo wytrzymałością w boju jaśniejącem.

Pchnięty do stanu kapłańskiego obrzydzeniem świata wewnętrznem, ksiądz Bakałowski, gdyby był został na świecie, byłby stokroć nieszczęśliwszy jeszcze, boby go charakter narażał na niwystłowione przykrości, jakich doznają ludzie chcąc poprawić braci, a niemający prawa do tego. Był to mężczyzna lat może pięćdziesięciu, zdrow, silny, trochę otyły, rumianej do zbytku twarzy, w której czarne ogniste oczy chodziły na tle oliwkowem. Nie wysokie czoło, brwi gęsto zarosłe, nos cienki i kształtny, usta piękne i często na przekór gniewem wewnętrznym uśmiechnięte, tworzyły całość uderzającą wybitnością. Od częstego marszczenia, czoło pofałdowało mu się poprzecznie gęściej niż było powinno w tym wieku, co twarzy nadawało charakter surowy. Postawa, ruchy miały coś w sobie żołnierskiego prawie, ale ciągle poskramianego serdeczną pokorą, która usiłowała podbić wychodzącą na wierzch samorzutność.

Ubrany bardzo skromnie, wszedł ksiądz Bakałowski na salę, z tą pewnością jaka kapłanowi przystała, nieulekniony wcale tem co o Kasztelanicy, którego nigdy na oczy nie widział, mówiono. Z tego co słyszał o nim miał naturalnie wstręt od człowieka, który się Boga zaparł i zdawał w duszę własną niewierzyć; ale zawczasu całą drogę przekonywał się, że nie powinien mu go okazywać, a dla dobra jego wiecznego, jak najłagodniej z nim poczynać. Wiedział ksiądz Bakałowski, że chodziło tylko o dziesięciny, ale w Bogu miał nadzieję, że mówiąc o nich, zbawienne jakie ziarno rzu-



ci, którego wzrostowi sam wiek do grobu zbliżony pomoże.

Z temi myślami, szepcząc modlitewkę, którą na pohamowanie swej żywoci zwykł był odmawiać, wszedł proboszcz do pokoju i sam w nim zostawszy, ciekawie się obejrzał. Kasztelanica nie było jeszcze. Po chwili drzwi boczne skrzypnęły i gospodarz się ukazał.

Kapłan skłonił się z lekka, badając rzucając wejście na tę postać, na której więcej niż kiedy malowało się znużenie żywotem, wyczerpanie sił, rozjątrzenie jakieś i niezaspokojenie właściwe tym, co nigdy nie spojrzeli wyżej nad ziemski swój byt.

Kasztelanie nawzajem, zmierzył go wzrokiem ciekawym, śledczym i po chwili wyciągnął białą swą rękę do powitania. Pomimo wewnętrznych utrapień i zgryzoty, starzec w obec nieznanego człowieka potrafił się zdobyć na dworactwo i wyszukaną grzeczność, zimną, do której form całe życie przywykł. Usta jego przywdziały ów uśmieszek od gości, oczy wesołość odświeżoną, a czoło usiłowało się rozjaśnić.

— Bardzo się cieszę że Waćpana Dobrodzieja choć późno poznaję! — rzekł Kasztelanie — tyłem o nim dobrego słyszał, że prawdziwie pragnąłem zbliżyć się ku niemu oddawna. Ale starość, zadomowienie.

Proboszcz się tylko skłonił.

— Bardzo panu Dobrodziejowi dziękuję za pochlebne słówko....

— Darujesz mi pan, żem go tak wezwał, ale zdrowie moje...

— Miło mi zawsze służyć moim parafianom — odparł ksiądz Bakałowski — jest to moim obowiązkiem. A tu podobno i interes dziesięcin — dodał ciszej.

— Tak! interes dziesięciny... — obejrzał się stary do koła niespokojnie... przysunął z krzeselkiem do księdza, zdawał namyślać jeszcze chwilę; twarz jego zmieniła się dziwnie. — Prawdę powiedziawszy nie o to mi chodziło; inny jest powód wezwania jego do mnie.

— Inny? — spytał z rozjaśnionymi oczyma proboszcz, domyślając się zawczasie nawrócenia grzesz-

nika, którego z duszy pragnął. — W każdym, razie jestem na usługi Waćpana Dobrodzieja.

Starzec zdawał się jeszcze z wyjawieniem całej swej myśli wstrzymywać; nareszcie, jakby mu na to wielkiej potrzeba było odwagi, wyrzekł z wyrazem silnego postanowienia:

— Chciej mnie Waćpan Dobrodziej wysłuchać cierpliwie. — Żyłem długo na świecie i poznałem świat dobrze; nie potrzebuję dodawać, że mi w tej chwili obrzydł jak smrodliwa kałuża.

— To uczucie chrześcijańskie... — przerwał proboszcz.

— Nie! nie! — zawołał Szambelan z uśmiechem goryczy pełnym — nie mam wiary, nie jestem do tyła słaby, żebym w niej szukał pociechy.

— Waćpan Dobrodziej nazywasz to słabością? — spytał oburzając się ksiądz.

— Ja to widzę i nazywam po swojemu, księżu proboszczu; proszę mi darować, ale tu nam ciężko się zgodzić będzie. Jestem wychowalcem wieku, który młot i siekiere przyłożył do pnia chrześcijańskiego dębu i obalił go....

— Jakto obalił? — krzyknął ksiądz Bakałowski porywając się z miejsca; ale poskromiwszy zaraz zarumieniony, usiadł spokojnie, szepejąc swoją modlitewkę.

— Tak jest! przesady zniszczone zostały, ciemności rozprószone, a czysta tylko może moralność jakaś ostała się z nieforemnej tkaniny dawnych wieków. Jestem synem XVIII. stulecia, księżu proboszczu, i w nie nie wierzę.

— A czegoż pan chcesz odemnie, zwierzając mi się z tem? — zawołał znowu trochę żywiej proboszcz.

— Zaraz przyjdziemy do tego — spokojnie rzekł Kasztelan. — Widok świata utwierdził mnie długimi laty w przekonaniach, które wyssałem z młodości; gdyby nim Bóg jaki rządził, nie szłoby to tak szkaradnie... Ludzie mi obrzydli, nie mam dla nich szacunku, nie mogę mieć miłości; używam ich jak narzędzia i brzydzę się niemi. Są to zwierzęta, którym się za-

chciało udawać jakichś aniołów, a z pod których skrzydeł zawsze się szerść bydlęca jeży.

Słuchał ksiądz Bakałowski ze zdumieniem i nie wiedział już co począć.

— Wszystko co mnie w życiu otaczało — ciągnął dalej stary z widocznym gniewem wewnętrznym — ukazało mi naturę ludzką z najgorszej strony. Wszędzie miłość własna jedynym bodźcem czynności, zdrada narzędziem, nasycenie celem; wszystko dobre kłamane, wszelkie złe prawdziwe. Takim widziałem świat do końca, takim go widzę dziś jeszcze. Drwię z niego i z ludzi; żyję dla siebie jak oni i nie mam nikogo ukochanego sercem.... Obojętni mi wszyscy, z tą tylko różnicą, że jednych trochę więcej uienawidzę od drugih.

Ta dziwna i straszna spowiedź, wielkie widać wrażenie zrobiła na księdzu, który ledwie się mógł utrzymać słuchając jej z oburzeniem, z politowaniem razem i gniewem.

— Jeśli te uczucia dotrwały w panu do końca — odezwał się nareszcie — jeśli pan nie czujesz potrzeby zmiany, nie przeczuwasz innego świata, nad ten, w którym się dobrowolnie zamknąłeś — cóż do tego kapłanowi? Nie nasza rzecz patrzeć na rany, których nani goić nie dopuszczają.

— Wiedź mój księżunin — z uśmiechem dodał Kasztelanic — że to co ranami nazywasz, jest normalnym stanem człowieka co głębiej w serce świata tego wnika — wasze zdrowie jest odurzeniem. Ale mniejsza o to; ani ja was, ani wy mnie nie nawrócicie, darmo o tem i myśleć.

— A czegoż tu zostałem wezwany? — spytał dosyć kwaśno proboszcz — słuchać mi tego nie przystało....

— I ja też więcej spowiadać się nie myślę — rzekł Kasztelanic — to był tylko wstęp do rzeczy. Otaczający mnie ludzie całe życie zdradzali mnie, zdradzają do ostatka.... Nie chcę by śmierć, która kiedyś przyjść musi, była dla nich zwycięstwem.... Chcę być panem mojej woli do końca. Widzę chciwość, łakomstwo, występki nawet, czyhające na moje mienie z zajądlnością

obrzydliwą; wściekam się i milczę, bom otoczony siecią, w którą mnie starość bezsilniejsza co dzień wplątała. Liczą co mam, pilnują, zabiegają, cieszą się zawczasu moim spadkiem.... nie pozwolę by się ich pragnienia spełniły. Nie mogę w domu być pewnym żadnego kątką, żadnej kryjówki.... słowem, powierzę panu, jako duchownemu, jako obcemu, który w tej sprawie nie zyskać ani stracić nie możesz, moją wolę ostatnią....

Kończył Kasztelanie z wyraźnem wysileniem, dobył z zanadru opieczetowany papier i wręczył go proboszczowi, który z przyjęciem jego nieco się zawahał.

— Dziękuję panu za ufność — rzekł powolnie; obowiązkiem moim jest na nią odpowiedzieć skłaniając się do woli pana, chociaż wyznam mu szczerze, że uczucia które natchnęły to pismo, uczucia niechrześcijańskie, przykrym mi czynią krok w którym udział mam jakiś.

— Nie grajmy księżninie komedji — słabszym głosem odezwał się Kasztelanie zmordowany widocznie — ja w te sentymenta nie wierzę....

— A jakżeś pan żył? — z przestraczem odezwał się ksiądz Bakałowski.

— Jak? — coraz ciszej mówił szydząc gospodarz — z dnia na dzień, oszukaństwo oszukaństwem placąc, słowa słowami, niewiarę niewiarą, a samolubstwo endze egoizmem moim...

— Ale dziś, u życia schyłku, które niech Bóg przedłuży — poprawił się proboszcz — nie czujeszże pan czczości tego żywota, potrzeby zmiany?

Kasztelanie się uśmiechnął.

— Cha! cha! dajmy temu spokój! dajmy pokój — zawołał — już umie nie nawrócić! Całe moje staranie życie jeszcze przedłużyć o ile można, wyciągnąć, nażyć się, a potem (machnął ręką) niech sobie wilcy trawę jedzą!

Ksiądz się wzdrygnął, łza litości zmoczyła mu powiekę; chciał znaleźć przystęp do tego stwardniałego serca, do tej duszy zamkniętej — i nie umiał go wyszukać. One były jak skamieniała ślimacza skorupa, którą rozbić można, otworzyć niepodobna.

Chwila milczenia nastąpiła po tej łzie i wyznaniach;

starzec spojrział na księdza, spostrzegł błyszczącą w powiekach jego kroplę, owoc litości chrześcijańskiej i zdumiał się i zadumał.

Ale wprędce uśmiech stary, niedowiarstwa, szyderstwa, chłodn, pokazał się na zbladłych jego ustach.

— A! a! — rzekł cicho — jakiby to był dla Jego-mości tryumf, nawrócenie takiego jak ja grzesznika! nie prawdaż? byłoby się czem pochlubić.

Proboszcz wstał aż z krzesła dźwignięty gniewem, którego ledwie pohamować potrafił.

— O! o! nie gniewajże się mój dobrodziej — rzekł Kasztelan — nie chciałem cię obrazić! Ale nie myśl o mojej duszy — dodał gorzko — bo ja w te błęstwa nigdy nie uwierzę....

Nie było sposobu nie tylko nawracać, ale nawet mówić z tym człowiekiem; ksiądz Bakałowski z żalem to postrzegł, pożałował nawet, że przyjął testament, którego natchnęła nienawiść ku ludziom; jednakże obawiając się by gorszego coś jeszcze nie zrobił Kasztelan, zatrzymał go, uznając potrzebę pytania:

— Chociaż to do mnie nie należy, jak tam pan Dobrodziej rozporządzasz tem co mu Bóg dał — jednakże widząc jego nczucia, niepodobna żebym nie zapytał co zawiera ta karta, którą mam powierzona? Nie mogę być pośrednikiem do nczynku coby miał w sobie charakter niechrześcijański....

Kasztelan spojrział mu w oczy trochę niecierpliwie i prawie gniewnie.

— Cóż chcesz księże? żebym na kościoły i szpitale rozpisał majątek? Tego tam nie ma, to pewna; ale też i nie tak bardzo wszetecznego jak myślisz...

— Pan mi na to dajesz słowo? — spytał kapłan poważnie.

Słowo! — odparł Kasztelan — wstydić się nie będziesz miał powodu.... śmiać się tylko mogą ludzie, a niektórzy wściekać!

Zamilkli; Bulwa, który już czatował żeby bez niego interes o dziesięcinę nie traktował, pokazał się ostrożnie ze drzwi do jadalnej sali, którego zwykły był

zawsze wchodzić gdy Kasztelanie siedział w bawialnym pokoju. Ujrawszy go starzec podniósł głowę i nagle zmienił rozmowę.

— Tak tedy o dziesięcinę skończyliśmy — rzekł głośno — stanie się jak Waćpan Dobrodziej życzysz sobie....

— Bardzo panu dziękuję....

— Skonwinkowałeś mnie Asindziej — kończył Szambelan — widocznie dla Bulwy to mówiąc.... nie miałem racji — proszę mi darować! A więc, jakie są ostateczne żądania jego?

— Prosiłbym o zboże — odpowiedział ksiądz — muszę ludzi karmić.

— Słyszysz Waś, panie Bulwa, dostawić proszę...

— Ja sam przyślę po nią...

— Taki jest zwyczaj — przerwał rządca...

— A więc stosownie do zwyczaju — podchwycił stary — tem lepiej; kwity od księdza proboszcza będą mi wszystkie złożone... Idź Waćpan...

Kwaśno trochę odprawiony, wyszedł rządca, kiwając głową, zwłaszcza na to składanie kwitów, które nie dozwalało nic z dziesięciny na swój pożytek obrócić. A miał ten chwalebny zwyczaj pan Bulwa, że na najdrobniejszej rzeczy, mało wiele zawsze coś musiał zarobić. Było to już u niego prawidłem, żeby nie gardzić najmniejszym i bodaj garść wsypać do kieszeni, aby tylko nie złamać raz przyjętej zasady. Nie dziw, że składanie kwitków podobać mu się nie mogło.

Po odejściu niepotrzebnego świadka, przerwana rozmowa już się nie skleila gdzie ją przybycie jego złamało. Kasztelanie wrócił do swojej roli grzecznego gospodarza i przywykłego do wykwintnego dworactwa Stanisławowskiego Szambelana. Lice jego uspokojeniem trochę się ożywiło, odzyskał nieco swobody i dowcipu.

Ksiądz patrząc na niego ze zdumieniem, ledwie w nim mógł poznać rozpaczającego przed chwilą niedowiarka, który bluźnił przeciwko Bogu. Z innej strony przedstawiał mu się teraz Kasztelanie, usiłując i wyższość swego umysłu i ukształcenie pokazać.



Oboje to jednak żadnego nie uczyniło wrażenia na proboszczu, w którym uczucie litości dla nieszczęśliwego przeważało nad innemi. Miał jeszcze przytomne świeże rany, które przed nim odkrył i okropnością ich się wzdygał. Wesołość starca, jego dowcip, smutno, dziwnie obijały się o uszy kapłana, w których tętniły jeszcze bolesne wyznania chorej duszy. Po godzinie rozmowy, gdy się przekonali oba, że jeden nie potrafi oddziaływać na drugiego, Kasztelaniec pierwszy wstał, by księdza pożegnać, dziękując mu za przybycie.

— Przyjmij Waćpan Dobrodziej serdeczne dzięki odemnie — rzekł stary — spodziewam się pożyć jeszcze; kto wie tam, który z nas z brzegu; jednak na wypadek wszelki dodaję przestrożę, że mój testament nie ma być czytany tylko w ogólnem zgromadzeniu całej mojej familji... Mogą być starania o pochwycenie go z rąk waszych, lecz proszę byście nikomu nawet urzędnikom nie powierzali...

— Spelnię żądanie, jeśli żyć będę — odparł ksiądz Bakałowski wstając — ale pozwólcie nawzajem pożegnać się życzeniem. Bodajby Bóg dał wam choć późno poznać prawdziwe światło wiary Chrystusowej i poczuć w sobie nieśmiertelną duszę... Modlić się będę na waszą inteucję...

Rozśmiał się Kasztelaniec...

— A! a! — rzekł — stracone to modlitwy księżuniu! z mlekiem wyssałem niewiarę, nie pora się przerabiać!

— Pora! zawsze pora!

— Dla słabych — odparł stary dumnie — ale we mnie dusza silna i nieulekniona; nie obawiam się nicości która mnie czeka...

— Niech wam Bóg ześle upamiętanie! — dorzucił proboszcz spiesząc odejść, aby nie słuchać przykrych, niewiarą tchnących wyznań starca. — Niech Bóg was pocieszy i nawróci!

Zwyczajnym tylko uśmiechem pożegnał go Kasztelaniec, odwrócił się niedbale i z pewnem ukontentowa-

niem z odniesionego zwycięstwa wszedł do swojego pokoju.

My odwróćmy się na chwilę od niego i pospieszmy za Jaśkiem, który do miasteczka dla narady z Sobockim popędził. Nie bez drżenia wewnętrznego i strachu zdobył on się na krok, którego następności dobrze obrachować nie mógł, ale czuł że straszne być musiały. Wyobrażenia nastroczała mu więzienie, wygnanie, upokorzenia i kary haniebne; ale z drugiej strony widział przyszłość tak świetną, tak wielką, tak gorącą, że dla niej gotów był na największe ofiary. Życie dla niego nie mogło być czem innem tylko użyciem; celu nie miał w niem nad nasycenie, nie drgało w nim serce, nie podnosiła się dusza, wszystko było obojętnem krom tego złota, za które świat chciał kupić. Pomimo więc wahania i strachu, które najwięcej pochodziły ztąd, że się musiał wiązać z Sobockim, którego się lękał i nie mógł mu wierzyć, brnął dalej Jasiek, powtarzając tylko że się udać musi.

Przybywszy do miasteczka, pobiegł zaraz do domku kancelisty, ale go zastał próżnym, stróż tylko drwa rąbał na progu. Antosi nie było, ani dziecka, ani sługi, a Sobocki gdzieś hulął.

— Gdzie jest pan? — spytał starego chłopca z fajeczką w zębach, powoli kołącego drzewo i nie wielką mającego ochotę wdawać się w rozmowę.

— A kto go wie? — mrknął najemuik.

— A pani? — nacierał Jasiek.

— Jaka pani?

— Tutejsza przecie.

— Ja tu pani nie widziałem...

— Wszak tu mieszka Sobocki?

— Musi być... Sobacki czy Sobocki... a zresztą popytajcie sąsiadów, bo ja nie tutejszy.

Jaś nie wiedział gdzie się objaśnić lepiej, gdy zobaczył z zakasanemi rękoma stojącą z drugiej strony parkanu czerwoną służącą, która zdawała się wyzywać go oczyma do pogadanki; obrócił się ku niej:

— Nie wiecie moja kochana, gdzie Sobocki?

— Któż go tam wie, gdzie lata, rzadko on w domu — odparła szybko bardzo paplając kobieta. — My tu, widzi pan, mieszkamy obok, to się to człowiek patrzy na wszystko, choćby oczy zapluszczył... Ale on bardzo w domu rzadki...

— A żona!

— To pan nie wie?

— Nic nie wiem.

Kobieta pokiwała głową.

— A to, proszę pana — zaczęła, zbliżając się i niemal na płot wylażąc — jak zaczął z nią historję wyrabiać, jak zaczął ją, mówią, i bić i łąać i chleba czasem brakło, jak mówiła kucharka, co nie dawno odstała, tak nareszcie biedna kobieta wyniosła się od niego, i nie wiadomo dokąd.... jak w wodę wpadła.... Co się jej naszukali, co napytali, naobwoływali.... ani słychu....

— I z dziecięciem? — spytał Jaś poruszony nieco.

— A z dziecięciem, proszę pana; słyszę nawet nie nie wzięła z domu tylko maleńki węzelek...

Jaś nie chciał badać dłużej, spuścił głowę, wyszedł z dziedzińca i udał się do winiarni, spodziewając tam zastać Sobockiego. Po drodze rozmyślał co począć, ucieczka bowiem siostry jego bardzo zmieniała postać rzeczy; zapis który tak obchodził męża, mógł na niego tylko przez nią spadać; Jasiowi też przykro trochę było mieć do czynienia z człowiekiem, który Antosię zmusił do ucieczki z domu, do ostatniej zapewne nędziny.... Jakkolwiek ogołocony z uczuć szlachetniejszych, których nie miał wzoru, nie uczuł potrzeby, nie pojmował w życiu roli, zachował, że tak powiem, zwierzęce jakieś przywiązanie do bliższej rodziny. Lata pierwsze z nią spędzone niedostatku, bóleści wspólnych, wiązały sieroty.

Mimowolnie oburzał się na Sobockiego i wahał co począć z testamentem, ale nie było wyboru, przez niego mógł być tylko zrobiony, on stanowił całą ich przyszłość, potrzeba było widzieć się z kancelistą.

W winiarni nie zastał go tym razem; powiedziano mu, że musiał być w sądzie, poszedł więc do zamku.

W ogromnej izbie zastawionej stołami, które obsiedli do koła gryzipiórki różnego wzrostu, wieku i kalibru, pełnej wyziewów papieru zbutwiałego, atramentu i błota, zasypanej żrzymkami piór i podartymi brulionami; Jaś na którego natychmiast cała kancelarja chciwie obróciła oczy, znalazł nareszcie szwagra.

Sobocki, widać niezmiernie zajęty, siedział w kącie nad folialem protokółów; przed nim leżał papier stemplowy. Schylony, skurczony, z przymrużonem okiem, pisał... a pióro jego szalonym pędem biegło po białej karcie. Straszny był przy tem zajęciu, twarz miał żółtą, oczy zaognione, włos rozstrzępiony, usta jak wśród snu w pół otwarte machinalnie i zaślinione, drgały tylko niekiedy krwi biciem; a sprawa, którą obrabiał tak go w tej chwili zajmowała, że otwarcie drzwi, głos znajomy, targania współtowarzyszów, obudzić go w początku nie mogły. Dopiero gdy Jaś przystąpił bliżej, gdy się odezwał po raz drugi i trzeci, gdy go dotknął, Sobocki chmurną podniósł głowę ku niemu.

Zobaczywszy szwagra, wyszedł powoli z osłupienia, w którym zostawał, ale nic nie rzekł, tylko mu dał znak ręką, żeby poczekał, i sam znów się zlamawszy we dwoje pisał dalej.

Trwało to chwilę, a kancelarja cała uśmiechała się z nienawidzonego Sobockiego i drwić poczyniała z przybysza, gdy nagle rzucił Sobocki pióro opodał, zatrzasnął księgę, zmiął papiery i zsunął je, powstał, chwycił czapkę, narzucił płaszcz i wyleciał ciągnąc za sobą Jaśka. Za niemi cichy, stłumiony wybuch śmiechu tylko przeleciał po zimnej, smutnej izbie pisarzy.

W dziedzińcu, jakby się do reszty opamiętał, Sobocki stanął, spojrzał Jasiowi w oczy.

— Wiesz? — spytał go krótko.

— Co takiego?

— A ta Antosia, kochana — wasza Antosia! ślicznego mi figla spletała! uciekła bestja! co powiesz? jak w wodę!

— Kiedyś już sam o tem zaczął — odparł Jaś chmurno — to ci powiem otwarcie, że się jej nie dziwnię; źle się z nią obchodziłeś! bracie, źle!

— A cóżes ty chciał, żebym ja przed nią tańczył na paluszkach! żebym jej komplementa prawił?

— Brakło jej wszystkiego, a najwięcej przywiązania z twojej strony i...

— No! no! dość tego, widzę że bierzesz jej obronę... a to wściekła kobieta! nigdy mi w najmniejszej rzeczy uledez nie chciała! Ale licha ją bierz! ja ją odkryję i dopiero pokażę co umiem, jak się znów w moje ręce popadnie! Bez grosza daleko pójść nie mogła!

— To pewna, że jeśli ją znajdziesz — żywo odpowiedział Jaś — ja jej więcej krzywdy zrobić nie dam...

— Cóż myślisz, że mnie nastraszysz? — śmiejąc się zapytał zbłądły Sobocki.

— Straszyć nie myślę — rzekł młody chłopiec — ale znajdzie się sposób i na ciebie...

— Przyjechałeś mi robić wymówki? — zawołał kanclista odstępując krokiem.

— Nie, bo dopiero w miasteczku dowiedziałem się o tem... i mocno mnie to obeszło.

— Tak! boś młokos — odparł Sobocki — bo tego nie rozumiesz jak się z kobietą obchodzić potrzeba, żeby mieć pokój w domu!

— A miałeś-że ty pokój?

— To co innego! to nie kobieta, to szalone stworzenie, któremnby nikt rady nie dał. Już dość powiedzieć, że byle na swoim postawić, wołała uciec bez grosza z domu i wałęsać się po świecie.

— To twoja wina!

Sobocki ruszył ramionami.

— Dałbyś pokój — rzekł — to nie twój interes! gadaj z czem przyjechałeś?

Jaś się zastanowił. Trochę papierów przygotowanych wyglądało mu z za surduta nie dobrze zapiętego; Sobocki dawno je postrzegł i zwąchał co znaczyły.

— Wszak to testament? — dodał szybko.

Jaś milczał jeszcze.

— Darmobyś kłamał — odparł Sobocki — przyjechałeś po to; Kasztelanie ma się co dnia gorzej.... to wiem.

— Tak, ale cóż ci przyjdzie z testamentu, kiedy Antosia uciekła?

— A co to ma jedno do drugiego?

— Zapis musi być dla niej! — rzekł Jaś.

Uśmiechnął się pisarek.

— A zapewne — rzekł — ale mnie się przyzna opieka i rozporządzanie jej funduszem, właśnie z powodu ucieczki jej.

Chmurno Jaś spojrzał, ubodła go przyszłość siostry.

Sobocki tymczasem zagadywał zręcznie:

— A masz ty papiery potrzebne?

— Mam, ale wprzód ułożyć się nam potrzeba, jak napiszemy... ja tej opieki twojej nie chcę.

— No to i testamentu nie będzie — gorąco krzyknął Sobocki. — Co to ty myślisz: ja wam darmo będę piekł pieczeń? Muszę płacić, starać się, ryzykować na śledztwa, uchowaj Boże jakiego doniesienia, i potem kłaniać się wam jeszcze.... o! co z tego to nic nie będzie!

— Chodźmy ztąd bo na nas patrzą — odparł Jaś — ułożymy punkta, umówimy się gdzieindziej.

I pociągnął go za sobą ku winiarni.

Sobocki wciąż był chmurny i zamyślony. Wszedłszy postąpił zaraz po wino, ale nim rozpoczęli rozmowę i układy, twarz jego nagle skutkiem jakiejś wewnętrznej myśli rozjaśniła się, wypogodziła, oko błysnęło, zatarł ręce i siadł przy szwagrze inny zupełnie.

Jaś przypisywał to zbliżającej się butelce, przy której zaraz cicha zawiązała się rozprawa. Z wielkiem podziwieniem młodego chłopca, który się spodziewał oporu od szwagra, wszystko poszło jak po maśle. Przyjął on ochotnie punkta podane sobie; trochę się tylko jakby dla formy posprzeczał o opiekę i szafunek schedy żony i w tem nawet uległ bratu wymawiając sobie tylko jakiś mało znaczący legat.

— Teraz-że — rzekł kończąc — pokaż mi swoje



dokumentu; może czego braknąć będzie? — zaczął chciwą wyciągając rękę.

Jaś dobył papiery, odcisk pieczętki wyraźny, podpisy i notaty. Wszystko to obejrzał szybko Sobocki, raz i drugi, podumał i schował do kieszeni.

— Zrobiny porządnie i jak chcesz — rzekł — ale tego z palca nie wylamać; potrzeba pieczętkę robić i to nie tu, ale o mil kilkadziesiąt; trzeba wynaleźć przed rokiem zmarłych świadków i stary papier. Pojedziesz do domu, a ja ci gotową rzecz przyszlę.

Jaś, nie zastanowiwszy się, spytał tylko czy to rychło być może, bo Kasztelanie ostatkiem gonił.

— Pospieszym, pospieszym! — rzekł Sobocki — już ja nie zmarudzę, za tydzień to będzie; przyjedź sam!

— Ja nie mogę, stary nie rychło mnie puści od siebie... posyłać taką rzecz także niebezpiecznie...

— No! to ja ci sam przywiozę!

— Chyba tak, żeby cię nikt we dworze nie widział — rzekł Jaś. — Staniesz w karczmie niby przejezdny, przyjdiesz do mojego mieszkania... i to w nocy...

— Dobrze, dobrze! damy sobie rady — zagadał Sobocki — a teraz zapijmy sprawę.

I nalał kieliszki, z którymi w rękę przesiedzieli do nocy. Podpiwszy kancelista co chwila poczynął narzekać na żonę; znać mu jej ucieczka srodze dolegała, ale Jaś nie dawał się wynurzać i przerywał broniąc siostry.

Nocą już się rozeszli, bo Sobocki miał jeszcze kończyć robotę, którą pomimo upojenia do rana potrzebował przygotować. Jaś padł na łóżko i usnął.

Nazajutrz, po śniadaniu obfitem, młody chłopiec nie mając już co robić w miasteczku, a niespokojny, i prze-mysłający o pięknych oczach pani Tryze, siadł na bryczkę i popędził do Strumienia.

Przybył jeszcze nim Kasztelanie odszedł do sypialni i spieszył mu się zameldować, ale zląkł się wejrzenia, które go na wstępie spotkało. Starzec uśmiechał się

tak mściwie, tak szydersko, jak gdyby wiedział co się knuło, i pewien był, że z tego nic nie będzie.

— A cóż? — spytał — jeździło się Asindziejowi nie źle?

— Bardzo dobrze...

— Tandem, jak się ma przyjaciel, pan Sobocki?

Jaś zadrżał, ale się nie zmięszął.

— To niegodny człowiek — odparł z uczuciem — przywiódł do tego Antosię, że od niego uciec musiała.

— Ps! ps! co mi asan mówisz! uciekła! a to jej do licha dojeść musiał. I dokądże to? może to jaki romansik?

— Nie wiadomo dokąd, poszła z dzieckiem. Wszyscy mówią, że niegodziwie się z nią obchodził.

Jaś umyślnie nastawał jak widzimy na Sobockiego, żeby się stryjowi, który go nie lubił, przypochlebić, i wszelkie domysły współnictwa z nim obalić.

— O! bo też szubienica mu patrzy z oczów, temu łotrowi — dodał Szambelan — a kto z kim przestaje, takim się staje, pamiętaj waść, panie Janie...

To mówiąc stary wziął za klamkę od swego pokoju, i ze znaczącem na Jasia wejrzaniem wyszedł powoli.



KONIEC TOMU TRZECIEGO.

## TOM IV.

### I.

W sypialni Kasztelanica paliły się dwie świece woskowe na stoliku; starzec siedział w krześle zamyślonny, nie w zwykłym stroju wieczornym i czepku, ale w przepysznym szlafroku z litej wschodniej materji, znać już nie nowym, ale jeszcze bardzo okazałym; włos jego starannie zaczesany białł od lekko narzuconego pudru; w całej postawie i przybraniu wydawała się jakaś zalotność, która dziwnie sprzeciwiała się wybladłemu licu, wpadłym policzkom, oczom zagasłym i zgrzybiałości, jaka teraz ogarniała nagle starego dworaka Stanisławowskiego.

Kilka miesięcy wywarły na nim skutek lat kilku. Zdarza się często, że wstzymana jakby starość, nagle potem opanowuje tych co się jej oprzeć potrafili; lekka choroba, zmartwienie, wzruszenie, czasem drobna na pozór okoliczność sprowadza ją z sobą. Naówczas, ledwie dotknęła człowieka, z każdym dniem robi olbrzymie postępy, wszystko pęka, rozsypuje się, niszczy, co godzina opada z sił nieszczęśliwy, gaśnie, zamiera i w ostatku z życiem się rozstaje, nieopamiętawszy jak mu przyszedł ten zgon piorunowy. Tak właśnie działo się z Kasztelanicem, któremu przybycie pani Tryze zadawało ten cios śmiertelny; rozdrażniony, schnął w oczach, pasował się z życiem, podbudzał je wszelkimi sposoby i środki, któremi je myślał utrzymać, a te przygubiały go jeszcze.

Czuł on tę zmianę w sobie, ale nie przypuszczał, żeby mu groziła; przywykły sam się leczyć zawsze; oczekiwał od jutra polepszenia i nie tracił nadziei.

Otoczający go już widzieli na licu jego wyryty palec śmierci, gdy on jeszcze dalekie osnuwał zamiary.

Tego dnia gorzej był niż kiedy; krew rzucała mu się do głowy, w piersiach czuł brak oddechu, i ciężkość kamienną, oczy zasłaniały się chwilami tą błyskotliwą chorobną ciemnością, po której jakby grobowe jaśnieją świec płomyki; zimno i gorąco przebiegało po zdrętwiałem jego ciele, usta paliła gorączka, a myśl nawet, zawsze przytomna dotąd, zdawała się znużona ustawać, co chwilę snem ołowianym przerywana.

We dnie nawet przy obiedzie, który dawniej całą jego przytomność wyzywał, zasypiał kilka razy, niespokojnie poglądając czy tego nie widzą i usiłując ukryć się przed oczyma przytomnych ze wzrastającą słabością.

W tej chwili Kasztelanie oczekiwał pani Tryze, która zwykła była o tej godzinie przynosić mu lemoniadę, strój jego dowodził, jak mu jeszcze chodziło o to, by się w jej oczach co najlepiej pokazać.

Niespokojnie zwrócił kilkakroć oczy ku drzwiom do jej pokojów wiodącym, i chciał już chwycić za dzwonek stojący na brzegu stolika, gdy z lekka roztwarła się szafka i piękna ochmistrzyni ukazała się na progu, ze szklanką na małej tacy srebrnej.

Ani Hebe piękniejszą być nie mogła, i nie dziw, że widok tego wdzięcznego zjawiska zdrętwiałego starca zelektryzował. Podniosła się głowa, usmiechnęły usta, zadrżała dłoń.

Pani Tryze, w białej muslinowej sukni, z włosami od niechcenia w wielki warkocz spletanemi, wsunęła się na palcach, wejrzeniem ognistem drażniąc nieszczerśliwego starca. Postawiła tacę przed nim, i właśnie gdy ją za śliczną, maluchną, białą rączkę chciał chwycić, usunęła się na bok żywo.

— A! moja królowo! — zawołał słabym i z trudnością dobywającym się głosem Szambelan — jakże jesteś okrutna?

— Ja! okrutna! — śmiejąc się sparta opodal na stoliczku odparła kobieta — powiedz pan raczej zbyt

posłuszna... Wszak nie powinnabym przychodzić tu o tej porze, kiedy jak widzę, widok mój zawsze pawa zbyt niepokoi... zapewne wspomnieniem. I uśmiechnęła się znacząco.

— Dajże mi pokój Asińdzka z tem wspomnieniem — z nienkontentowaniem odpowiedział Kasztelanic — co za wspomnienie!

— Juściż nie mogę przypuścić, byś pan tak rychło starych przyjaciół zabywał!

— Przyjaciół! — szydersko rzekł Szambelan.

— A choćby i przyjaciółtek! — dodała pani Tryze.

— No! no! dajmy temn pokój królowo — wdzięcząc się i modląc rzekł starzec — chodź lepiej, zbliż się i daj mi choć tę śliczną rączkę ucałować.

Kobieta spojrzała na swoje ręce.

— Doprawdy — rzekła — nie są bo tak piękne.

I to mówiąc pokazywała je na wszystkie strony, obracając to różowemi dłońami, to bieluchną i pulchną powierzchnią.

Oczy starca wlepiały się w nie z wyrazem satyra, chciał się podnieść ażeby się zbliżyć ku niej, lecz nogi mu odmówiły posługi; upadł bezsilny. Tylko zimny pot wysilenia okrył zbielełą martwą skroń jego.

Smutno skrzywiły się uśmiechem jakiejs litości usta kobiety, westchnęła, zakryła twarz na chwilę, otrząsała się z jakiegoś wspomnienia czy myśli, i znów przybrała minkę wesolą.

Szambelan był przełękły.... pochylił się na fotel; i zdawał liczyć bicia serca, które żywo gualo ostatkiem życia.

Ochłonał przecie, podniósł się, uśmiechnął, zasępił, walczył z sobą widocznie.

— Czy zawsze myślisz tak pani być skąpą dla mnie? — zapytał.

— O! o! na pańskie lata i tego co masz za nadto, powinienbyś oczy zakrywać! Gdzież to kto widział, żeby w tym wieku jeszcze myśleć o kochaniu...

— Serce nie starzeje! — rzekł Kasztelanic galancko.

— A miałeś pan je kiedy? — spytała pani Tryze.

— O! już żarty!

— Dowiedziona rzecz, że na noc żarty niewinne robią skutek chłodzący i lekko narkotyczny! — żywo śmiejąc się odpowiedziała kobieta.

— Nie na mnie przynajmniej! — chmurno rzekł stary.

— Pan je lubisz, gdy sam szafujesz niemi, nieprawdą? nie cierpisz gdy drudzy?

— To być może; nie taję się z tem, że jestem egoistą, gdy drudzy lubią grać komedję poświęceń...

— Nie biorę tego do siebie — przerwała pani Tryze, — wszak nigdy nie mówię o poświęceniach? nieprawdą?

— I poświęcić się też nie chcesz?

— Nie mam wielkiej ochoty, przynajmniej w tej chwili.

— No! tylko rączkę, tylko raz rączkę pocałować! — prosił Kasztelanic.

— Nie warto tego, nie warto! to ręka sługi!

— Warta berła!

— Chcesz mnie pan wziąć pochlebstwem? przestrzegam, że się to nie uda. Tylem ich w życiu słyszała, że na mnie najmniejszego skutku nie robią.

— A cóż na pani robi skutek?

— Naturalnie młodość i miłość! wdziek i uczucie!

Kasztelanic się zachmurzył.

— A więcej? — dodał.

— Doprawdy, chyba nic.

— Nic, nic?

— Nawet to co wszystkich ludzi pociąga? złoto, mienie... dary...

Pani Tryze spojrzała figlarnie, zalotnie w same oczy starcowi, aż zadrżał, pomyślała niby uważnie, jak gdyby sama siebie jeszcze nie znając badała i powoli odezwała się:

— Złoto! dary! masz-że pan tyle złota żeby kupić serce?



— Serce! — uśmiechnął się stary szydząc.

— No! — choćby wolę! — odparła kobieta.

— A jak myślicie? — wieleżby go na to potrzeba?

Nie wytłómaczone jakieś nczucie poruszyło tajemniczą kobietą; rzekłbyś że raj przesunął się przed jej oczyma, tak rozjaśniły się jej oczy, tak cała rozpromieniała jakąś nadzieją.

— Potrzebaby go wiele! — o i wiele! — tyle ile dwojgu ludziom na całe życie szczęścia! zapomnienia! zapłaty za cierpienie, za upokorzenia, za kał w którym żyli i błoto którego dotknęli...

Starzec z tych słów wyrzeczonych nadzwyczaj gwałtownie dosłyszał tylko i zrozumiał: wiele i powtórzył pytanie — Wiele?

— O! rachować nie umiem! — spadając z jakichś marzeń zawołała smutnie kobieta.

— Ja będę rachmistrzem — rzekł starzec — liczymy na złoto....

Ona milczała posepnie, prawie rozpaczliwie.

— Tysiąc? — ciągnął dalej Kasztelanic.

— O! próżna byłaby rachuba! — przerwała mu pani Tryze, — nie wszystko i nie wszystkich kupić można!

— To zależy od ceny! — cynicznie rzekł znowu stary. — Tysiąc za pocałowanie twojej rączki.

— Jak panu łatwo liczyć tysiące! a ludzie mówią że trudno, bardzo trudno rozstać się z niemi...

Kasztelanic spojrzał na nią gniewnie.

— Powiedz-że mi pani — zawołał zmieniając głos, aż kobieta wzdrygnęła się z przestachu — do czego ta cała komedja, po co te ze mną ceremonje? Roli kochanka grać nie umiem....

— Ja też jej nie wymagam, — dumnie odpowiedziała pani Tryze okryta rumieńcem cała. — Służę panu bom sługa, i życzę dobrej nocy, bo godzina snu wybiła, a godziny zapomnieć się nie godzi dla kapryśnej kobiety.

To mówiąc zakreśliła się zwinnie, lekko, jakby chciała jeszcze starca podrażnić, otworzyła drzwi, spojrzała z za

nich na niego z wyrazem litości i szyderstwa razem i znikła.

Kasztelaniec pobladł z guiewu, zatrząsł się, zaciął usta, chciał powstać, nie mógł, zdretnienie dziwne od niego szło mu do serca powolnie, ręce okryły się potem zimnym, oczy zasłoniły siecią czarną, język skołowaciał w ustach.... Chciał krzyknąć, nie miał głosu, chciał odetchnąć, zabrakło powietrza, poruszyć się, żelazne ścisnęły go pęta... Nagle jakby uderzenie młota uczył na głowie, konwulsyjnie zadrżał i spadł z krzesła.

Dusza grzeszna już była przed sądem Bożym, niosąc żywot swój cały, lupiny tylko suche, z tego dnia pracy straconego...

Straszny był widok tego pokoju, w którym wszystko jeszcze przypominało życie, gdy w nim śmierć już mieszkala... Cisza była w domu całym... Służba drzemiąca czekała rozkazów pana, co się już nie miał przebudzić; Puślikowski przysłuchiwał się dzwonkowi, i dopilnować go nie mógł, świece płouęły na stoliku powolnie, zegar wybijał kwadranse i godziny nie liczone, a szaleść kobiecej sukni, co znikła przed chwilą za drzewczkami, jeszcze zdaje się przebiegał powietrze.

Z tego życia czego została garść ziemi, którą już toczył robak powolnego zniszczenia, trochę uczuć obudzonych nią po świecie, co wkrótce miał ich zapomnieć — trochę wspomnień zapracowanych mozolnie a ciężkich jak przekleństwa, i — nie więcej. Dusza musiała, upokorzona swą niewolą, wyrwać się z tej powłoki, co ją w tak ciężkie i sromotne okuła kajdany, wleciała oczyścić się może, może umrzeć na wieki ze wstydu i zgryzoty...

Pierwszym co wszedł do pokoju Kasztelanica był Puślikowski, który ostrożnie drzwi uchylił późną usłyszawszy godzine i obaczywszy leżącego starca krzyknął narobił. W jednej chwili, co żyło w domu perwało się na nogi, zamieszanie, wrzask, wołanie o ratunek. wrzawa straszna powstała do koła.... doszły aż do oficyny, gdzie Jaś spokojnie swoje nadzieje rozrachowywał.

— Kasztelanie nie żyje! pan umarł! — krzyczeli ludzie, rozbiegając się po dziedzińcu i po wsi.

W początku, nie zrozumiawszy wrzasku który ją dochodził, pani Tryze, trefiaca na noc włosy przed zwierciadłem, wpadła na myśl że się pali, i nieprzytomna wbiegła do pokoju Kasztelanica.

Widok jaki tu spotkała, przeraził ją piorunowo — stanęła, osłupiałym potoczyła wzrokiem. okropny krzyk wyrwał się z jej piersi, rzuciła się nazad do drzwi i poczęła uciekać... Jak obłąkana przebiegła dziedziniec, puściła się drogą, i wśród nocy biegnąc bez kierunku, świeciła długo białą swą suknią, póki nie znikła w ciemnościach.

Jaś tymczasem zdyszany leciał już ku dworowi, nie wiedząc sam co pociągnąć, bo testamentu w rękę jeszcze nie miał; śmierć ta nie tyle go przerażała, ile nieprzygotowanie i to co pociągnąć miała za sobą. On już rachował, układał, spieszył żeby z niej korzystać.

Wszakże widok tego nagłego przejścia z życia do śmierci i to nie czułe dziecię poruszył, jakiś przestach go ogarnął, wzdrygnął się na progu, zastanowił i wahał z wnijsciem do pokoju, w którym już zdaje się słychać było kadzidla pogrzebowe. Po za nim skupiony dwór cały stał, nie śmiejąc przestąpić progu z ciekawością i bojaźnią. Jasiewi najwięcej chodziło o wczesne opanowanie klucza od tajemniczego pokoju stryja, który Kasztelanie zwykle przy sobie nosił; przyszedł mu na myśl w tej chwili, wzdrygnął się jednak na to, żeby go martwemu wydzierać. W miarę jak się z widokiem tym oswajał, konieczność posiadania klucza coraz mu się okazywała widoczniejszą, skinął na Puślikowskiego żeby drzwi zanknął i zostawszy z nim sam na sam wobec trupa, zbliżył się po ów klucz od skarbcu.

Sługa poglądał na to z jakimś rozmysłem poważnym, nie rozumiejąc znaczenia.

Nie bez drżenia ręka synowca dotknęła zwłok nieboszczyka, które musiała poruszyć, by ów klucz wyśzukać.... Znalazł się w zastygłej dłoni Kasztelanica,

instynktowo pochwycony zapewne w chwili zgonu, ale palce trzymały silnie.... Jaś rozdział je oburącz chwyciwszy i nie bez wstępu wyrwał zimne żelazo, które zaraz schował skrzętnie.

Obejrzał się potem po pokoju, jak gdyby szukał co chwycić jeszcze, gdy Puślikowski odezwał się z zimną krwią doświadczonego:

— Nieboszczyka potrzeba wynieść gdzieindziej, a pokoje opieczetować...

— Opieczetować? — spytał Jaś z rodzajem obłąkania.

— Tak jest przy świadkach; inaczej wszyscy odpowiedzialni być mogą, jeśli co zginie.

Jaś zamyślił się, chciał zaraz iść do pokoju zamkniętego i chwycić z niego co było można. Posunął się krokiem ku drzwiom.

— Dokąd to? proszę pana? — spytał Puślikowski.

— A tobie co do tego? — odparł dumnie młody chłopiec.

— Mnie? — prostując się rzekł sługa — mnie najbardziej do tego, żeby wszystko było w całości i nie tknięte, bo sługę najprędzej posadzą, a mnie moja pocziwa sława droga!

— Ale ja jestem dziedzicem...

— To być może — odparł pokornie ale stale Puślikowski — więc, panu wszystko jedno, dziś czy jutro objąć...

— Co to jest? — ofuknął się Jaś — ty mi myślisz prawa tu przepisywać?

— Prawo nie ja przepisuję — rzekł powolnie niezmiészany kamerdyner — prawo jest samo sobą, a że pan go nie znasz... to nie jego wina... to się z wiekiem nabywa.

Po chwili zastanowienia Jaś odstąpił ode drzwi, rozkazał wynosić ciało stryja i zapowiedział, że opieczetują jego pokoje.

Ludzie przyszl, martwe zwłoki w pobliskiej sali złożone zostały, a Puślikowski, nie spuszczać z oka

Jaśka, wezwawszy Bulwy, natychmiast pokojów nieboszczyka drzwi i okna popieczetował...

Ledwie się to stało, gdy chłopak Jasia zawołał go do oficyny... z powodu przybycia jakiegoś nieznanego. Chociaż we dworze wiele do czynienia pozostawało, domyślając się jednak przyjazdu Sobockiego i testamentu, Jasiak pospieszył do oficyny.

W jego pokoiku na sofie leżał świszcząc kancelista, zdając się, pomimo nowiny jaka go spotkała na progu, w najlepszym humorze, na którego rozjaśnienie wpływała nie mało kminkówka, dająca się czuć po całej stancyjce.

Jaś wleciał przerażony, obłąkany prawie.

— A co? kaput! — powitał go Sobocki.... poszedł stryjaszek na ciepłe piwko do Abrahama?

— Nie czas żartować! — ofuknął się szwagier.

— E! bo też ja nie z żartami przybyłem jak myślisz! — odparł gość siadając. — Potrzeba radzić i robić? Wiesz, czy jest testament?

— Nic nie wiem, ten bestja Puślikowski...

— Co? skarżysz się na niego!

— A jakże! gdyby nie on, byłbym dotąd o wszystkim wiedział! Mam klucz od pokoju Kasztelanica, ale mi do niego wejść nie dał, i dopilnował że wszystko opieczetowano...

— Jaki? Puślikowski...

— On! Ale gdzież masz testament?

Sobocki uderzył się po bocznej kieszeni surduta.

— Dawajże mi go, niech przeczytam...

— Opieczetowany — zimno odparł kancelista.

— A! to najmniejsza, mam prawdziwą pieczętkę to ją przyłożym na nowo.

— Ale pieczęci świadków?

— A tych ty musisz mieć formy?

— Albow ja głupi wozic je z sobą i chować? — zaśmiał się Sobocki — a na cóż ci czytać? Testament napisany jak chciałeś!

— Na co? bo ci nie wierzę! — odparł Jaś szybko.

— Nie głupi jesteś — rzekł chłodno kancelista —

ale albo potrzeba było mi z góry powiedzieć, to bym był nie pieczętował, albo całkiem nie mówić po czasie.

— Jakto po czasie?

— A! bo rozpieczętowawszy testament, możemy nim sobie fajkę zapalić!

Jaś osłupiał — nie miał on wiary w Sobockiego, lękał się go i nie wiedział co począć.

— Dajesz mi słowo — spytał po chwili — że tak napisany jakeśmy się z sobą umówili?

— Po co to pytać? — odparł szydersko przybyły — zapóźno! Jeśli nie wierzysz, rób co chcesz, ja sobie dam rady.

I rozparł się na sofie zapalając powoli cygaro.

Ciężka była w tej sprawie decyzja, ale Jaś zmiarkował wreszcie, że więcej mógł zyskać z Sobockim, niż bez niego, i że zaufanie było koniecznością.

— Ha! — rzekł — daruj mi chwilę wahania, ale bo widzisz, gdzie chodzi o miliony, trudno tak zaufać; można się złakomić.

Na wspomnienie o milionach, oczy Sobockiego piekielnym ogniem zabłyśły, wykrzywił się do uśmiechu.

— Ale gdzież położysz testament? — spytał — kiedy wszystko opieczętowane?

— Daj mi go tylko, a o ulokowanie się nie frasuj — odpowiedział młody chłopiec, — będzie gdzie być powinien.

— Nie chcesz więc znowu zwierzyć mi się?

— Nie będę się owszem tał — rzekł Jaś — w średnim pokoju, pomiędzy sypialnym a salką bawialną stoi biurko Kasztelanica, od którego klucz mam już od wczoraj przypadkiem; w niem są wszystkie papiery jego, tam się i testament znaleźć powinien.

— Spiesz-że go tam złożyć — dodał kancelista szybko — śmierzć nagle stryja sprowadzi tu sądowych, policję i formalne pieczęcie, którym i biuro nie ujdzie, potrzeba żeby testament znalazł się pod ułomni. Mnie tu długo zwłaszcza w takiej chwili popasać nie wypada, ani się bardzo pokazywać; muszę powracać do miasteczka nocą.



— Ale poradź-że mi wprzód co mam zrobić? — zapytał Jaś.

— Natychmiast pójść nieznacznie omackiem i testament włożyć na miejsce — rzekł Sobocki — nie tracąc czasu dać znać urzędownie o śmierci nagłej do sądu, rozesłać do całej familji wiadomość.

— Po co? — spytał Jaś.

— Właśnie dla tego, że nie ma po co, to trzeba ich tu sprowadzić — śmiejąc się szydersko rzekł Sobocki — alboż ty wiesz co jest w testamencie?

— Prawda!

— Trzeba ci odegrać rolę do końca jak należy.... wezwiesz i mnie, a raczej Antosię.

— Ale... znalazłeś ją?

— Gdzie tam. ani słychu! Może dopiero dowiedziawszy się o testamencie powróci do mnie.

To mówiąc Sobocki wdział palto i płaszcz, zapalił drugie cygaro, oddał testament Jasiowi, a sam ścisnąwszy go za rękę, po cichu wyniósł się za drzwi.

Jaś podumał chwile patrząc na tajemnicze pismo, obwarowane pieczęciami, które los jego zawierało w sobie; wielką miał chętkę je otworzyć, ale niepodobieństwo wstrzymało ciekawość; ukrył je w zanadrzu i pobiegł do dworu zamknąć w biurku Kasztelanica.

Puślikowski, który się krzątał około demowego porządku i ciała, nie dojrzał jak Jasiiek weisnął się do pokoju, otworzył biurko, odsunął szufladę i rzucił w nią testament.

To dopiero spełniwszy, młody chłopak przypomniał sobie panią Tryze i pospieszył do jej pokoju.... ale w nim nie znalazł nikogo. Nikt nie widział kiedy i dokąd wyszła, co się z nią stało...

Ta wiadomość przejęła go żywo, dziwne podejrzenia zbudziły się w głowie, która wszystko przypuścić była gotowa, bo sama do wszystkiego była zdolną. Poleciał do Puślikowskiego.

— Co się stało z panią Tryze?

— Chwilą przed śmiercią Kasztelanica była u niego, słyszałem jak wyszła — odpowiedział sługa — nie

rychło potem dał się słyszeć sztukot, który jak teraz wnoszę, musiał znaczyć upadnięcie ciała.

— Nie było słychać żadnego krzyku?

— Żadnego.

Jaś się głęboko zamyślił, i dwóch ludzi wysłał szukać zbiegłej, którą teraz więcej niż kiedy pragnął mieć w ręku.

---

## II.

W Horoszkach wiele się rzeczy zmieniło od czasu gdyśmy je widzieli, w chwili bytności pana Piotra; odwiedziny te były dla Hieronimostwa stanowcze. Dwóch synów wziął im stryj ażeby ich kosztem swoim umieścić w najlepszej szkole, jaką znalazł pod najtroskliwszą opieką. Staś w powrocie do Zrębów ciągle ojca męczył swoim uwielbieniem wszystkiego w powszechności co widział w Horoszkach, szczególnie się unosząc nad śliczną Zośką, która go oczarowała. W końcu razem jakoś i o swojej podróży za granicę i o Zośce mówić zaczął, nagle jakby czyniąc wniosek, żeby się siostry zajęły wychowaniem Zośki.

Pan Piotr łagodnie uśmiechnął się na to.

— Ale moje serce — rzekł do niego — Zośka już poczynać wychowania nie może, bo to dla niej za późno....

— O! mój ojczu, dla niej roku dosyć, żeby prześcignęła te co od lat kilku ją wyprzedziły!

— Widzę żeś w szczególniejszej dla niej admiracji — odparł ojciec. Staś się zarumienił.

— Ale mój ojczu, nie byłoby to dobrze, żeby Józia, Marja i Horcia, które doprawdy nie mają się czem w domu zająć, wzięły ubogą kuzynkę i pomogły jej wychowaniu?

— Myślisz widzę Stasiu — przerwał pan Piotr — że Zośce czegoś więcej potrzeba nad to co już nabyła?

W tem się mocno mylisz. Dla ubogiej jak ona szlachcianeczki, która nie będzie miała posagu, lub bardzo maleńki tylko, wychowanie piękniejsze byłoby prawdziwą klęską. Z nią się ożenić nie może chyba ubogi jak ona, temu przedewszystkiem potrzebna będzie żona rządną, gospodyni i kobieta coby mu darmo chleba nie jadła. Z fortepianu, śpiewu i francuzczyzny rychlejby skwitował, niżby się za niemi upędzał; toby nawet pretendentów odstraszać mogło i być jej zawadą do losu.

— Dla czegoż ojciec nie przypuszcza, żeby się z nią ktoś bogatszy mógł ożenić? — zapytał Staś spuszczając oczy.

— Dlatego, że nie zwykłem nigdy rachować na przypadki, ale przyszłość skrutując, liczę na to co zwyklesze... taka kalkulacja najmniej myli.

— Może ja nie mam słuszności, ale mi się zdaje, że Zośka stworzona jest na coś lepszego niżeli klucznicowanie — markotno szepnął Staś.

— Zresztą — dodał ojciec — nie wiem, i wątpię żeby rodzice chcieli ją oddać: ona jest matce pomocą wielką w domu, pociechą ojcu; to coby się nam zdawało dla nich dobrodziejstwem, im mogłoby ciężcyć jak tyrania! Mamyż prawo narzucać im swoje projekta?

— Ale możeby oni temu byli radzi?

— Bardzo wątpię!

— Co do mnie, ja mój wniosek muszę siostrze i mamie przedłożyć, może się one go chwycą.

— Ale cóż cię tak los Zośki obchodzi?

— Tak, żal mi tej dziewczynki, że się to na wsi zmarnuje...

— Bardzoś młody Stasiu — odpowiedział z westchnieniem pan Piotr. — Kto wie jeszcze na jakim stopniu społeczności ludzie i kobiety lepiej celowi swemu odpowiadają? Czy tam gdzie niewiasta jest wystrojona lalką z rozdrażnionemi uczuciami, rozognionem sercem i wyobraźnią, czy gdzie ją kształcą na poważną a pracowitą życia towarzyszkę? Kto wie czy trochę więcej umieć, trochę więcej chcieć, a mniej może czuć w istocie i mniej znajdować szczęścia w rzeczywistości, jest

dobrem dla kobiety i dla tych, których ona los dzieli... Niżej od nas stoją dziś staroświeckie matron typy, które nowa cywilizacja francuska zepchnęła. Możeby nam nie wyciągać tych co tam staneli losem, ale się ku nim zbliżyć lepiej? To co ty żądasz dla poczciwej Zośki, nie wieleby się jej przydało, a wszystko odjąć mogło; wystaw ją sobie wracającą do ubogiego domu z rozkołysaną główką, z żądzą zabawy i wytworu, co ona tam poczuie?

Staś się zadumał.

— Ale mój ojciec — rzekł po chwili — ja bo nie widzę konieczności żeby Zośka w tym stanie całe życie pozostać miała. Tak śliczniuchua, tak poczciwa, tak miła, trudno przypuścić żeby się nie podobała komuś co potrafi ją ocenić, a zdaje mi się, że w tem kole co ją otacza takiego kogoś nie znajdzie.

Jakkolwiek Staś udawał zupełnie obojętnego, nie uszło oka ojca, że go Zośka do zbytku obchodziła; wolał jednak przezornie nie pokazać po sobie, że się czegokolwiek domyślał i przed żoną nawet nie o tem nie wspomniął.

Powróciwszy do Zrębów, Staś intrygant udał się ze swoją myślą do sióstr i matki, począł od malowania im w najwdzięczniejszych barwach ubogiego dworku i miłej rodziny Hieronimostwa, a nie trudno mu było ze wszystkich potworzyć ideały. Matka przywykła widzieć świat przez oczy nbóstwianych dzieci, a osobiwie Stasia, rozkochala się w Horoszkach; Józefa, Marja i Horcia poklaskiwały myśli brata żeby Zośkę zabrać do Zrębów, i już wcześniej tak utożyły między sobą, że z kolei byłyby ją uczyły tego co każda z nich umiała najlepiej. A jak marzyły! jak się radowały z tej nowej przyjaciółki, towarzyszki, z tego nowego żywiołu w domu, któryby nadał jakiś cel ich zajęciom i pracy znaczenie. Matka choć podzielała uczucia córek i syna, zrecznie przez siostry więcej niż wprost działającego, zastanawiała się jednak nad jedną tylko rzeczą. Staś i pan Piotr jednogłownie świadczyli o nadzwyczajnej piękności Zosi; jakkolwiek śliczne były trzy córki Ma-

ri, ona się obawiała piękniejszej towarzyszki, co by ich wdzięki zgasila. Przedewszystkiem matka lękała się wprowadzić do domu kuzynki, co by mogła odwrócić młodzież ku sobie mimowolnie, chociażby nie była zalotną.

To jedno wstrzymywało ją tylko od zażądania Zosi. Pan Piotr także kilka swojemi uwagami dał jej nieco do myślenia. Ale Staś pracował po cichu, a że sam wyjeżdżał za granicę i nie mógł być posądzony żeby to uczynił dla zbliżenia jej do siebie, gorliwiej jeszcze siostry podbudzał i dokazał tego, że w końcu pani Piotrowa z Józią, Marją i Hortenzją, postanowiła pojechać do Hieronimostwa.

Nie chcę opisywać szczegółowie tych odwiedzin, które państwa Pawłów oboje omal nie przyprowdziły o żółtaczkę; była wprawdzie pani Piotrowa i u nich chwilowo, z ceremonialną wizytą po obiedzie, ale dowiedziawszy się, że dni kilka bawi u Hieronimów, i że Zosię bierze, tylko że nie poszaleli z zazdrości. Zosia podobała się niezmiernie prostotą swoją matce Stasia, dla niej i jej córek był to typ nieznany, prześliczny, coś w sobie anielskiego mający.

Piękność nawet Zosi, która w oczach uprzedzonej matki, nie tak się wielką zdawała jak ją opisywano, nie stała na przeszkodzie projektom poddauym przez Stasia. Hieronimostwo ani się spodziewali nic podobnego, gdy trzeciego dnia chodząc po małym ogródku, pani Piotrowa powiedziała jej, że ma do niej wielką prośbę. Zdziwiło to Konstancję, a serce jej забиło żywo, gdy się dowiedziała o co chodzi. Łzy zakreciły się jej w oczach, wdzięczność przeszła duszę, ale sama nie wiedziała co postanowić i odwołała się do męża.

Panny tymczasem buntowały Zosię jak mogły, ale tu szło im ciężko, dzika troche dziecina co nie miała w życiu przyjaciółki, której Petra dumna nigdy nie oddała ukłonu nawet. nie odważyła się w początku przystać do tych ślicznych kuzynek, które ją tak wabiły do siebie. Gdy się dowiedziała o projekcie, za-

krzyknęła że matki i ojca opuścić nie może, łązy nawet potoczyły się z jej oczek.

Wieczorem oboje małżonkowie zeszli się radzić, a że dla Zosi był to los prawie taka opieka, nie mogli odmówić dla niej. Bolesnie było matce odłączać się od swej drogiej pomocnicy, smutno myślał ojciec jak opustoszeje domek, gdy srebrny jej głoszek w nim się odzywać nie będzie; ale wszystko poświęcali ochotnie dla przyszłości dziecięcia!

Jeszcze radzili smutni nad sobą, już uradziwszy o Zosi, gdy ona weszła do ich pokoiku i upadła im do nóg. — Ojczy, matko — odezwała się — nie odawajcie mi nie nigdzie — zawołała po cichu ledwie dosłyszczanym głosem — ja wiem o czym myślicie... ale ja nie chcę was opuścić, nigdy, nigdy!

— Moje dziecię drogie — odezwała się matka chwytając ją w objęcia drżące — czyż ty pomyśleć mogłaś żebyśmy chętnie z tobą się rozstali? Z naszej strony to ofiara, ale ofiara dla twojej przyszłości!

— A kiedy ja innej nie chcę, tylko żyć przy was i służyć wam zawsze...

— To być nie może — przerwał ojciec — my nie wieczni, Zosiu, i ty nie możesz żyć tylko dla nas.

— Tylko dla was! tylko dla was! — łkając odezwała się Zosia.

Długo, długo potrzeba ją było namawiać i niemal zmusić, żeby się choć na czas krótki pozwoiliła zabrać do Zrębów. Czułe zabiegi Józki i Marji, przyjaźń serdeczniejsza Horci, najmłodszej, rozkaz rodziców, skłoniły ją nareszcie. Ale odjechała smutna, płacząca i gdy jej z oczów znikł ten domek, którego progu nie opuszczała nigdy jeszcze, jakaś tęsknota opanowała ją, ścisnęła serce i już nie rzuciła na chwilę.

Z macierzyńską troskliwością chodzili koło niej wszyscy; zabawiano ją, były momenta uśmiechu, ale myśl o rodzicach tkwiła w niej tak żywo, że codziennie przy modlitwie strumieniem łez się zalewała. Najdrobniejszą pamiątką, stare sukienki, zeschłe kwiatki



wszystko co jej przypominało Horoszki, było dla niej relikwią.

A! ale i bez niej tam ciężko wytrwać było. Chłopey polecieli wesoło do szkół, Zośka odjechała do Zrębów, zostało jedno tylko dziewczę przy matce, i to osieroczone posmutniało. Bez tego dziecinnego szczebiotu, bez hałasu ich, rodzicom było jak w pustce. Oboje sępniali, kryjąc wzajemnie przed sobą dojmującą im boleść. I nikogo, nikogo im tak żal nie było, nikogo tyle nie brakło co Zośki, w każdym kątku coś ją przypominało: głos jej brzmiał w uszach wśród milczenia, uśmiech krążył przed oczyma i wywoływał łzy. Nawet ludzie otaczający Hieronimostwo, Hapka wierna, wzdychali i stękali po paniencie, krzywili się nie pojmując po co ją rodzice oddali na cudze ręce.

Smutno, doprawdy smutno było w Horoszkach.

Są bo istoty promieniejące życiem, co w koło siebie rozlewają je, bez których ciemno i chłodno, a taką była Zośka, której uśmiech wystarczał na rozpogodzenie wszystkich twarzy; bo w uśmiechu jaśniała anielska, piękna duszyczka, pełna miłości, pokory, prostoty, dojrzała modlitwą a pracą.

Bytność pani Piotrowej, zabranie Zosi, niesłuchanie oburzyły Pawłów, którzy po cichu zazdroszcząc braterstwu, głośno z nich się śmieli i szydzili, a opieka jakiej doznali świeżo, do reszty poróżniła ich z sobą. Dwór i domek już się nie łączyły z sobą, a tysiące drobnostek zajątrzały braci.

— Co, ja — mówiła żywo Pawłowa do męża — gdybym była najuboższa, słowo honoru! nie rozpo-  
sażałabym tak dzieci, na cudzą łaskę, za oczy oddając!

— Serce matki! serce matki! — czule dodała panna Hiacynta.

— Tak jest — podchwyciła Julja — ta kobieta nie ma serca.... Wolałabym nędzę największą niż wyrzeczenie się dziecka.... A zresztą, czego tam to czupieradło nauczać? Jeszcze się śliczniej uśmiechać i wdzięczyć? Ona to i tak dość dobrze umiała! O! o! czemu

nasza Petra tak się nie podoba każdemu? bo umie swoją godność utrzymać!

Obejrzała się matka, wszyscy poklaskiwali, nawet pan Paweł dodał:

— Źle to się wszystko skończy! zobaczycie państwo! Uważałem już że Stasiek poczynił bałamucić Zosie tutaj, do reszty ją rozromansuje w Zrębach i... nie rękę do czego to przyjdzie! — Chrząknął. — A że się zenić nie pozwolą, to nie!

Rozinowa ciągnęła się tak długo i niemal codzień z jakiegoś powodu przypominano Hieronimostwo, żeby sobie z nich szydzić i uragać ich biedzie.

Paweł nawet na chwilę był zapomniawszy o Kasztelanicy i spadku oczekiwanym, zajęty powodzeniem brata, które go niemal gryzło; przypisywał on to opiece Dziadunia i niewiele się mylił.

Stary pan Antoni, któremu Paweł pierwszy oznajmił o wszystkim, odezwał się radując wielce z umieszczenia synów Hieronima i córki; to było powodem pani Antoniowej do utrzymywania, iż zrobiono najgorzej oddając wnuki na cudze ręce. Swoim zwyczajem Antoniościwo pokłócili się o to żywo, i trwał spór tak długo, aż coś nowego dostarczyło do niego świeżego materiału.

Zosia tymczasem pojętna, potulna, zaskarbiła sobie serce wszystkich. Pan Piotr nawet, co się najężej bronił, uprzedzony przeciwko niej, bo ją posadził mimowolnie o trochę zalotności, wkrótce tak się uczuł schwycony za serce, że aż sobie wyrzucił, iż ją niemal na równi z własnymi dziećmi kochał. Co się tyczy Marji, ta ziała na nią uczucia matki, w które tak bogato uposażone było pocziwe jej serce, a panny byłyby popsuley Zoskę pieszczotami, gdyby aniola zepsuć można.

Wszystko to wszakże nie rozweselało wygnanki, która nśmiejch kładła na usta jak sukienkę, żeby z nim wdzięczniej pokazać się tym, dla których czuła przywiązanie, ale w sercu chowała smutek i nieuleczoną tęsknotę za swoim domkiem, za swymi bliższymi.

Dostatek co ją otaczał, przyjemności któremi ją rozerwać się starano, zabawy, wytchnienie po ciężkiej pracy, co tylko było nowego dla niej w Zrębach, nie przylegało do serca. Czarny chleba kawałek schwytyany ukradkiem, prosta jakaś potrawa dom przypominająca, słówko czasem w rozmowie, wywoływały łzę zawsze gotową wytrysnąć z pełnego łez serca.

To życie nowe zdawało się jej obcem, nie swoim, nie naturalnem, z rozkoszą byłaby się do dawnego wróciła, a każdy sen okazywał jej dworek w Horoszkach i stare jego szumiące drzewa i drobnych rozmiarów ogródek, gdzieś z daleka swe gałęzie wyciągający aż ku niej. Budziła się wzruszona, rozplakana i przypominała, że nie jest w domu, że nierychło do swej spokojnej ukochanej zaciszy powróci.

Nauki szły z zabawą razem, żywo, łatwo; i nie dziw, Zosia chciała co prędzej pochwycić je, by z niemi nazad uciec do ojca i matki. Staś tylko kilka dni przebył w Zrębach z Zosią razem, a że mu o to szło bardzo, żeby nie dostrzeżono jego uczuć, krył się z niemi tak skrętnie, iż baczniejsze oczy byłyby w tym przy musie obojętności dopatrzyły się przywiązania. Nareszcie opuścił dom rodzicielski z towarzyszem swym razem, wiozącym pod pachą nieodstępne rozmowy Platona, i puścił się w podróż po Europie, mającą dopełnić wstępu do życia praktycznego, a poprzedzić wnijsie jego w życie samoistniejsze obowiązków i odpowiedzialności.

---

### III.

Wróćmy się teraz do pana Samuela, któregośmy opuścili razem z Rotmistrzem wychodzącego pieszo ze Strumienia, niewiedzącego dokąd się udać, ale z silną wolą nie powrócenia już nigdy do Kasztelanica. Szedł

on tak w ponurem milczeniu, z głową schyloną, aż do pierwszej wioski; a że pieszo nie zwykł był podróżować i uczucie zalegało mu piersi, musiał tu teraz spocząć pod krzyżem, usiadłszy na ziemi. Syn z najzimniejszą krwią znosił tę niedolę, nie śmiał dumy przerwać staremu ojcu, ale sam palił fajkę obojętny i nieraz schwytał za dubeltówkę przymierzając się do przelatujących ptaków. Obaczywszy ojca tak osłabionym i znużonym, pan Rotmistrz pomyślał o najęciu podwozy i po cichu zapytał Samuela, dokąd się udać życzy.

— Gdziekolwiek! gdziekolwiek! — odparł z goryczą stary — byle głowę przytulić w jakim kącie gdziebyśmy nie byli na łasce nieczyjej. Moja pensyjka, Waścin grosz maleńki, na chleb i tytuł wystarczą; kapota dosłuży mi do trumny.... dość tego — obejdzem się bez łaski cudzej i chleba cudzego! Będziemy cierpieć godnie i mileżeć jak na nas przystało.

— Ależ ojcze dobrodzieju — odparł Rotmistrz, któremu zupełnie wybór miejsca był obojętnym — możeby wygodniej nam gdzieś mogło być u krewnych?

— Daj mi pokój z familją i krewnymi! obrószył się żywo stary — nie chcę ich znać, nie chcę ich łaski — nikogo! nikogo! Pojadę do miasteczka, osiadę przy kościele....

— A zatem — odezwał się syn — najmę furę do najbliższego miasteczka....

— Tak! dokąd chcesz, byle kąt, byle chata!

Rotmistrz poszedł na wieś i wkrótce powrócił z najętym chłopkiem, który wóz dobrze słomą i sianem wypchawszy, cztery dzielne koniki popędzał. Pan Samuel, uśmiechając się ze swej niedoli, siadł z synem na furę i tak ruszyli ze Strumienia uciekając. Ale że i dzień był krótki i wiele czasu stracono na wyszukiwanie koni i droga jesienna była rozblecona, nie mogli tego dnia dojechać na miejsce. Przed zmrokiem samym Rotmistrz ujrzał zdala na drodze wózek, którego dzielny koń ciągnął powoli po błocie; poznał siedzącego na nim Dziadunia, który otuliwszy się burką i lejce rzuciwszy,

na ogromnym różańcu modląc się, ciągnął po swojemu gdzieś w daleką wędrowkę do świeżego kąta.

— Wszak to pan Dymitr Palucki? — odezwał się wychylając i przypatrując.

— A to on — rzekł pan Samuel.

— Dalibóg on!....

— Dziadunio! on! on niezawodnie.

— Stój! stój!

Zajęty modlitwą nie rychło obejrzał się dziadunio na mijającą go furę, a poznawszy pana Samuela, zastanowiwszy się, nie wprzód rozpoczął rozmowę, aż modlitwę skończył. Dopiero różaniec do torbeczki borsuczej, która w nogach spoczywała, włożywszy, stary różaniec z wózka zeskoczył.

— Jak się macie — rzekł — i co tu porabiacie?

— A dziadunio tak dokąd? — spytał Rotmistrz.

— Ja! ot! jadę na odpust do Kustynia.... trzeba za stare grzechy pokutować — odpowiedział pan Dymitr. Koza ne chce na torh, a jeje wedut <sup>1)</sup>, tak i mnie do Bernardynów grzechy moje; boć to nie rozkosz odpust tłumny staremu. Potem chcę wstąpić, choć z drogi, do mojego towarzysza w kawalerji, Pacior-kowskiego, a potem.... Bóg to wie. Znamie moje przysłówie, choćby hirsze, aby insze <sup>2)</sup>. Ale was dokąd to chłop wiezie?

— A! — westchnął pan Samuel — nam istotnie inaczej i gorzej, bo nie wiemy dokąd jedziemy i po co.... Los gna w świat, gdzie kąta nie mamy!

— Cóż wam się stało? — żywo spytał pan Palucki!

— Ot! po prostu mówiąc — rzekł z uśmiechem pan Samuel — braciszek Kasztelanic wypowiedział nam dom swój, z namowy pocziwego Jaśka! Jedziemy więc wprost przed siebie.... bo mi już cudzy chleb dojadł!

— No! no! a gadajcież — zawołał dziadunio — co się stało, jak się to zrobiło? zmiłujcie się.... Oszałał Ka-

---

<sup>1)</sup> Nie chce się kozie, a na targ ją wiodą.

<sup>2)</sup> Choć by gorzej a inaczej.

sztelanie..., duruy aż sia krntyt!! <sup>1)</sup>), a to ślicznie mi się spisał!

— Tylko że to długoby o tem mówić — z westchnieniem odpowiedział pan Samuel — a tu się ciemni i nam noclegu szukać potrzeba, i dziaduniowi także.

— Ale poczekajcie, poczekajcie — zafrasowany przerwał staruszek — musimy pogadać, naradzić się, styjcie nie ryżte <sup>2)</sup>). nie spieszcieno się!

— Nie radbym, ale noc.

— No! czekajcież — siadając żwawo na swój wózek i zwracając go w miejscu, krzyknął pan Dymitr — kudy pańska łaja, tudy i suczka moja <sup>3)</sup>), pojedę i ja z Waszeciami.... minąłem ztąd karczemkę schłodną niedalako, bom myślał do znajomego proboszcza się dobić, ale dla was muszę zawrócić i będziemy sobie przez wieczór razem perebendiowali <sup>4)</sup>); ruszajcie za mną.

Nikt tak jak pan Samuel nie był rad temu spotkaniu z wesółym staruszką, bo też do pocziwej rady nie było nad niego, a w strapieniu dobrze i chwilę wesółą ntargować. W dobre pół godziny stanęli u wrót porządnej gospody traktowej, w której świecący ogień ciepły nocleg zapowiadał. Podróżni nasi wysiedli, znaleźli izbę wcale nie złą; fura i wózek stanęły wygodnie w sieni i dziadunio zajął się naprzód pozuszczeniem swoich tłumoczków, opatrzeniem konia i uporządkowaniem koło wózka. Próżno go namawiano, żeby się dał w tem chłopkowi wyręczyć; mruknął tylko — Nie spuszkajsia Hrycin na durnyciu <sup>5)</sup>), i póty nie odszedł, aż swojego dokończył.

Ražno potem wszedł zacierając ręce do stancji i odezwał się do pana Samuela, który podparty siedział w zamyśleniu.

---

<sup>1)</sup> Głupi aż się kręci.

<sup>2)</sup> Stójcie nie rznijcie.

<sup>3)</sup> Gdzie pańska zgraja, tam i suczka moja.

<sup>4)</sup> Baraszkowali.

<sup>5)</sup> Nie spuszczaź się Hryciu na darmochoy.



— Nim co będzie — tylko zysku, szczo w pysku <sup>1)</sup>; trzeba pomyśleć o jedzeniu, ja, co po drogach raz wraz się włóczę, a sam sobie rady dawać muszę, bo żydowskiego nie tknę.... umiem trochę warzyć..... Jak się wam zdaje, nie nastawić by krupniku na wieczere?.... Tu sobie ślicznie na kominku ułożymy, a ja się kucharzem obieram i gawędząc szumować będę.

— Byle chleba kawał — odparł pan Samuel — Rotmistrz się uśmiechnął....

— Syty hołodnoho ne znaje! <sup>2)</sup>, że Waści smutek nasycił — rzekł pan Dymitr — to nie racja; ale ja z Rotmistrzem jedlibyśmy przetrząsłszy się.

— Ależ tu nic nie dostać?

— Aby chłiti, można znajty muki na ruki <sup>3)</sup>, poszukajmy, wytrzęsiemy — zaśmiał się dziadunio — i w woreczku podróżnym nie bez tego żeby coś nie było....

To mówiąc wyszedł podśpiewując, kazał ognia podłóżyć i zakasawszy rękawy, podpiąwszy poły sam wypłukawszy garnek, zajął się krupnikiem, na który mięso było w wózku, krupy i słonina, a włoszczyzna u szynkarki.... Tymczasem napili się wódki i zakąsili wędzoną kiełbasą.

Dziadunio grubą kłodę leżącą pod piecem wytoczył sobie przed kominek, usiadł na niej, łyżkę wziął w rękę i odwrócił się do chmuurno i milcząco zadumanego pana Samuela.

— Boh znaje szczo robyt! <sup>4)</sup>, panie bracie: dajcie pokój temu pogrążeniu, to się na nic nie zdało... Czasom z kwasom, poroju z wodoju <sup>5)</sup>, różnie to bywa po świecie; trzeba wszystko znieść, albo to życie długie? No, powiedźcież mi co się u licha stało w Stru-

---

<sup>1)</sup> Tyle zysku, co w pysku.

<sup>2)</sup> Syty głodnego nie rozumie.

<sup>3)</sup> Byle chcieć, można znaleźć mąki na ręce.

<sup>4)</sup> Wie Bog co robi.

<sup>5)</sup> Czasem z kwasem, niekiedy z wodą.

mieniu? czy do reszty Kasztelanie skrutywsia? <sup>1)</sup>).

— Zaszły w istocie zmiany wielkie — przysnawając się począł Samuel — takie, których nikt nie dawno przypuścić nie mógł, a przyczyn ich nawet dotąd odgadnąć trudno. Zdaje się, że Jaś wszystko zrobił....

— Nema rodu bez wyrodu <sup>2)</sup> — szepnął stary — a to coś osobliwego ten waścin Jasiak, bo to z pozwoleniem.... mleko pod nosem, a już trzęsie, a jeszcze kim, Kasztelanicem, co się dotąd nikomu nie dawał!

— Tak to przecie jest — odparł Samuel — młody ale serce stare, a podłość niewidziana; potrafił się przypochlebić, podlizzać i robi co chce. Wystaw pan sobie, że panna Aniela i Terminiński oddaleni zostali.

Dziadunio w ręce plasnął:

— Nadijajw sia Did na obid, ta poszow spaty ne iwszy <sup>3)</sup> i poszli z kwitem? Chwała Bogu. Spotka to i Jasia; ale cóż miał do nich? boć to potrzeba było wielkiej rzeczy, żeby ich wypchnąć.

— Jak się to stało nikt nie wie — ciągnął Samuel — alem ja zaraz pomiarkował, że i nam tem bardziej nie długo popasać, kiedy faworyci idą z domn. Tak się i stało. Kasztelanie zawołał mnie do siebie, począł wymawiać, że ja na niego familję buntuję, że go w kn-ratele brać myślę i tym podobnie; wreszcie dom mi wypowiedział. Rozumie się, żeś sobie do dwóch mówić nie dał i piechoto ruszyłem gdzie oczy poniosą.

— Ale dokądże przecie? — zapytał dziadunio. — Ja myślę że nigdzie tylko do pana Piotra ruszycie zapewne?

— Ani do Piotra, ani do Pawła! — krzyknął porywając się Samuel — dosyć mam familji i dość dla pana Wincentego najadłem się kwasu i goryczy, myśląc że mu jaką przyszłość wymodłę.... Nie chce Bóg, wola Jego święta, a już cudzych kątów wycierać nie myślę... Jadę do miasteczka i tam siądziemy....

Dziadunio spojrzął po izbie, zakłopotany troche,

---

<sup>1)</sup> Zawarjował.

<sup>2)</sup> Niema rodu bez wyrodu.

<sup>3)</sup> Czekał dziad na obiad, poszedł spać nie jadłszy.

przysmał się z kłódką razem, którą jak piórko dźwignął, do pana Samuela i szepnął mu na ucho:

— Ot tak, szczerze, wypowiadaj mi się — a co Waś masz? Pry hotowej kołodi, dobre ohoń kłasty <sup>1)</sup>, łatwo z niewielkiego grosza wyżyć gdziekolwiek, ale samemu.... Powiedz mi otwarcie.

— Co mam? — rzekł pan Samuel — ośmset złotych moich, drugich tyle prawie Rotmistrz i wszystko!

— Półtora tysiąca! ha! wyżyć to można, aleś Waś stary, Rotmistrz ni do pracy ni do głodu, obaście dosyć przywykli do przysmaków, do wygódek, i nie umiecie się oszczędzać. Zresztą i wiek już Waścin, panie Samuelu, nie po temn. Radziłbym wam z tym groszem przytulić się gdzie do swoich, inaczej bude sim piatnic w odnu nedeliu <sup>2)</sup>, głód zajrzy często, a staremu borukać się z nim trudno. Potem darmo sobie mówić: — terpi tiło, majesz szczoś cho-tiło <sup>3)</sup>. Zła rada, i zła дума Waścina; nie potrzeba winić całej familji za grzech tego dziwaka; panu Piotrowi kąt dla was i chleb nie zacieży, a wam to oboje, kiedy je darmo dostaniecie, wiele zaszczędzi.... Jedźcie do pana Piotra.

— Nie! nie! — odparł pan Samuel stanowczo — mam dosyć cudzego chleba, wolę już głód; na to mnie nie namówicie.

I porwał się ze stołka poglądając zaczerwienionemi oczyma, to na dziadunia, który swój krupnik szumował i przysalał, to na syna, co fajkę nakładając, zdawał się z zupełną obojętnością słuchać tej całej rozprawy i posłusznie czekać co ojciec postanowi.

Rozmowa trwała dosyć długo, przed i po jedzeniu, które pan Dymitr sam urządziwszy, zastawił i śmaczno też zjadał. Pan Samuel ani go skosztował, ale syn za to przysiadł się szczelnie i dobrą miskę wypróżnił, pomimo strapienia. A że do gawędy nie był skory, i nie

<sup>1)</sup> Do gotowej kłody, dobrze ognia przykładac.

<sup>2)</sup> Siedem piątków w tygodniu.

<sup>3)</sup> Cierp ciało; masz coś chciało.

było co więcej robić, wyręczając dziadunia, poszedł do koni, przy których nawet nocować się ofiarował.

Starzy zostali sami; dziadunio usiadł znowu przy kominku, i usiłując rozerwać smutnego wygnańca, począł mu niemal całe swoje rozpowiadać życie. To jednak nie dość jeszcze żywo obchodziło strapionego starca, i dziadunio, w szczerej chęci rozbicia ciężkich dum jego, próbował z różnych beczek — ale się mu nie wiodło. Nareszcie wpadli na rozmowę o Kasztelanicu.

— Czy znasz-że Waśc dobrze życie jego i początek tej ogromnej dziś fortuny — zapytał dziadunio.

— Tyle wiem co i wszyscy — odparł pan Samuel — że był na dworze króla nieboszczyka, że potem gdzieś wędrował, że w karteczki grywał i nagle niewiedzieć jak przyszedł do majątności.

— No, to Waśc tak jakbyś nic nie wiedział! — zawołał z widoczną radością pan Dymitr.

— A któż wie więcej?

— Kto? ja...

— Zkądże, proszę?

— Et! nie pytaj Asindziej: spotkałem się z nim w życiu razy kilka, schodziłem się z ludźmi co go lepiej od nas znali, i wiem jego przeszłe życie, tak prawie jak swoje.....

— A! to musi być ciekawa historia! — przerwał stając Samuel — boć żeby się człowiek stał tem, czem on jest, nie przez lada koleje przejść musiał.

— Nikt też nas tu nie podsłucha, bo i Rotmistrz widzę póty nam towarzystwa dotrzymywał póki krupnik był w kominku — doty Lach mutyw, doki ne naiwsia <sup>1)</sup>; mogą więc ci powtórzyć co o nim wiem odezwał się dziadunio podniecając ogień. — Ale możebyś Asindziej zasnął?

— Gdzie miie tam sen w głowie! — odpowiedział stary — zwykle nie rano zasypiam, a co dziś to i do białego dnia pewnie mi się powieki nie zamkną.

---

<sup>1)</sup> Póty Lach szumiął, aż się najadł.

— A ja na to, jak na lato, byle gadać — śmiejąc się dodał dziadunio — choć to Brechniu świat perejdziesz, ale się nazad nie wernesz <sup>1)</sup>. No, ale lgać nie myślę. Słuchajże Asindziej. Mnsisz to już wiedzieć, że nasz pan Stanisław wychował się można powiedzieć na królewskim dworze, bo młodziesienko się tam dostał przez protekcję Wojewodziecovej Mściśławskiej. A był to dwór ciekawy, i miasto nie lada i społeczność osobliwsza. Dzieliliśmy się wówczas wistocie nie na te drobne stronnictwa, o których prawią ludzie i pisze historia, ale na dwie tylko wielkie i przeciwnie partje. Jedna część kraju, wierna tradycji dziadów, religii, obyczajowi i przeszłości, chwyciła je, rozpaczliwie broniąc i czując, że w nich było życie; druga, omamiona nowymi żywiołami, które przynosił wiatr z zachodu, szalała dziwnym bezrozumem zwierzęcym, za pomętą niby reformą wszystkiego, poczynając od wiary aż do obyczaju, który wprost z niej wypływał, choć dla ślepych nie bardzo to widoczne. I tak to zawsze bywa, że kto malpuje ten przesadza, co nie płynęło z nas samych a przychodziło nam od obcych, u nas się jeszcze wykrzywiało cndaczniej. Chciano przesadzić w reformach tych co je poczęli. Wszyscy starali się co najprędzej, ni mniej ni więcej, wywrócić, zupełnie to co było, wybierając się potem dopiero kiedyś pomyśleć, co na miejscu zburzonego postawić wypadnie. Nigdy ludzkość nie budowała tak ochoczo, jak naówczas wywracała i niszczyła; nie było nawet tego fermentu, przy budowie wieży Babel. Dobrze szalili koły przystupając <sup>2)</sup>; szalało też co żyło, a nie- szczęściem i król się wybrał, bo doskonale wiek swój przedstawiając, był jeśli nie słowem, to czynem i przykładem przewodzącą gubiącą nas reformy. Drwiono z wiary wszelakiej po francusku, filozofowano z niemiecka, z angielska przerabiano się na materialistów i ludzi praktycznych, a po włosku rozpustowano.... stare cnoty

---

<sup>1)</sup> Plotką świat przejdziesz, ale nie powrócisz.

<sup>2)</sup> Dobrze szaleć, gdy ochota bierze.

swojskie poszły w kąt i pochowały się po szlacheckich dworach pod stromane strzechy.

Durnomu i Boh prostyt! <sup>1)</sup> mówią, ale nie wiem, czy tym co szaleli owego czasu Bóg zechce przebaczyć, bo rozumu im nie brakło, ale statku. A filozofować kieliszkiem, umizgami i dowcipnym językiem, rzecz łatwa i wesola! Tandem, i szalono właśnie najzamaszyściej, gdy nasz Kasztelanic dostał się na dwór królewski. W korpusie paziów wygodne było stanowisko do wyuczenia się wszystkiego złego. Za krzesłem królewskim stojąc na dowcipnych czwartkach, na świetnych wieczorach, przysłuchiwali się biskupom co szydzili z zakonników, zapominając, że wady, z których się urągali, były powszechne ludzkie, a cnoty na które nie patrzyli, właściwemi instytucji powierzonej ich opiece. Za królem Jegomością jeździli paziowie do kochanic i faworyt pańskich, napatrywali się miłostek łatwych, zdrad codziennych, zaparcia wszelkiego uczucia i wstydu; uczyli się grać niepoczciwie zarobionem złotem, pić jak generałowie królewskiego dworu, a drwić pod pozorem przesądu jak drwili obcy i swoi ze wszystkiego, poczynawszy od ubioru krajowego aż do ludu i modlitwy.

Jakij monastyr taka miłostyna <sup>2)</sup>. Czegóż się tam mieli dobrego nauczyć? Za młodu więc skorpupka nawrzała wszystkim co z niej przez resztę życia cuchnąć miało. Ostatecznym wypadkiem całej owej, zbieranej po kątach zaśmieconych, filozofji ówczesnej było: sobie i dla siebie. I było to logicznem bo ta pseudo-filozofja stawiała przeciwko chrześcijaństwu, które mówiło ofiarą, poświęceniem dla bliźnich.

Jak dudy nastroit, tak dudy hrajut <sup>3)</sup>; nastroili więc Kasztelanica do swego tonu i gdy wyszedł z korpusu, już całe życie następne niósł z sobą w zarodku. Zasmakowało mu to, trzymał się więc Warsza-

---

<sup>1)</sup> Głupiemu i Bóg przebaczy.

<sup>2)</sup> Jaki klasztor taka jałmużna.

<sup>3)</sup> Jak dudy nastroisz, tak grają.



wy i towarzystwa, którego upodobania i sposób myślenia podzielał. Piękny, młody, nie głupi, z tytułikiem po ojcu, faworyt króla, który go lubił dla dowcipu nie nie oszczędzającego, u magnatów dobrze widziany, że w karty grywał ochoczo i śmiało, przez karty w stosunkach z niemi wiódł sobie byt do zazdrości, gdyby innego nie było! gdyby takie życie nie wiodło, do czego zawsze prowadzi zapomnienie o duszy.

We dnie spało się, wywczasowało po nocnych hulankach; przebudziwszy, ziewnąwszy, wyszarmantowawszy pieszczone ciało, ruszał fircyk pokazać ząbki w mieście, odwiedzić znajomych, błysnąć mundurem na królewskich pokojach, jeśli do nich miał przystęp. W tym przelocie łapało się czasem zaproszenia na objady, wieczorki, wieczerze i tańce, chwytalo ploteczki miejskie, kto kogo porzucił, kto do kogo przystał, kto się z kim u zielonego stolika przemówił, lub dla pięknych oczek rąbał i t. d.

Następował objad, często z pijatyką przedłużający się do nocy, lub ustępujący miejsca innemu zebraniu. Dopieroż nadchodząca noc, której my prostaczkowie używamy na spoczynek, ich budziła do szatańskich szatańskich. Rzekłbyś, że diabli piekło ze stolicy sobie zrobili, tak wrzała hałasem namiętności. Kasztelanie długi czas w żadne nie wdawał się miłostki, przebiegał od jednej do drugiej, do żadnej nie przywiązał stałej — karty go zajmowały najwięcej; czas trawił po domach gdzie najszałenniej grywano. A miał ten talent, że się nigdy ociąć nie dawał i zawsze prawie na końcu wstawał wygrany.

Z kobietami grzeczny ale chłodny, sądził i brał jak wszyscy naówczas — lekko ceniąc i widząc w nich zabawkę bez konsekwencji. Nie można powiedzieć, żeby Stanisławowskiego dworu kobiety nie dały powodu do takiego sądu: bo nigdy i nigdzie więcej nie było zgorzelenia, rozwodów ohydnych, związków bezwstydnie jawnych, zwierzęco chwilowych. Panie latały od jednego do drugiego, zameżne mieniały się kochankami, puszczały na rozpustę, przypominającą Messaliny i Julje. Było w tem

i winy mężczyzn, ale było i ich własnej. Przyszły też do takiego poniżenia, że je w ostatku ceniono tylko jak chwilowej rozrywki narzędzia.

Kasztelanie nie miał kochanki jak wszyscy, rozrywał się przypadkowemi umizgami i awanturkami miłosnemi, ale do nikogo sercem się nie przywiązał. Trwało to dosyć długo. Nareszcie licho mu nadało zobaczyć gdzieś z bliska ówczesnego teatru aktorkę, którą naówczas nazywano Księżną, może z powodu, że synowiec królewski pierwszy był w jej łaskach. Było to śliczne dziewczę, ale w czasach kiedy u góry zepsucie się rozszorowało jak gangrena, miarkuj Asindziej, co się umiało dziać w dole, gdzie działał przykład a wstyd nie wstrzymywał. Owa Księżna była to łotrzyca jakiej świat nie widział, bez czci i wiary, bez sumienia i wstydu. A spojrzawszy na nią, rzekłbyś, że tylko co wyszła z za kraty klasztornej, taką to niecziwą miała minkę. Pozór skromny, oczki w dół, ramieniec gdyby u dziecka na zawołanie, lzy co chwila na powiekach, byle potrzeba — świeżutka, młodziutka, caceczko, a hułtaj ostatni.

Naszemu Kasztelanicowi na biedę potrzeba było, żeby zobaczywszy ją zakochał się w niej jak szalony. Uczuł dla niej taką namiętność, że na czas porzuciwszy nawet karty, nie wstydząc się, nie oglądając na ludzi, latał za Księżną tą od rana do nocy. W całej Warszawie nie mówiono tylko o tem, bo był sławny ze swej obojętności, a popadł teraz w takie ręce, z których cało nie łatwo się było wydobyć. Jejmościanka na to jak na lato, podsycala ogień jeszcze; Kasztelanie, że miał do zwalczenia magnatów, co tam koło niej skakali, pułtsia jak żaba do husiaty.<sup>1)</sup> Co wygrał w karty, to poszło na Księżnę. A tak go zaraz umiała opłatać, że zupełnie głowę stracił, gdyby dzieciak. Na czas jakiś poodsadzał od niej i książąt i panów i dawniejszych jej ulubieńców, stracił się do grosza, zadłużył, naraził na drwiny, a gdy już myślał że sam panuje

---

<sup>1)</sup> Piął się jak żaba do gąsienicy.

w sercu i w domu, usłudźni przyjaciele dowiedli mu czarno na białem, że ze czterema przynajmniej z nich powinien się był pojedyńkować.

Kurowali go tak jak mogli z tej choroby, ale darmo. Pierwsza miłość, z pocziwem uczuciem dla czystej istoty, często ulegnie potem rzeczywistości, która rozwiewa ideały, ale taki szła wiedzie do niesłychanych namiętności wybuchów. Słowem tak się oplątał nasz Kasztelanic, że pomimo oczywistej zdrady, mimo sztyderstwa ludzi, nie wytrwał bez księżnej tygodnia. Dziewczyna знаła swoją siłę, i śmiała się z oszukiwanego a zakochanego do rozpuku, bo nie pojmowała innego przywiązania, nad to chwilowe którem frymarczyła. Namiętność pana Stanisława, co miała ostygnąć z czasem, to jeszcze drażniona wzrastała bez końca, tak, że gdyby była chciała byłby się z nią ożenił.... Ledwie nie ledwie przyjaciele go odwiedzili. Chcieli go też leczyć swoim sposobem, dowodząc że ne oden pes h r y w k o<sup>1)</sup>), wyszukując nowych amorów, ale Kasztelanic powracał cichaczem do swojej Leokadji.

Te miłości przeciągnęły się przez cały czas pobytu jego w Warszawie, a księżna taką miała nad nim władzę, powiadają, że byłby dla niej w ogień skoczył. Dość powiedzieć, że dla tej łotrzyicy miał siedm pojedyńków i kilkakroć sto tysięcy wygranych na nią stracił. Musiał grać, boby nie miał czem dogodzić nieustannym jej dziwactwom. Bywało pod dobry humor garściami dukaty wyrzucała na ulicę, bawiąc się i śmiejąc, że się o nie bili ulicznicy i żebractwo. Kasztelanic tyle tylko przy kartach siedział, ile musiał, a co mu czasu zbyło, u Leokadji ciągle. Chodził za nią do teatru, woził się z nią po spacerach, szpiegował ją, klócił się co dzień, i było czego, a w końcu zawsze, jak mu zaczęła płakać, narzekać, krzyczeć, odegrywać komedje, grozić że go porzuci, tak w oczach go zdradzając, zawsze kończyła na tem że u nóg jej leżąc przepraszał.

---

<sup>1)</sup> Nie jeden pies Gryfko.

Passja szalona Kasztelanica dla tego drapichrusta uczyniła go w końcu śmiesznym i dobrze mu kieszeni naddała, a co zdrowia i spokojuości kosztowała go księżna, to Bóg wie jeden. W tem zamieszało się w kraju i stolicy, wybuchły wypadki niespodziane dla tych, co w swoim się kółku tylko rozglądali! mnóstwo osób poczęło uciekać. Nasz Kasztelanic trzymał się jeszcze i byłby może dopytał biedy, gdyby jego ulubienica z jakimś zagranicznym dyplomata nie drapnęła w czulej parze. Nie długo myśląc, pan Stanisław, sprzedawszy co miał na prędcę, zebrawszy trochę grosza, pogonił za nią w świat choć dobrze nie wiedział gdzie jej szukać. Puścił się tak na azard.

Z rozpaczcy nie mogąc nietylko wyszukać, ale nawet dowiedzieć się o pannie Leokadi, która jak w wodę wpadła, Kasztelanic rzucił się znowu do gry szalonej. Grał ciągle, ogromnie, i tak ze stolicy do stolicy, od wód do wód przejeżdżał, bohaterując na zielonych stolikach, pod imieniem kawalera de Wola... Tak się bowiem nazwał od wioski którą Zawilscy mieli dawniej w Poznańskiem. Że był bardzo nkładny, prezencji pięknej, przytomny, dworak, poszło mu jak z płatka, i gdy my tu po nim płakali, myśląc że propaw jak pes w jarmarok<sup>1)</sup>, on tam coraz świetniejszej dobijał się karjery. Przewędrował tak za swoją Dulcyneą całą Europę, w najpierwszych grywając towarzystwach, sypiąc tysiącami dukatów i tysiącami ich zgarniając. Była to chwila w Europie, w której dobrze się działo politurowanym awanturnikom, jak Cagliostro, St. Germain, i tylu innych; przyjmowano cudzoziemców nie dopytując kto byli, a jeżeli pokazywali się honeste, sypali złotem i mieli maniere wielkiego świata, zapraszano ich na królewskie dwory. Tak się też powiodło naszemu kawalerowi de Wola, który na złość swemu strapienin, pocieszać się musiał wygraną, a Bóg wie czego nie wygrywał. Bywały wypadki, że krom pieniędzy, konie, powozy, brylanty, precjozy, domy i po-

---

<sup>1)</sup> Przepadł jak pies na jarmarku.

siadłości stawiali mu na kartę młodzi panicze i przegrywali. To też i w miarę jak się kieszeń łądowała, wszystko co otaczało Kasztelanica, przybierało odpowiednią jego bogactwu powierzchowność. Miał dwór, sługi, powozy, liberję, a w miastach w których bawił, dom otwarty na wielką stopę. Przyjaciół było rojem.

Nie wiem którego tam roku tej wędrówki, Leokadja się zjawila — znać dowąchała się, że Kasztelanica pobogaciał, i bezwstydnie powróciła do niego, a on z najzimniejszą krwią ją przyjął. Potrafiła mu się tak wytłómaczyć, tak uniewinnić, że omal nad jej dolą nie płakał. Ale we dwa miesiące zabrawszy mu co kosztowniejsze brylanty i grosz, który pochwycić mogła, uciekla z jego służącym, młodym chłopakiem, francuzem — Kasztelanica uczuł to mocno, chorował nawet niebezpiecznie, ale wyszedłszy z gniewu i słabości, życie dalej wiódł po swójemu.

Wiele mospanie tajemnic jest na świecie, ba! k o l i b to ślipyż oczy maw! <sup>1)</sup> wiele by się rzeczy zrozumiało, których po naszemu ani sposobu. Ot i w tem życiu Kasztelanica, jest ciekawa historia jednej twarzy tej szalonej Leokadji. Wasindziej nieraz musiałeś uważać, że twarze ludzkie są jak magnesy; niektóre pociągają ku sobie, inne odpychają... są i takie których siłę niepojętej oprzeć się niepodobna.

Często uśmiech człowieka spotkanego przypadkowo, chwilowie, tkwi nam w oczach życie całe; często tęsknimy jak za przyjacielem, za kimś co raz mignął przed nami.... Bywa że jedno wejrzenie wzrusza, rodzi namiętność i stwarza nieprzewyciężony pociąg. Taką musiała być dla Kasztelanica ta przeklęta Leokadja; bo w Niemczech słyszę, zakochał się był w jakiejś córce szewca, dlatego tylko że kubek w kubek do tamtej była podobna. Niemka uboga, skromna, ale śliczna, już miała wyjść za naszego kawalera, bo ją do tego cała rodzina zmuszała, widząc jak los sobie i im zrobi, gdy się pokazało że tam jakiś czeladnik pana majstra,

---

<sup>1)</sup> Ba! żeby to ślepy miał oczy.

już był wybranym przez nią, nim cudzoziemiec przypłynął. Ta zdrada, gdyż doskonale przed nim tajono miłości, których miał się stać pokrywką, napełniła goryczą serce Kasztelanica. Odwiedli go jakoś od niemki, pojechał dalej.

Odtąd może to co widział na dworze Króla, i to czego doświadczył, napełniło go niewiarą we wszelkie uczucie; wyrzekł się miłości dla miłostek łatwych i począł żyć tylko by używać. Karty były jedyną jego zabawą, zajęciem, celem i sposobem utrzymania; reszta godzin zbywających liczyła się wszelkimi przyjemnościami, które za pieniądze uabyć można. Chleb ubierają, kto jego ma<sup>1)</sup>. Ale takie życie musiałoby wyrodzić przesycenie, zubożenie na wszystko i szyderstwo ze wszystkiego; najpodlejszą stronę ludzkości, skazany był ciągle oglądać Kasztelanica. Gdzież bowiem człowiek ze wszystkimi swymi wadami, z całą swoją słabością dobitniej się maluje, jak przy kartach, przy grze, która wywleka z niego co gdzie czarnego i smrodliwego? Co godzina też bogacąc się Kasztelanica, stawał straszniejszym sceptykiem i wkrótce świat cały zaszedł mu tą barwą brudną, która zaciągnęła jego oczy. Z zupełną obojętnością przejeżdżał z miejsca na miejsce, bo go żadne nie przywιάzywało; żegnał się z ludźmi bez żalu, witał bez pociechy, a w każdej stronie, w każdym człowieku szukał tylko swojej przyjemności i korzyści.

Wlokło to się dosyć długo, tak, że gdy do kraju powrócił, już pierwszą młodość styrawszy maruie, z namiętnościami nabytymi i pozyskanymi skarbami, ani go widok swoich poruszył, ani uczucia dobył z zastygłego serca. Na ziemi własnej ciągnął dalej poczęte gdzie indziej życie. Czasy były po temu; grano szalenie wszędzie i gry publiczne nie zostały jeszcze zakazane, a że u nas smakuje wszystko co za granicą słychać, Kasztelanica w wielką wszedł modę. Jego wczesna starość duszy i serca wabiła młodzież co go rada była naślado-

---

<sup>1)</sup> Chleb ubierają, kto go ma.



dować, a do tyła co on czucia i wstydu pozbyć się nie umiała. Kobiety także przyciągał ku sobie zimny egoista, którego rozpłomienić było zwycięstwem; ale o twardą pierś rozbiły się najpłomienistsze wejścia.

Już naówczas krewniaczek nasz, młodszy tylko nieco, był moralnie tem, czem go dzisiaj widzimy, i wyrobił w sobie chłód ten, dworszczyzną pokrywając sztyderstwo, obojętnością znużenie co go trawiło. Widziałeś go Asindziej, panie Samnelu w przejeździe do Kijowa, możesz coś powiedzieć.

— Widziałem ci go, i mogę poświadczyć — odpowiedział zadumany starzec — że się od tej pory nie a nie nie odmienił, przynajmniej na dobre.

— Czyja dusza chesnyku ne ła, ne bude smerdyla <sup>1)</sup> — przerwał żywo dziadunio — musiał się na takiego przerobić, wiedząc życie po temu; cudemby było inaczej. Ale Waść-że wiesz, że jeszcze mu się raz w owym Kijowie odezwała ta Leokadja przekłeta, choć miał naówczas jakąś włoszkę, którą z sobą woził.

— Włoszkę widziałem; wcale była nie szpetna....

— Nie długo się nią pocieszył — mówił dalej pan Dymitr — miał takie szczęście, że go każda zdradzić musiała. Śpiewaczkę mu zaraz w tydzień odmówił jakiś cudzoziemiec, który bardzo piękny głos lubił, gdy z pięknych ust wychodził.... Kasztelanie słyszę pokiwiał tylko głową i rozśmiał się; pojedynku nie było. Ale wystaw sobie Asindziej, co to jak się człowieka jaka bieda uczepli. Bida bidu rodyt, a bidu czort <sup>2)</sup>. Jedną tylko stronę miał słabą Kasztelanie: byle mu gdzie mignęła. twarzyczka do owej Leokadji podobna, głowę tracił. W Kijowie, zaraz po ucieczce owej śpiewaczki, która go jak zazwyczaj pod jakimś pretekstem obrala z klejnocików uchodząc — zobaczył znowu coś przypominającego swoją pierwszą miłość. Była to, mówią, kubek w kubek owa Księżna, gdyby

---

<sup>1)</sup> Czyja dusza czostku nie jadła, śmierdzieć nie będzie.

<sup>2)</sup> Bieda redzi biedę, a ją szatan!

rodzona siostra, tylko młodsza; ale na ten raz.... cyganka. Cyganie owi całą bandą przywędrowali na kontrakty popisywać się z tańcami, śpiewem i frymarczyć kilką ładnymi twarzyczkami.

Była to widoczna ręka Boga w tych nieszczesnych namiętnościach, które skazywały człowieka bez uczucia, na upodlenie i męczarnie. Niech sobie kto co chce mówi — dodał z głębokiem przekonaniem dziadunio — ja długo patrząc na świat widzę na nim, nie czekając późniejszego wymiaru sprawiedliwości, tak wszystko wyważone i wyrachowane, że każdy ma na co zasłużyć. Jak ty robysz tak i chodysz <sup>1)</sup>. Dosyć uważnie popatrzeć, żeby się o tem przekonać. W każdym uczynku już jest nasienie nagrody lub kary; w splocie niepojętym społeczności, w zetknięciach tej ogromnej maszyny towarzyskiej, każde kółko cierpi co powinno i zadaje cierpienia, na które drudzy zasłużyli. Każdy z nas jest własnym katem i dobroczyńcą, bo Bóg tak obrachował, że nic nie idzie darmo, nic nie minie płazem.... Kasztelanie tedy zaplatał się znowu i nuż szaleć za cyganką.... Już ją chciał kupić u rodziców, którzy za nią nie więcej szczęściem chcieli, jak pięć tysięcy dukatów, gdy się nawinął jakiś kniaź i z przed nosa mu ją dmuchnął.... Napróżno biegał stary nasz dworak: ani przystępu, ani sposobu, w dodatku tamten ją nwiózł gdzieś w niedopytane strony. Jakkolwiek nie młody, zużyty i obojętny, Kasztelanie odechorował to trzecie spotkanie z niebezpieczną dla siebie twarzą. Miał słysze gorączkę, w której bredząc bluźnił, aż włosy stawały na głowie. Zaledwie powstawszy z łóżka, począł gdyby odrodzony i odrętwiały, grać znowu jak przedtem. Znajomi tylko uważali, że zapaleczywiej jeszcze się puszczał, a ilekroć nsta otworzył, bolesne z nich leciały szyderstwa.

Jednego wieczora gra była u Generała W..... sławnego bogacza i rozrzutnika, który już ze sześć fortun przez okno wyrzucił, przeszastał miljony, i nie mógł

---

<sup>1)</sup> Jak pracujesz, tak chodzisz.

swego szczęścia wyczerpać. Za ledwie jeden spadek zjadł i wypił a zmarnował, drugi mu w samą porę po jakiej ciotce lub wuju przychodził i Generał znów hulał, znów tracił. Był to człowiek prawdziwie fenomenalny, bo na jego czole nigdy troska, nigdy zmarszczek nie powstała. Tak wierzył w swój los, że się nigdy nie zafrasował niczem jak drudzy, i śmiał się z tego co innych przeraża. Ta ufność dziwnie też wypadkami całego życia się usprawiedliwiała. Nie było rodzaju niebezpieczeństwa, na któreby się dobrowolnie nie naraził, z któregooby obronną ręką nie wyszedł. Szlachetnego charakteru, dobroczynny do zupełnego zapomnienia o sobie, słuchający zawsze pierwszego swego wrażenia, bez oglądania się na jego skutki, Generał W..... był typem narodowym w swoim rodzaju. Miał wady wszystkie złego wychowania i rozpieszczenia, ale przy nich coś rycerskiego, dobrodusznego, dziecinna i zuchwałość szczęśliwych. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że nawet ubóstwa, do którego najmniej przywykł, wcale się nie zdawał obawiać, i na nie pracował, choć go się dorobić nie mógł. Kasztelaniec, zaproszony na wieczór do Generała W..... poszedł z innymi, z tym kwaśnym humorem, z tem usposobieniem szyderskiem, które od niejakiemu czasu go nieopuszczało. Gości było mnóstwo, zasiedli do stolików.

Ale jak to niesie przysłowie, i neboja wouki idiat <sup>1)</sup>, niezwyciężonego naszego gracza, który zasiadł do gry z postanowieniem nauczania rozumu otaczających, zaczęto zaraz w początku niepomału skubać. Zdawało mu się, że to przejść powinno, nie zbywało na zimnej krwi, więc czekając lepszej szansy, powoli nie następował i ciągnął grę dalej. Ale coraz to mu szło gorzej. Generał W..... dla którego to było rzeczą niewyznaczoną, wygrywał a wygrywał, Kasztelaniec płacił a płacił. Zachmurzyło mu się czoło, kilkakrotnie zapragnął stawkę powiększyć, by zarazem stratę odzyskać się wstrzymywał. Dano wieczór; pan Stanisław kilka

<sup>1)</sup> I niebojącego się jedzą wilcy.

tysięcy dukatów przegrawszy, wstał z innemi; zaczęto z niego żartować — milczał. Po godzinie spoczynku przy butelkach, podochoceci znówu rozpoczęli grę; Kasztelanie, którego trunek może rozmarzył i szyderstwa rozdrażniły, przeciwko prawidłom i swojemu zwyczajowi, zaraz w początku stawkę powiększył..... szczęście mu nie dopisało..... Oklask powszechny i śmiechy towarzyszyły zwycięskiej karcie Generała..... Kasztelanie coraz bardziej się przegraną rozżarzał. Wzrok jego się zapalał, usta ścisnęły, ręce drżeć zaczynały od tego ognia, który wyradza walka z losem rozpaczliwa. Przy nim siedział jedyny gracz spokojny, cichy, milczący, który w ciągu wieczora ani razu się nie uśmiechnął z jego niepowodzenia. Był to starszek żółty jak cytryna, suchy, małeńki, zapięty pod szyję czarnym frakiem, na którym błyszczały jakieś zagraniczne orderzy; sknuczony, wlepiony w swoje i sąsiedzkie karty, zaledwie okazywał wejrzeniem, że gra ta jakiegokolwiek wrażenie na nim robiła. Od czasu jednak jak Kasztelanie przegrywać zaczął, przywiązał się szczególnie do kart i z oka ich nie spuszczał. Kilka razy, nim stawka przegrała, okazywał jakby przeczucie losu, który ją spotka i z lekka zasyczał.

Pan Stanisław podwajał stawki, szalał i stawiał ostatki. Generał W..... wygrał był już przeszło pół miliona, spowaźniał bardzo i choć go męczył ten zapalczywy bój, dotrzymał placu. Wszyscy rzucili poniterki, wlepiając oczy w kupę złota na stole leżącą, która rosła ogromnie; dwaj zapaśnicy zostali przeciw sobie ostatni jedni. Starszek ów, stawiając po dukacie, a łamiący do piętnastu i trzydziestu, powoli sobie nieprzerywając, kupkę wygranych dukatów gromadził, zdając się grać na pewno, tak niechybnie każda jego stawka wygrywała. Kilka razy obejrzał się na niego Kasztelanie, mimowolnie dostrzegł jak los co mu był przeciwny sprzyjał nieznanemu staruszkowi i gniew go już na sąsiada porywał.

Generał najogromniejsze stawki wytrzymywał z bohaterką stałością i obojętnością największą; otaczający

go w głos mu radzili, żeby i zabastował i zatrzymał co mu los na znanym graczu dał zysku; ale rady te obijały się o jego uszy niedochodząc przekonania.

W przeciągu kilku godzin, wszystko co gotowemi pieniędzmi miał w domu Kasztelanic, całą swą przyszość przegrał i odsunął Generałowi W....; począł stawiać brylanty, pierścienie, powozy, konie i wszelkie kosztowności, których miał niezmierne mnóstwo. Generał, nie patrząc nawet w jakiej cenie były stawiane, przyjmował, choć przyjaciele sykali i wkrótce kupa dukatów, pokryła się świecidełkami, co drugie tyle warte być mogły. Szczęśliwomn szczęście <sup>1)</sup> szło mu i szło.... Kasztelanic rozpaczliwie szalał, coraz pijańszy przegraną, postanowiwszy, jeśli się nie zmieni szansa, w łeb sobie strzelić wychodząc; w tem gdy już ostatnie tysiąc dukatów miał stawić, starszek nieznacznie łokciem go trącił.

Odwrócił się przegrywający kwaśno, szukając tylko powodu do kłótni; ale gdy już ją miał rozpocząć, usłyszał kilka słów złą francuzechyzną:

— Daj mi pan słowo honorn, że odtąd grać nie będziesz?

— A to panu na co? — odparł gorzko Kasztelanic.

— Dam panu sposób odegrania się, jeśli mi dasz słowo....

Przegrany ruszył ramionami niedowierzając.... Do czego to wszystko — odparł — pan wiesz ile przegrałem?

— Liczyłem i wiem..... Staw pan tysiąc dukatów na.... ale daj mi wprzód słowo.

— Słowo tedy! nie będę grał chyba z sobą — śmiejąc się rzekł Kasztelanic. — Na jaką kartę mam stawić?

— Tysiąc dukatów na dwójkę i lam się pan *au même*, do ostatka... śmiało, a o słowie pamiętaj! — dodał nieznacznie grożąc starszek.

---

<sup>1)</sup> Szczęśliwemu szczęście.

Kasztelanie chwycił się rady jak touący brzytwy postawił ostatek na dwójkę; wygrała... Obejrzał się, starszka już nie było; pospieszył, obawiając się żeby Generał nie bastował, załomac parol. Przeszedł..... W kilku kartach szczęśliwy gracz, oprzytomiawszy, i nabrawszy otuchy, odzyskał część swej fortuny.

Generał co by miał poprzestać na zyskanem, zapalił się z kolei i trzymał dalej. Kasztelanie karta po karcie wygrywał, odebrał wszystko swoje, dziesięć tysięcy dukatów chwycił u gospodarza, i dzień biały świtał, gdy rzuciwszy o podłogę poniterki, głośno wyrzekł: — Słowo honoru, że odtąd grać nie będzie.

Wstając z krzesła ledwie się mógł utrzymać na nogach, tak go ta uoc jedna złamała i zbiła; obrócił się szukając doradcy swego by mu podziękować; usiłował o niego dopytać gości, ale nikt począwszy od gospodarza nie wiedział kto to był. Adjutant Feldmarszałka S.... który chwilę tylko bawił w początku wieczora, wprowadził go z sobą, ale Generał W.... w tłumie nie zapamiętał nazwiska jakie mu powiedział. Starzec nieznamy był zupełnie, a ten co go rekomendował, wprost od wieczery wyjechał na Kaukaz. Nie było sposobu dopytać o starszka, któren i w mieście był obcym.

Różnie się domyślano; niektórzy mówili że to był starszy jakiejs loży masońskiej, inni że dyplomata zagraniczny, inni że bogaty anglik podróżujący, ale mu nawet podziękować nie mógł Kasztelanie, bo go więcej nie zobaczył.

Dziwna rzecz, że odtąd słowa danego dotrzymał, przerażony zapewne przyszłością jaką mu co chwila grozić mogła przegrana, może odkrytą w sobie namiętnością, która z równą siłą rozdrażniona wybuchnąć mogła drugi raz i pozbawić tych bogactw, na których opierał rachuby swego egoizmu; więcej nie dotknął karty.

Na tych samych kontraktach, wystawione były na sprzedaż dobra Strumień, Kasztelanie kupił je za bezcen, i na wsi osiadł. Resztę wiecie lepiej może ode-



mnie— dodał Dymitr wstając z kłódki— Ryba w wodzie, ta isty hodi <sup>1)</sup>, nie ma co mówić więcej.

— Ależ bo i tego dosyć, — przerwał z uwagą słuchający Samuel — dosyć żeby się człowieka nauczyć. Co za życie! Nikogo nie kochał nigdy, nikt się do niego nie przywiązał. Jedyna namiętność, którą o trochę serca posadzić można, okazuje się w nim być prostym zwierzęcym szaleństwem. A jaka ostrożność w całym życiu i oględność na jutro! Rzucił nawet karty, gdy się przekonał że nad sobą nie panuje mając je w ręku. Jest to nosobiony egoizm, mości panie.

— Tak! tak! — rozpościerając swoją burkę na ziemi, zawołał Dziadunio — i jemu nie ma co wdychać z nami kołyb toj rozum na na peredi, szczo potom na zadi najdetsia <sup>2)</sup>, dobrze sobie po ludzku życie obrachował; nikogo nie kochać, żeby po nikim nie płakać, nikomu nie dać, żeby trzymać przy sobie nadzieję, w nikogo nie wierzyć, żeby się nie zawieść. Szkoda że takie rachuby najczęściej ślepy traf zawodzi! Zobaczmy co dalej będzie! a tymczasem spać! Gadka za morem, śmierć za plecyma <sup>3)</sup>. Kury pieją mnsi być coś około północy, choć nie pyszno, ale zatyszno? <sup>4)</sup> Dobranoc właści, panie Samuele.

Pan Samuel wdychając się położył i nie wiem czy zasnął. Dziadunio, pomodliwszy się krótko a gorąco bo dłuższe swoje tercjarskie pacierze w drodze był odmówił, legł, obwinał się burką i smaczno zachrapał.

O świcie już godzinki śpiewać po cichu zaczął, ale nie chcąc pobudzić sąsiada, poszedł z niemi przed karczmę, przerwał seu Rotmistrzowi i chodząc od konia do izby, karmiąc swego przyjaciela i przygotowując śniadanie, wymodlił się dobrze. Było tam i godziniek dwoje, boć do N. Panny jedno, a do Opatrzności drugie, i litanii kilka od Loretanśkiej poczynawszy, i koro-

---

<sup>1)</sup> Ryba w wodzie, dosyć jeść.

<sup>2)</sup> Gdyby ten rozum z przodu, co się znajdzie z tyłu.

<sup>3)</sup> Gadka za morzem, a śmierć za plecami.

<sup>4)</sup> Choć nie pyszno, to zaciszno.

nek dosyć; a wszystko to nie nsty tylko, nie z nalogu pobożnego odmawiał stary, ale z przejęciem, z namaszczeniem i myślą wzniesioną do Boga. A wybierał same dawne modlitwy, którym w oczach jego przydawały ceny wspomnienia, że temiż samemi słowy wołali do Boga w utrapieniach i dziękczynieniu ojcowie umarli.

Nareszcie obudził się i pan Samuel, i wyszedł z izby, smutny, skurczony, zestarzały, a rozweselona twarz Dziadunia, który od Boga wracał zawsze z jaśniejszym obliczem, spotkała go na progu.

— Co Waszeć taki smutny a smutny — zaśmiał się stary — odpędź Waszeć frasunek, nechaj jako czort na hłybokn nese, nad syrotoju, Boh z kalitoju! <sup>1)</sup>). Ot, pomyślimy o śniadaniu. Rotmistrz już diable ziewa, i musi chcieć jeść, kazałem piwa zagrzeać. Choć to może będzie, ne tylko pijwa, kilko dziwa <sup>2)</sup>), ale zawsze ogrzejemy się trochę. A jakby się nam kto zaswatał do naszego śniadania, to powiemy mu także ruskim przysłowiem: ne bywszy kuma, ne pytaj pywa <sup>3)</sup>), jest go ile ściśle potrzeba dla nas. Ale, jakżeś Waszeć przez noc postanowił, dokąd jedziesz? — dodał wchodząc do izby i wzywając za sobą gospodynię z garnszkiem i szklankami.

— A! do miasteczka!

— No! to pozwólże sobie powiedzieć — szparko dorzucił stary — że to npór nie do rzeczy. Masz Waść rozum, a dobrowolnie wołasz utrapienia! Waści potrzeba wsi; spokoju, a dla pana Rotmistrza zajęcia; próżnowanie nie do rzeczy. Aby chotity, można najty muki na ruki <sup>4)</sup>). U pana Piotra i cichy kąt i pracę dla syna Wasindziej znajdziesz.... ot moja rada! i dalipan dobra! trzeba słuchać.... Zresztą Liudej sia rad, a swój rozum maj <sup>5)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Niech go лихо niesie na głębiny, nad sierotą Bóg z miészkiem.

<sup>2)</sup> Nie tyle piwa, co dziwa.

<sup>3)</sup> Kiedyś nie kuma, nie domawiaj się o piwo.

<sup>4)</sup> Aby chcieć znajdzie się mąka na ręce.

<sup>5)</sup> Ludzi się radź, a swój rozum miej.

Chwile jeszcze pogawędziwszy, i widząc że nie przekona zamyślonego pana Samuela, który zbyt ciężko był w serce zraniony, żeby rychło ku swoim znowu się zwrócił, Dziadunio poszedł sobie konia zaprządź, mrużąc coś jeszcze pod nosem, a Samuel poszedł także po furę.

Jakkokolwiek przybity swoim wygnaniem, a bardziej jeszcze utratą nadziei dla Rotmistrza, starzec wesółemi przypowieściami i pełną otuchy rozmową Dziadunia uczuł się nieco pokrzepionym. Ze wszystkich wyrazów pobożnego włóczęgi biła wiara głęboka w Opatrzność, i jakiś spokój, który w starości, gdy świat opuści człowieka, jedno tylko spojrzenie w niebo dać może....

Rozjechali się ścisnąwszy dłonie w milczeniu. Dziadunio siadł na swój wózek i dobywszy różańca posunął dalej w drogę, z uśmiechem smutnym spojrzawszy na Samuela i Rotmistrza, którzy swój wóz ku miasteczku skierowali.

---

#### IV.

Pan Antoni Zawilski (ojciec Pawła i Hieronima) siedział sam na sam w izdebce znajomego nam dworku, a nie mając nic do czynienia, bo jejmości nie było i spór wiekuisty, co ich życie stanowił, przerwać się musiał, turbował się o swoją Kasię, która z powrotem się opóźniała. Już nawet w niepokoju coraz wzrastającym wynajdywał powody do nowej kłótni, którą obiecywał sobie rozpocząć, byleby jejmość ukazała się na progu i układał program zawczasie.

— To kobieta — mówił do siebie — która się uparła, żeby mnie zawsze do niecierpliwości doprowadzać, nawet kiedy jej niema, to się na nią gniewać muszę. Poszła na godzinę, bawi dwie! Uchowaj Boże choroba! przypadek! To oszaleć potrzeba! O! powiem jej! po-

wiem, byleby powróciła! szczerą prawdę! jak się należy! niech sobie nie drwi ze mnie! O! tak! o! tak.

I już miał począć wymówki, usłyszawszy otwierające się drzwi, gdy w progu ukazał się niespodzianie Żmura, zięć pana Antoniego. Starzec rad mu był niezmiernie, bo go kochał bardzo, i brakło mu towarzysztwa, a gadać lubił; Żmura zaś chętnie przyjmował jego rady gospodarskie, co też nie mało pozyskiwało mu serce teścia. Niezwyczajny jednak wyraz pomieszczenia jakiegoś, niespokojności na twarzy przybyłego, zaraz uderzył pana Antoniego.

— Jak się masz! jak się masz kochanku.... ale cóż ci u licha jest! — dodał czmychając — czegoś masz minę pomieszaną... co ci to?

— Ale nic, ojcze kochany — odparł dawny wojskowy — to tak z drogi, ze zmęczenia może.

— Ba! ba! ja w twarzy czytam jak w drukowanej książce, coś jest! Czyś się czasem nie dowiedział czego złego, uchowaj Boże, może co o Pawle... o Hieronimie, albo o mojej babie... albo u ciebie czy się co nie stało? gadaj bo! gadaj!

Przyciśnięty, Żmura się zmięszał, ale wypierać począł.

— Ale proszę wierzyć — rzekł — że mi nic nie jest....

— A no! jak nic, to nic! Możesz chory — zawołał pan Antoni — każe ci zrobić rumianku. Już to doświadczyłem, że niema jak pocciwy nasz rumianek, na odpędzenie wszelkiej choroby; bo niech sobie co chcą gadają, każde choróbsko pochodzi z żołądka — to gospodarz — a rumianek tam poreguluje.

Żmura niecierpliwie głowę rzucił.

— Jam zdrów, kochany ojcze...

— No! to może ci herbaty! albo kieliszek wina, z drogi...

— A! wina tobym prosił — rzekł zięć — na to zgoda.

Zawołał służącej stary, przeklinając ciągle i burcząc na żonę, która nie nadchodziła; podano butelkę

nadpoczętą, ale starannie zakorkowaną, i teść przysiadł się do zięcia, w nadziei że się nagada.

Ale Żmura był, choć zwykle gadatliwy i gorączka, jakby go kto przybił, zamyślony, ponury i wzdychający.

— Coś bo waści jest — odezwał się tupiąc nogą starzec — nie w swoim jesteś sztosie... nie kłam mi darmo i lepiej się wypowiadaj.

Napróżno chciał się jeszcze zapierać Żmura, czuł bowiem sam, że mu się to nie uda, a natura jego nie dozwalała mu nic utaić w sobie. Był jak przeźroczysta woda, w której na dnie widać najnniejszy kamyczek, rzucony ręką swawolnego chłopięcia.

— Ot, powiem — odszpuntowując się nareszcie zawołał gorąco — póki mamy niema, że mi się dziś dziwna rzecz trafiła!

— Także mi i gadaj — przysuwając się chciwie rzekł starzec — cóż ci się trafiło? W istocie jejmości niema, ale jak powróci dobrze jej nszy naciągnę.

— Spotkałem pod miastem warjatkę.... — rzekł Żmura.

— Warjatkę! — wytrzeszczając oczy, spytał pan Antoni — alboż to co dziwnego?

— Tak.... ale to była kobieta, którą znałem w innym stanie, w najświetniejszym losie, młodą, piękną, wesołą...

— Co chcesz — odparł wzdychając pan Antoni — dziwnie się plecie, na Bożym świecie...

— O! prawda że dziwnie — podchwycił Żmura z wyrazem smutku — biedna kobieta! biedna kobieta.

— Ale któż to taki? — spytał teść smakując wino powoli i nie wiele się zajmując losem nieszczęśliwej, nad którą tak ubolewał zięć jego.

— Jestto niejaka pani Tryze...

— A! czy nie ta co tu w miasteczku mieszkała? — pochwycił żywiej nieco stary, podnosząc głowę.

— Taż sama; ale to moja dawna znajomość — rzekł zięć — jeszcze był w wojsku kiedy się z nią ożenił magnat tego nazwiska... chociaż inni mówili, że to ożenienie było jakieś potajemne, a drudzy mu całkiem

zaprzeczali. Był to dobrze już stary człowiek, a ona młoda i prześliczna!

— Ba! ba! widziałem ci ją, ale — czmychnął pan Antoni — coś nie osobiłwie o niej mówiono.

— A! bo też całe życie z dziwną nieopatrnością, dawała powody do obmowy i posądzeń, swoją śmiałością, obchodzeniem się prawie zalotnem, niekiedy płochem uawet. Ale to wszystko było tylko pozorem podobno; bo ta kobieta miała w sercu wielkie przywiązanie, któremu poświęciła całe życie swoje.

— Coś ja tego całego romansu nie rozumiem dobrze — rzekł stary obojętnie — mów bo Asińdziej wyraźniej, jak to było.

— Kiedym jeszcze był w wojsku — ciągnął dalej Żmura — słyszeliśmy wiele o całym tym wypadku. Pani Tryze była bardzo dobrze i starannie wychowaną, córką jedyną doktora, który ją młodo odumarił. Została na opiece wateľ jakichś krewnych, którzy ją z litości do domu przyjęli; pokochała się słyse w jakimś młodym człowieku, z którym stosunki mające się zawrzeć małżeństwem trwały lat kilka. Tymczasem kochanek ów zaplątał się w jakąś nieszczęśliwą sprawę i oddany został pod sąd. Jeden tylko Tryze, sławny kobieciarz, choć nie młody już człowiek, mógł go uratować. Przywiązanie jej było tak szalone, że mu siebie, sławę swoją, i całą poświęciła przyszłość — oddała się panu Tryze, obiecującemu z nią ożenić, ażeby uratować kochanka. Wybawiła go wprawdzie, ale ten ze wzgardą ją później opuścił. Nie wiem czy skutkiem doznanego zawodu, czy, że życie jej ze starcem było okrutną męczarnią przy rozplóniomem sercu i tęsknocie, stała się tak dziwaczną, tak roztrzepaną, tak szyderską i zalotną, jak gdyby pragnęła ściągnąć na siebie najzjadliwsze posądzienia. Zdawało się że każdego pragnęła rozkochać, jakby chciała miłością inną wynagrodzić sobie utracouą.... O! szaleli też za nią, latali, a ona do szalów pomagała wejrzeniem, słowem, i gdy ją doszły potwarze, które na nią rzucano potem, śmiała się do rozpuku. Jednakże w jej całym życiu, oprócz najdzi-



wniejszej lekkości, która o najnieporządniejsze życie posadzać dozwalała, nie było nic, coby istotnie dowieść mogło że była winną.

Stary pokiwał głową.

— Adwokatujesz Asińdziej — rzekł — ale ja i teraz powiem, że tej pani Tryze nie rozumiem. W istocie, nie od dziś musiała być warjatką, i przeszłe jej życie coś na szaleństwo zakrawa. A toż wiesz że tu w miasteczku, dom jej słynął za najszkaradniejszy?... Mówiono o niej okropności. W ostatku musiałeś słyszeć, że po odpędzeniu panny Anieli, wziął ją był Kasztełaniec, brat mój, do siebie; to dosyć powiedzieć!

— Co? — porwał się Żmura — była u Kasztełanica!

— A była — rzekł zimno pan Antoni... — zawieźli ją tam słyszę... I gdzieżeś ją spotkał? musiała uciec ze Strumienia...

— Spotkałem ją na grobli przed miasteczkiem, biegnącą w jednej sukni, z rozpuszczonemi włosami, i wyraźnie pomieszana...

— Nie zatrzymałeś jej? nie spytałeś co się jej stało?

— Owszem! owszem! ofiarowałem się nawet odwieźć ją gdzieby chciała, ale się słowa rozsądnego dopytać nie mógł. Poczęła się śmiać, opowiadać mi o swoim pierwszym kochanku, o starym generale, lichy wie o czym....

— I gdzież poszła?

— Zdaje się że miała tyle przytomności, iż do swojego domku, który tu najmuje, trafiła...

— Ale mnie Waćpan niespokoisz tem, bo się w Strumieniu coś stać musiało, kiedy ona ztamtąd uszła.... To nie bez kozery...

— Biedna kobieta — ze szczególnem uczuciem powtórzył Żmura — a taka piękna! I tak skończyć marnie.

— Najczęściej piękne marnie kończą! — odparł pan Antoni.

W tem na progu ukazała się pani Antoniowa, i stary,

zapomniawszy o wszystkim, poskoczył ku niej z gorącą wymówką.

— A to mnie jejmość chcesz żywcem umęczyć — zawołał... — czy to się godzi! Na godzinę poszłaś Asińdzka, na godzinę! a bawisz pół dnia, ja w niespokoju, w utrapieniu, włosy z głowy drę... To nieludzko! to nieludzko!

Stała jejmość chwilę, wyprostowana i zmieszana nieco wybuchem gniewu niespodziewanym, ale rychło odzyskała przytomność i gotowość do walki.

— A ślicznieś Waćpan był o mnie niespokojny! — odezwała się witając Żmurę — toż mogłeś przysłać dowiedzieć się o mnie, do znajomych?... Nie było to tak trudno... Ale tobie byle się kłócić tylko.

— Jest! już wymówka! A Waćpani byle mnie zrobić na przekór!

— Panie, daj mi cierpliwość! — odezwał się ręce składając pan Antoni.

— Trzeba ci z oczów zejść — ofuknęła się żona — bo nie dojdę ładu; ale nim pójdę, muszę przecie oznajmić, choć mnie nie po mężowsku przywitałeś, coś co cię bardzo obchodzić będzie.

— Jakaś plotka miejska...

— Najpewniejsza wiadomość... umarł Kasztelaniec...

— A co? nie mówiłam — zakrzyknął pan Antoni klasnąwszy w ręce... przeczuwałem! Ale to pewno?

— Najpewniej; widziałem Sobockiego, któremu Jaś dał znać, i do sądu przysłali oznajmienie.

— A to nam chwili nie tracąc jechać tam potrzeba — zrywając się chyżo dodał mąż... bo Jasiek i Sobocki licha nawarzą... Trzeba być gdy sąd zjedzie, bo i tak okradną faworyci... Żmuro, kochanie, — coraz goręcej począł stary — posyłaj lub lepiej sam biegnij po konie... trzeba sztafetę pchnąć do pana Piotra i do Po-białów, spieszyć na miejsce...

W tej chwili, przez pół otwarte drzwi pokazała się dziko, szydersko uśmiechniona a bardziej wykrzywiona twarz Sobockiego, który wchodził podsluchując; jejmość mrugnęła na męża, tyłem do drzwi stojącego...

— Do nóg upadam — chrypiącym głosem odezwał się kancelista... widzę, że państwo dobrodziejże już wiedzą o smutnym wypadku...

Pan Antoni się odwrócił.

— Jak się Waćpan masz?

— Przybyłem właśnie naradzić się, co tu począć? Kasztelanie nagle zmarł!

— Nagle, powiadasz?

— Z wieczora jeszcze był zupełnie zdrow, wesoło dosyć się bawił, miał się kłaść, siedział w krześle; w tem apopleksja, coś, nie wiem — upadł i skonał.

— Straszna śmierć! — odezwał się pan Antoni zamysłając... Ale możeby ratunek.

— Nim przybył doktor, ducha nie było; zapewne smutne to dla nas — westchnął Sobocki — ale żal żalem a interes interesem; potrzeba myśleć o sobie.

— Ja też niezwłocznie jadę do Strumienia — podchwycił pan Antoni — idź Waćpan kochany zięciu, po konie pocztowe, i wyprawuj sztafetę do pana Piotra... żywo tylko, żywo.

To mówiąc kręcił się już po izbie starszerek szukając czapki, i narzekał na żonę, że nigdy rzeczy jego na miejscu się nie znajdują, Sobocki stał i w duchu się uśmiechał.

— Nic słuszniejszego — dodał serjo — potrzeba oznajmić panu Piotrowi i Samuelowi, i Pobiątom; ja także, jak skoro mi moje obowiązki pozwolą przystawię się do Strumienia; mogę się przydać.

— A zapewne! zapewne! — urywano wołał stary — wszyscyśmy tam potrzebni. Żeby tylko, między nami mówiąc, Jaś tam dobrze dopilnował... Nie bardzo wierzę sługom... gotówki być musi wiele, kosztowności: mogą rozkraść.

— Opieczętowano — rzekł spokojnie Sobocki — i Puślikowski, nowy sługa, uczciwy człowiek, pewny jestem z oka nie spuści nic, można mu zaufać!

— Jednakże nie zawadzi tam dojechać! — dodał Antoni — a dobrze żeby i Paweł przybył mi w po-

moc. Poślesz Waś i po Pawła, żeby przyjechał do Strumienia.

Sobocki, widząc to zaprzątanie pana Antoniego, wciąż szydersko spozierał na niego, ale w niczem mu się nie sprzeciwiał.

— Jak Waćpan myślisz — odezwał się stary — czy też znajdziemy testament?

— Mało znałem Kasztelanica — bąknął niewyraźnie Sobocki, nieco zarumieniony — nie mogę nic mówić. Kto wie, tacy ludzie bywają porządni w najmniejszej rzeczy.

— Tak! to był bardzo porządny człowiek — odparł pan Antoni podpasując się pasem, który mu przyniosła dziewczyna — musiał zostawić ład w interesach i jakieś rozporządzenie.

— I ja tak myślę! — dodał Sobocki — ale możebym mógł w czem być pomocnym, posłać gdzie czuajmy? proszę mi dysponować.

— Jeśliś tak łaskaw — po chwili namysłu rzekł stryj — wyprawzę wyręczając Żmurę, do pana Piotra i Samuela... Samuel musi być u niego.

— Pan Samuel jest tutaj!

— Gdzie? tu? w miasteczku! — krzyknął pan Antoni — a ja o tem nie wiem?

— Od dawnego dosyć czasu, bo od razu się umieścił u księży Trynitarzy... ale tak go dotknęło widać obejście nieboszczyka, że z całą familją zerwał; Rotmistrz i on siedzą zamknięci, czasem tylko w odludną część miasteczka wychodzą na przechadzkę.

— Ja się z nim widzieć muszę! — odezwał się żywo pan Antoni — on chyba o niczem nie wie; pojedziemy razem, będzie mi użyteczny, zna dom. Gdzie stoi powiadasz? u Trynitarzy!

— Tak jest! w klasztorze, na pierwszym piętrze, w celi koło definitorskiej.

— Dziękuję za wiadomość, bardzo dziękuję; leczę do niego.

— A ja wyprawiam do pana Piotra! — żegnając się rzekł Sobocki.

Żmura pozostał z wstrzymującą go panią Antonio-  
wą, a stary podpalony wiadomością poleciał do pana  
Samuela. Sobocki wciąż uśmiechając się spieszył do  
swego dworku.

Mrok już padał, gdy do niezamkniętej furty dostał  
się pan Antoni, i przeszedłszy ciemne korytarze  
i wschody, począł szukać celi na pierwszym piętrze.

Posługacz klasztorny mu ją wskazał, ale była zam-  
knięta; zapukał raz i drugi, nie rychło dopiero prze-  
mknęły się zwolna drzwi i smutna, posępna twarz  
Samuela ukazała się, oświecona ogarkiem łojowej  
świecy.

Bracia spojrzeli na siebie, Antoni z wymówką, Sa-  
muel z niejakim wstydem; mizantropja jego nie była  
jeszcze doszła do tego stopnia, w którym już całego  
obejmuje człowieka i żółcią się zeń wylewa. Był to  
raczej łagodny smutek, który się ukryć pragnął.

— A godzi się to? a godzi? — z wyrzutem zakła-  
dając ręce, odezwał się pan Antoni — żebym ja, ro-  
dzony brat twój, o bytności w mieście już nie świeżej,  
dowiedział się gdzieś z boku? Cóżem ja ci zawinił?

Pan Samuel skłopotany wprowadził go do środka.

Ubogie to było mieszkanie, któremu ze znaków celi  
brakło, wyglądało na rodzaj smętnego więzienia. Skła-  
dało się z dwóch ciasnych cel, jedna za drugą, wązkimi  
oknami oświeconych. W pierwszej była kanapa i stół,  
parę krzeseł, trochę sprzętu, który pokazywał że tu  
jadali i przesiadywali. W drugiej dwa wązkie tapczany,  
ubogo zasłane, maleńka komódka, trochę sukni. Nie  
było gdzie przychować i utaić gospodarstwa, które sami  
sobie służąc wiedli nie bez uprzykrzenia dwaj wygnańcy.  
Na drewnianej półce stały do góry talerze, miski,  
dzbanki, garuszkzi, pozawiazywane woreczki, w kącie  
wiadro z wodą. W drugim na rogowym gieriendoniku  
o dwóch czarnych, trzeciej białej nodze, paczka świec  
łojowych, kawałek cukru i brudna stolniczka, razem  
się zetknęły z mydłem i ręcznikiem.

Na stole przed kanapą, z której widać wstał pan  
Samuel, bo szczypce jeszcze miejsce gdzie był lichtarz

pokazywały — leżała wielka roztwarta książka, z formy swej i druku na nabożną wyglądającą.

Głośnie chrapanie dawało się słyszeć z bocznej celi.

— Daruj mi, kochany bracie — cicho a łagodnie ścisnąc rękę pana Antoniego, odezwał się Samuel, ze skrwawionem sercem nie chciałem iść do ludzi. Na co ich straszyć ranami których uleczyć nie mogą? Chciałem by czas je przygoił.

— Ale na Boga! to nie wymówka! — zakrzyczał Antoni — a z kimże jeśli nie z bratem się podzielić goryczą? Myślałem żeś u pana Piotra.

— O! dosyć mam cudzych chlebów — tu mi spokojniej....

— Nic nie wiesz? — spytał przybyły.

— Cóż chcesz żebym tu wiedział? wiem że cierpię i że na to nie ma ratunku.

— Któż wie!

Samuel wskazał palcem izdebkę przyległą.

— Nie o siebie mi chodzi! nie! mojego wieku nie wiele i przekołałabym go do reszty, ale on, on mnie trapi! Uchowaj Boże na mnie śmierci, jak sobie da rady? Kto się nim zaopiekuje?

— Tu nie o tem teraz mówić — przerwał gość — Waćpan widzę o bożym świecie nie wiesz; Kasztelanic pozawczoraj w nocy nagle umarł.

Samuel schwylił się za głowę.

— Co mówisz? umarł? Rotmistrzu! — zawołał — panie Wincenty, panie Wincenty!

Z drugiej stancyjki ukazał się zaspany i porozpi-nany Rotmistrz, zobaczył stryja i zmieszzał się zatulając surdnt co prędzej.

— Wiesz, Kasztelanic umarł! — powtórzył Samuel.

— Umarł nagle — dorzucił pan Antoni — jeden tam dotąd Jasiek; niewątpliwie go okradną, jeśli tam nie pospieszym zaraz. Ja nie znam ani domu, ani ludzi, konie gotowe; rachuję na brata że pojedziemy razem.

Pan Samuel spuścił głowę, odstąpił krokiem, wzruszył ramionami.



— Ja tam nie pojedę — rzekł — przysięgłem że noga moja nie postanie w Strumieniu.

— Tak! mogło to być póki należał do pana Stanisława, ale dziś to własność nasza.

— Chociażby — odparł starszy — nie pojedę; weź sobie Rotmistrza, ten ci będzie pomocniejszy, a jeśli zapotrzebujesz obrony lub odparcia napaści, usłuży ci dzielnie.

— Jakto? doprawdy jechać nie myślisz?

— Nie pojedę — spieszcie sami i pamiętajcie o losie Rotmistrza proszę; ja dla siebie nic nie potrzebuję. Ale jakże ten biedak umarł? — zapytał Samuel.

Pan Antoni o ile wiedział opisywał śmierć Kasztelanica; spojrzął na zegarek, pożegnał brata i zabrawszy z sobą Rotmistrza, siadł zaraz przed bramą klasztorną na bryczkę, której pomimo nocy pędzić kazał do Strumienia.

---

## V.

W Horoszkach u państwa Pawłów, był wieczorek właśnie, i bawiono się przewybornie — duszą zabawy była panna Hiacynta, której że o jej wpływie na dom wiadano, służyli adoratorowie Petry. Nie brakło bowiem wielbicieli dumnej i kwaśnej córce państwa Pawłów; jej jedynactwo, nadzieje spadku, w najgorszym razie piękna część Horoszek, wabiły młodzież sąsiednią. Dwór jaśniał rześisto, salon wywoskowany i z pyłów otarty, przy świecach wcale się pokazać wydawał... zdobiły go nowiuteńkie firanki z frędzlą roboty panny Hiacynty i wielkie jesiennych kwiatów bukiety, które dowcipną inwencją zdobiły we dwóch miejscach nieco odrapaną z tynku i nie foremnie polepioną ścianę.

Na głównej kanapie majestatycznie rozsiadła się gospodyni domu, wodząc oczyma za córką, z wyrazem niechęci dobrego tonu przebiegającą salon, który zda-

wał się niegodzien ją zamykać, tak z góry nań po-  
glądała.

Piękna Julia, wysnurowana tak, że broda jej spo-  
czywała wygodnie na podniesionym biuście, przymru-  
żała oczki, próbując jeszcze ażali nie zwabi melanco-  
licznym wyrazem jakiego młodzika, pragnącego duszy  
co by go zrozumieć potrafiła. Kilka matek, mających  
synów na ożenieniu, otaczały ją kołem grzeczności i  
szczebiotliwą rozmową. Pan Paweł w granatowym fra-  
ku, z cygarem, które przechodząc przez salon ukrywał  
staraunnie, kręcił się upocony, dysponując i doglądając  
wszystkiego.

Panna Hiacynta gry sentymentalne i tańce odwie-  
czne wymyślała, rozweselona, roztrzpiotana prawie szun-  
rując ustka zwiędłe i sypiąc wymownomi wyrazy. Pe-  
tra potrzasała głową ułokowaną i nie raczyła nawet  
tłum swych wielbicieli obdarzyć uśmiechem. Ten tłum  
składał się, w tej chwili mianowicie, ze trzech mło-  
dzików, posiadaczy cząstek w okolicznych wioskach i  
jednego podżyłego wdowca, który cały dobry folwark,  
acz odłużony nieco, miał o mil kilka od Horoszek.

Resztę towarzystwa składały siostry tych panów,  
kuzynka tego pana, matki, jeden ojciec w surducie sza-  
racczkowym, i jedna ciotka w przedwiecznej mantylce  
mienionej.

Właśnie zabierano się do mazura, którego cztery  
pary ułożono, zaprosiwszy gospodynię domu przez naj-  
młodszego z tancerzy, co urządziła przezorna panna  
Hiacynta, gdy pan Paweł wpadł, ale jak oparzony.

Po minie jego sądzić było można, że albo się za-  
paliło w koninie, albo się Ignas kucharz upił, albo  
puszka od herbaty ze szkła czeskiego, faworyta pani,  
bo wyprawna, rozbita została przez mazgajowatego Jurka,  
co terminował przy kredensie.

Włos najeżony, oczy roztwarte, ręce rozczepierzone  
okropnie, usta zaciśnięte, frak porozpiany i pogięty,  
oznajmowały, że się coś stało. Stanął wyraziście na-  
przeciw żony, i sycząc dawać jej począł tysiączne znaki,  
że z nią pomówić potrzebował.

Nie zaraz to Julja spostrzegła, a że taniec zaledwie się poczynął, a partner tylko co miał czas westchnąć, w kilku słowach wyrażając swe uczucia, nie rada była przerywać mazura, sądząc, że pan Paweł da sobie i sam rady.

Zniepokoiło ją jednak naleganie męża, który coraz gorzej się wykrzywiając, ruszając ramionami, tupiąc, zaczynał niedość powolną Julję do niecierpliwości doprowadzać. Wreszcie, mina pana Pawła stała się tak śmieszną wyrazem pilnego jakiegoś żądania, że Julja musiała na chwilę rzucić tancerza i przybiegła ku niemu, myśląc go dobrze rozumowi wynieść.

— Co ci jest, Pawle — zawołała — oszalałeś czy co? oczy wszystkich zwróciłeś na siebie.... Nie możesz-że się i chwili obejść beze mnie?

— Ale to nie przelewki tu trzeba radzić!

— Cóż się stało?

— Odebrałem posłańca... Kasztelanic umarł!

Te słowa ogromny wpływ wywarły na panią Pawłowę. — Co ty mówisz? — zawołała zbliżając się do niego żywo. Ale jako ostrożna kobieta, zaraz zmiarkowawszy, że lepiej gdy się ta wiadomość nie rozszerzy, pogroziła mu na nosie, szepcząc:

— Żadnych min, ani słowa! nikt o tem wiedzieć nie powinien. Idź do swego pokoju, skończę figurę i przybiegnę. Naradzim się, ale na wszystko zaklinam, nie pokazuj po sobie, żeś jakąkolwiek wiadomość odebrał.

To rzekłszy, wróciła do mazura a panna Hiacynta, która z oka nie spuściła całej tej sceny, wywnioskowała, że się Ignas upił tylko. Mniejsza o to — pomyślała, niech też sobie pan Paweł choć raz sam radę da... ja się dziś bawię.

I porwała swego tancerza, lekko rzucając się do tańca, z zapalem wygłodzonej a namiętnej piętnastoletniej panienki. Nieszczęśliwy co się na ofiarę jej poświęcił, ledwie mógł zdążyć za tym czterdziestoletnim motylem, którego szarfa niebieska ucierała nosy ludziom i świecom.

Julja z dyplomatyczną powolnością, choć ją wewnątrz srodze piekło, przetańcowawszy, chwyciła się za bok, mówiła coś ze swoim kawalerem po cichu, wyręczyła się ciocią w mienionej mantylce, a sama poszła zasiąść na kanapie, skarżąc się na dolegające uczucie bólu, którego w tańcu doznała.

Wszystkie mamy najskuteczniejsze jęły jej rać lekarstwa — ale ona smętnie potrząsłszy parę razy głową, zwlekła się z kanapy i nogą za nogą wyszła do bocznego pokoju. Tu dopiero odzyskawszy siły, rzuciła się szparko do kancelarji mężowskiej i gdyby nie muzyka, słyhałoby było stuknięcie drzwiami, którem wejście swe oznajmiła. Pan Paweł przy stoczku, bo wszystkie lichtarze były na służbie, czytał z uwagą list odebrany, żona wyrwała mu go bez ceremonii i poczęła podniosłszy stoczek przebiegać.

— No, a cóż duszko? — spytał pan Paweł — co tu robić?

— Naturalnie jechać do Strumienia co najprędzej; Hieronim im się później dowie tem lepiej. A więc ci cho! Póki się goście nie rozjadą, musisz dosiedzieć z niemi, a rano ruszysz. Ja tylko myślę, czy nie byłaby to pora z Hieronimem się o jego schedę w spadku ułożyć? — dodała Julja powtórnie.

— Jakbyś mi z ust wyjęła — zawołał Paweł — słowo w słowo, ja to samo zaraz pomyślałem.... ale któż wie, a nuż jest testament??

— Właśnie i ja rozmyślałam jakby to zrobić? chyba warunkowo? Ale jakże tu do niego przystąpić? Domysli się ta srocza Hieronimowa, że Kasztelanic nie żyje.... Jednakże jakeśmy rachowali kiedyś, wypadło nam w najgorszym razie po kilkakroć.... Horoszki nie warte jak sto, może sto dwadzieścia.... gdybyśmy mu odstąpili ich a wzięli jego schedę?

— A nuż schedą i stukilkudziesięciu nie wyniesie? — spytał rachując pan Paweł.

— To prawda! — mówiła dalej Julja — ale gdyby się udało podchwycić tak Żmurów, kiedy mówicie, że i oni do spadku należeć będą, złapać Hieronima, do-

pierobyśmy byli bogaci. Czekajże Waćpan — dorzuciła po namyśle — jedź nic nie mówiąc, jeśli się tam co okaże, przybywaj, a ja tu na wszelki przypadek do nich się trochę przybliżę. Szkoda, żeśmy ich dzisiaj na wieczór nie prosili.

— Szkoda! ale kto to mógł przewidzieć! — westchnął pan Paweł.

— Teraz do pokoju i cicho! nawet Hjacynie nic; odprawić zaraz posłańca, żeby nie paplał — konie zadysponować, niby po doktora dla mnie, na rano; o świcie w drogę.

— Dobrze kochanie — rzekł zabierając się do wyjścia pan Paweł — niema jak twoja rada! moje serce.

— Spodziewam się! — cicho a dumnie kiwając głową, odezwała się kobieta — do pokoju!

Posłuszny pobiegł gospodarz, ale żeśmy to wszyscy podobno nie tak do udawania zręczni, wyniósł z sobą na twarzy niepokój i zaprzątnienie.... Widać je było przez przybrany uśmiech i zawieszoną na sposób firanki obojętność. Chodził i co chwila bił się o drzwi, dysponował gościom zamiast służącym, żeby świece objaśniali, witał się z Jurasiem najczulej, żeby mu nie chybić, rozlał gorącą wodę z samowara i cygaro żarzącym się końcem włożył w usta. Panna Hiacynta, która nikogo z oka nie spuszczała, wiele czyniła domysłów na mocy tego roztargnienia, wszakże nie potrafiła sięgnąć dalej odważną wyobraźnią nad stłuczenie puszki od herbaty.

Julja powróciła do salonu zawsze trochę się na bok uskarżając i trzeba jej przyznać, że reszty wieczora do była, jak gdyby na jej ramionach nie spoczywała nadzieja niepewnej a miljonowej sukcesji.

Wieczorek jak na złość się przedłużał: panna Hiacynta była w najróżowszym humorze. Petra nawet roztańcowała trochę swoich kwasów, i pół-uśmiechem obdarzyła pięknego sąsiada, co niesłychanie zmartwiło wdowca, płomieniste ku niej rzucającego wejrzenia z pod brwi godnych Jowisza. Mazur następował po mazurze, walec po polce, galopada po kontredansie —

ani widać końca. Północ zastała młodzież w najwyższych skokach... Dano wieczerzę. Nieśmiejąc się rozpytywać a usiłując zgadnąć, co za wypadek fermentował w pań Pawle, wzięła się do jedzenia panna Hiacynta, chcąc dojść czy Ignas był trzeźwym, i przekonała się, że go musiano dostatecznie pilnować. Ujrzała także ową czeską puszke od herbaty i już nie wiedziała co myśleć. Ciekawość byłaby ją do indagacji pobudziła, ale ta na szczęście ustąpiła apetytowi i rozmowie z młodym tancerzem, który jej nie odstępował, zamierzając starać się o Petrę, przez plenipotencję daną jej guwernantce.

Po wieczerzy, że każdy miał do domu odjeżdżać, chwilkę tylko wypoczęto, i goście powoli wynosić się zaczęli. Poobwijano mamy, ciocie i siostry; kawalerowie pozapalali fajki i cygara, i wszyscy nareszcie opuścili Horoszki, z wielką Julji pociechą. Pan Paweł pobiegł do swojego pokoju, Petra rzuciła się na sofę ziewając, a Julja już szła na radę, gdy Hiacynta związając loki wstrzymała ją z uśmiechem.

— Co to pań? — spytała.

— Pawłowi? ale nie! — odpowiedziała zimno gospodyni — alboż co?

— Pani nie zwróciła na to swego badawczego oczka?

— Cóż to takiego?

— Uważałam, była chwila jakaś stanowcza.... — wyszedł zimny i przytomny, powrócił zmieniony, rozpaczliwy, stargany jakimś wewnętrznym strapieniem... Myślałam przez chwilę, że albo Ignas nas zdradził, lub w domu co się stało groźnego...

— Ja tego nie zważałam; wierz mi, że to ci się przywidziało.

— Mnie! — z uśmiechem spytała guwernantka okazując się tak pewną, tak niezmiśzaną, że Julja zrozpaczywszy by przed nią ważną wiadomość ukryć mogła, niewiedząc jak potem wytłómaczyłaby się ze swego niedowiarstwa, musiała, po cichuteńku wzięwszy na stronę, wszystkiego się jej zwierzyć.



Narady trwały prawie noc całą, a rano o świcie pan Paweł, dobrze nadziany informacjami, siadł na bryczkę i ruszył do Strumienia.

Cicho i smutno było we dworku Hieronimostwa, do których żadna wieść o śmierci nie doszła; tam płynęły godziny jednostajnie, nieznacznie, jak płynąć musi to życie, by się stało znośnem, życie będące podróżą do innego celu. Z dniem każdym powiększał się smutek po Zosi, po chłopakach; i milczenie domku, ożywionego wesołą gromadką, stawało się coraz nieznośniejszem dla rodziców. Pozostałe dziewczę, acz dobre, przywiązane, i ukochane jak inne, nie mogło zastąpić oddalonych, a czuło się osierocone bez nich. Często wyglądając listu z Żytkowa od synów, oboje liczyli dnie i godziny, a gdy przyszło co od Zosi, matka chowała drogą pamiątkę w książkę od nabożeństwa i codzień po cichu ją całowała. Hieronim i ona pracowali w pocie czoła zarabiając na chleb powszedni i nie lepiej się im wiodło. Zawsze prawie najpiękniejsze ich nadzieje jakaś niespodziana wywróciła burza, i przyszło już do tego, że nie śmieli nic przewidywać, przesądliwie obawiając się, by trochę pociechy nie opłacili gorzkim zawodem. Hieronimowi nie zbywało jednak na mężtwie, tej cnocie nie wielu, która w zapasach długich z losem, rzadszą jest od chwilowej odwagi zapалу; żonie jego miłość dla męża zastępowała wszystko; zbroiła ją w cierpliwość, osuszała łzy, dawała wejrzenie wesołe i tchnęła pocieszające wyrazy... Oboje na oddaleniu swych dzieci srodze cierpieli, a oboje nie chcieli tego pokazać po sobie; by nie dodawać męczarni, uśmiechali się, rozrywali. Ale z tych piersi pocziwych często ciche wyrwało się westchnienie, z oczu łza pociekła tajemna.

Błogosławili los i ludzi co im pomogli, ale w duszy narzekali na konieczną potrzebę straty chwil niepowróconych, których z dziećmi przepędzić nie wolno im było. Z Pawłem i jego żoną zawsze trwał rozbrat, którego trochę powodzenia uczyniło jeszcze wyraźniejszym, bo zazdrość oddaliła od nich brata. Ani Paweł,

ani jego żona nie widywali się z Hieronimami; czasem raczyli po coś przysłać do nich, żądać posługi, której nigdy nie odmawiano, ale się nie czuli do żadnej wdzięczności. Paweł coraz mocniej wmawiał w siebie że był dobroczyńcą brata, że wszelkiego rodzaju czynił dla niego ofiary, że się dla niego poświęcał. Julja w bratowej nie widziała równoj sobie istoty i obchodziła się z nią, gdy była zmuszona spotkać, okazując jej wyraziście wyższość swoją. Hieronimowa znosiła to z niewyczerpaną cierpliwością, z uśmiechem łagodnym, z poddaniem się losowi chrześcijańskiem. Mąż jej, który wszystko bratu przebaczał, jednego tylko poniżenia swej żony wyraźnego darować mu nie mógł; w sercu miał żal głęboki, ale nigdy go nie objawił.

Takie były stosunki dworu i dworku w Horoszkach, gdy Julja po odjeździe pana Pawła, ciągle niespokojna odebraną wiadomością, zeszła się z panną Hiacynthą, dla rozmowy, której w razach podobnych nieodbitcie potrzebowała. Jak wszystkich nie przywykłych do samotnego myślenia, męczyła ją rozwaga, zrywał się wątek, jeśli go nie podbudzała rozmowa.

Usiadłszy tedy z nogami na kanapie, Julja zwróciła się do wyprostowanej Hiacynthy, która teraz starała się jej jeszcze bardziej przypodobać, i nadomyślawszy się głośno najdziwniejszych rzeczy, odezwała nareszcie:

— Jak ci się zdaje, mnie się widzi, że teraz pora trochę się zbliżyć do Hieronimostwa.

— Zbliżyć? — spytała nie dając znaku ani współczucia ani sprzeciwiania towarzysza.

— Tak jest — głęboko się zamyślając, ciągnęła dalej Julja — kto wie jak się złoży interesu nasze teraz — możemy potrzebować układać się z bratem; lepiejby było zawczasu ich ukolysać, bośmy na bakier. Kto wie!

— Prawdziwie! pani masz rozum i przebiegłość Meternichowską! — zawołała Hiacyntha z uśmiechem — nigdybym nie podobnego wydumać nie zdołała! Nie mogłam nawet odgadnąć celu tego pomysłu!

— Dziś wieczór trzeba pierwszy krok zrobić; pójdziemy do nich...

— I Petra?

— Wszyscy! przynajmniej jak nas więcej pójdzie — uśmiechając się dodała Julja — będziemy mogli mówić z sobą, bo z nimi jak nie o kurach, nie o jajach, o czemże rozmowa?

— A! to są ludzie tak poziomi! tak prości!

W tych kilku słowach ważne postanowienie zbliżenie się do Hieronimostwa zamknięte zostało; reszta dnia spłynęła na spoczynku po wieczorze i niespokojnych domysłach względem testamentu. Petra nadzwyczajnie zdziwioną została, gdy jej matka oznajmiła że do Hieronimów pójść mają, i nie mogła zrozumieć tych odwiedzin po wczorajszym baliku, na który ich nie proszono. Potrząsała głową, zrobiła minkę wzgardliwą, ale że dla niej obojętnem było pójść lub nie, zezwoliła. Około godziny piątej, trzy damy skierowały się ku skromnemu dworcowi szlacheckiemu, i już we wrota wchodziły, gdy gospodarze jeszcze oczom swoim wierzyć nie chcieli, poznawając gości.

— Wszak to pani Pawłowa! — odezwał się Hieronim...

— A! dalibóg ona! ona! Hiacynta! i Petra! cóż to znaczy?

Hieronim uśmiechał się gorzko.

— Prawdziwie niepojęta rzecz — rzekł powolnie — nie żyjemy z sobą wcale; wczoraj zaprosili mnóstwo osób z sąsiedztwa nas opuściwszy, a dziś przychodzą pierwsi...

— Moja duszko — szybko przerwała żona całując go w czoło — co było to było, a kiedy oni pierwsi; choć późno ku nam się garną, nie odpychajmy ich — proszę.

— Bądź spokojna — odpowiedział Hieronim — znasz mnie: wiele umiem przebaczyć, wiele zapomnieć dla świętego spokoju! Pierwszy nie chcę się do nich cisnąć, lecz pewnie drzwi przed nimi nie zamknę...

Właśnie tych słów domawiał, gdy majestatyczna

Julja, z nadzwyczajnym na ustach uśmiechem i powitaniem słodczy pełnem, ukazała się w progu.

Podala nawet rękę zdziwionej bratowej, i poczęła, nie bez rumieńca:

— Przyszliśmy dowiedzieć się, jak braterstwo się macie... czemuż to nie byli łaskawi do nas wczoraj... mieliśmy trochę gości.

Hieronimowie spojrzeli po sobie.

— Wszakże posyłałam prosić!

— Nikt nie był! — odpowiedziała Hieronimowa po cichu, nie przypuszczając kłamstwa — musiała zająć jakaś omyłka...

— Jakto? nikt nie był? — doskonale zdziwienie odgrywając zawołała pani Pawłowa... posyłałam Kasię... ale to wisus dziewczyna! Muszę też jej dobrze uszy natrzeć. I prawdziwie mi szkoda żeście u nas nie byli, bośmy się bawili wysmienicie.

— Dziękujemy za pamięć — przerwał Hieronim — ale my nie do tych zabaw, szanowna pani — czasu na to mamy mało. Człek się spracuje we dnie, wieczorem spocząć musi.

— Właśnie to rozrywka i spoczynek razem — dodała siadając Julja, która nadzwyczaj miłą i grzeczną być chciała. — A! i nam na pracy nie zbywa — ot, Paweł ledwie miał czas się zdrzymnąć i ojciec po niego przysłał w jakimś ważnym interesie; musiał lecieć do miasteczka.

— Ojciec! byłby uchowaj Boże nie zdrów?

— Ale nie! Żmura tam przyjechał, nie wiem jakiejś narady potrzebowali... Żał mi było Pawełka, ale każdy ma swoje kłopoty i obowiązki.

To mówiąc westchnęła, dobrowolnie ze swej zwykłej roli Junony przechodząc na prostą ludzką kondycję.

Zaczęła się pozioma rozmowa o gospodarstwie, o dzieciach, do której tylko żywiołu poetycznego dolewała kiedy niekiedy panna Hiacynta, zdobiąc ją w kwiaty wymowy; Petra z oczyma wlepionemi w sufit siedziała przepyszna, ukazując swą suknię materjalną,

i świeżo sprawione bransolety zdumionym oczom mieszkańców ubogiego dworku.

Wszystko co Julia grzecznego i pokornego powiedziała, za dobrą wzięła monetę pocziwa gosposia, ale nie Hieronim, który już do niej zrażony od dawna, tym greckim darom jedwabnych słówek wiary nie dawał; lękając się ich więcej niżeli się cieszył niemi. Zdziwiony i niespokojny, szukał w swej głowie powodu tych przywilei, kombinował nagły wyjazd Pawła z niespodziewanemi odwiedzinami bratowej i usiłował nadaremnie odgadnąć, co to wszystko znaczyło.

Nieszczęściem dla Julji traf chciał, żeby posłaniec który miał list do Hieronima, oznajmujący mu wraz z Pawłem o śmierci Kasztelanica — dopiero w drodze opatrzył się, odprawiony szybko z Horoszek, że go nie oddał. Powrócił on zaraz nazad i że nie było nikogo w sieni, komuby się on oznajmił, a szlachecki dworek podobny do jego chaty, ośmielał, wszedł do pokoju właśnie wśród najkwiecistszego rozwoju poetycznych wyrażeń panny Hiacynty, opisującej balik wczorajszy.

To poufale wejście wieśniaka zmieszało nie pomału gospodarstwo oboje, i uśmiech szyderski wywołało na usta matki i córki, które ukradkiem spojrzały po sobie. Hieronim pobiegł do prog.

— Czego tu chcesz? — zapytał.

— To list do was, dobrodzieju! — odezwał się posłaniec dobywając z torby i szmatek kawałek papieru.

Julja na wpół odgadując, zaczerwieniła się, ale nie straciła przytomności, ni odwagi.

Hieronim pochwycił, rozpieczętował i głośno zawołał: — Wiecie Państwo! Kasztelanic umarł.

— Co pan mówisz! umarł! Kasztelanic umarł? — powtórzyła zdziwiona niby i przelęka bratowa.

— Ale wszak był list i do Pawła... — dodał odczytując dalej pismo Hieronim.

Julji tak łatwo nie można było zmieszać lada czem; przyzwyczajona do drobnych intryzek, które ją obdarzyły szczególną przytomnością umysłu, porwała się niby zdziwiona:

— Patrzcie! — zawołała — Paweł mi nic nie powiedział! skomponował jakiś interes — nie pokazał listu i... nic dotąd nie wiedziałam.

— To dziwna — rzekł zimno i niedowierzająco Hieronim — boć nie było się czego tać.

Hiacyntha przyszła w pomoc swej pani i przyjaciółce.

— O ja! — rzekła — doskonale pojmuję powody które pana do milczenia skłoniły.... serce jego zna czułość i drażliwość pani, wie jak każde wrażenie silniejsze działa na nią; chciał zapewne powolnie ją przygotować do tej wstrząsającej wiadomości.

— Proszę cię — po cichu zbliżając się do męża spytała gospodyni... — cóż to się stało biednemu Kasztelanicowi? Tak się zdawał zdrow! tak jeszcze był silny....

— Zdaje się że to być musiała apopleksja! — odpowiedział Hieronim — bo zmarł nie chorując, prawie nagle...

— Nieszczęśliwy! — westchnęła Hieronimowa — bez przygotowania, bez modlitwy!

Julja tymczasem, chcąc usprawiedliwić twierdzenie swej przyjaciółki i drażliwości swych nerwów, powoli przybierała się do mdłości, źle się jej już robiło; musiano posłać po konie, dobyto kolońskiej wódki, a Hieronimowa uwierzywszy święcie tej komedji, krzątała się niezmiernie niespokojna.

— Pan jedziesz? — spytała mdlejąca. nie zapominając jednak badać....

— Ja? a ja tam po co? — obojętnie rzekł Hieronim — ojcę potrzebny nie jestem, kiedy już Paweł, do interesów odemnie wprawniejszy, pojechał; sam nadziei na tym spadku nie mam żadnej, mało mnie to obchodzi; po co darmo mam się kłopotać, niewiedzieć czego!

Te wyrazy wyrzeczone zimno, wlały otuchę nową w serce pani Julji; zapewniały ją bowiem coraz bardziej, że Hieronim w razie potrzeby do wszelkiej roboty będzie łatwy, nie wiele sobie ważąc ten spadek.



Wtem żona posłyszawszy z drugiej izdebki co mówił Hieronim, spytała go żywo:

— Jakto? Hieronimie, ty nawet jechać nie myślisz?

— Nie myślę, kochanie moje, i nie pojedę — po co? do czego? Jeśli nam co przyjdzie to z ojca; niech on rozporządzi jak mu się podoba. Co do mnie, nie wierzę w to, żeby się nam co po Kasztelanicu dostało! Nie naszym to szczęściem! Chyba — dodał uśmiechając się — pociągnie i nas z sobą dola pana Pawła.

— A! pan myślisz — odezwała się Julja — żeśmy tak bardzo szczęśliwi! Mylisz się, mylisz.

— Niech pani wierzy, że jakkolwiek mi się los Pawła wydaje, więcej mu jeszcze dobrego życzyć niżeli ma, i bynajmniej nie zazdroszczę. Ale to pewna, żeśmy pracowali, żeśmy dobrowolnie nie tracił, żeśmy mieli równo, że ja dziś mam ledwie piątą część tego co on....

Julja zamilkła, mdłości ciągłe uwalniały ją poniekąd od odpowiedzi; konie właśnie przybyły ze dworu i cała gromadka gości, pod pozorem osłabienia pani Pawłowej, wyruszyła nie czekając herbaty.

Sami zostawszy po odejście gości, Hieronimostwo usiedli przy kominku, Frania postawiła swój kołowrotek przy nich i cicha, przerywana poczęła się rozmowa,

Mniej niż gdziekolwiek robiła tu wrażenia nadzieja — tyle ich zawiodło! tyle uleciało, zostawując po sobie tylko opalonych skrzydeł szczątki. Hieronim już w powodzenie nie wierzył i uzbroił się na życie niedostatku, przygotował do nieustannej walki, którą mu pożycie z jego Kostusią słodziło. Ona czepiała się jeszcze często słodkich nadziei, ale się także nie przyznawała do tej słabości. Rozmawiali po cichu o Kasztelanicu, o sobie, a Hieronim gorzko się w końcu uśmiechnął.

— Wiesz serce — rzekł do żony.... — Julja chciała nas oszukać, ale się jej nie udało.... Pan Bóg ją skarał i list szyki pmieszał.

— Co ty mówisz? w czym oszukać? — naiwnie spytała go żona — tyś zbyt podejrzliwy.

— Ale to jasne jak na dłoni... Paweł w nocy poleciał; nie jużby jej nie powiedział po co i dokąd! kiedy, jak wiesz, swojej woli nie ma za trzy grosze. Ona ukryła się z wiadomością, i chcąc się niby bez interesu do nas zbliżyć, tu przyszła.

— Serce moje, posądzasz!

— Nie podejrzewam, ale widzę! to oczewiste!

— Cóżby mieli za interes nas sobie jednać teraz?

— Oczewiście, spodziewają się spadku, chcą zapewne frymarczyć zaraz i nabywać; nie wypada im będąc źle z nami, dopiero dla interesu przybyć, ułożyli więc zręcznie....

— Może ty to lepiej wiesz, mój drogi — łagodnie odpowiedziała Hieronimowa — ale co ja to ich za tak złych i przewrotnych nie mam. Są tylko trochę dumni.... I przyznam ci się — dodała po cichu — gdyby tak nam za ten spadek dali całe Horoszki! a! toby było wielkie szczęście! Ja przynajmniej tak do tego kątką przywykłam, tak mi on miły, żebym go na pałac nie zamieniła! Wystaw sobie, żebyśmy byli panami całej wioski! na miejscu gdzie nasz dworek...

— Kostusiu! Kostusiu! — przerwał jej mąż — na co te sny! na co te marzenia, z których ci się obudzić przykrzej będzie jeszcze. O! i ja nie raz sobie w duchu myślałem, gdyby mi ta wioseczka tylko, więcejby od Boga nie żądał.... ale co to marzyć!... I mnie serce wiąże do tej chatki, do tego cichego kątku. Z całego świata Bożego wybrałbym go pewnie; posiałem go potem i pracą daremną i wspomnieniami chwil nieopłaconych naszego szczęścia.

— Mój drogi! Jam tu była szczęśliwą — odezwała się kobieta — ale ty! ty! nie! tyś się pocziwie dla mnie poświęcił. Gdyby nie ja com ci przyniosła kłopot, konieczność ciężkiej pracy, żyłbyś swobodny, bo ci dla ciebie nie wiele potrzeba. Zawsze też ubolewam — dodała wzdychając — żem posłuchała serca i nie miała odwagi ci odmówić. Ty byś był bezemnie szczęśliwy!

— Kostusiu! Kostusio moja! — porwał się popędliwie pan Hieronim — nie bluźń że proszę! Tyś mi otworzyła życie.... gdyby nie ty, jabym szczęścia nie znał! Co ty mówisz? A na cóżby mi ta swoboda sierocie, samotnikowi, i jakież to szczęście jednemu?

Mówił i szczerze łzy miał w oczach, a w głosie tyle było uczucia, że Hieronimowa, której już także łzy polały się z oczów, pochwyciła zamuloną jego rękę i do ust ją przycisnęła. Pan Hieronim uściśnął ją, w czoło pocałował.

— Niechże ci, moja duszo — rzekł siadając — nigdy te myśli nie przychodzą. Uczyłem cię nieraz życie pojmować jak ja, a w tem jednym, mój kotku, nie umiesz się zastosować do mnie. Wszyscy bładzą co szukają szczęścia wielką bryłą całkowitą, jedyne szczęście ziemi składa się z czystych a krótkich chwil, jak dzisiejsza — ze wzruszeń pocziwych, z uczuć szlachetnych, ze łzy co wytryśnie z serca, z uśmiechu, który zrodzi przelotny błysk radości, z uścisku dłoni.... a wreszcie, z tych wejrzeń na świat, dzieło Boże, którego piękności zachwycają duszę.... Ci, co szukają większego szczęścia, skarbiąc sobie zapasy grosza, aby je kupować, nie obrachowali się że tylko to, co Bóg dał wszystkim darmo, szczęście istotne stanowi. Doprawdy, ja pojąwszy tak życie, ani pragnę wiele, ani się skarzę na los. Nie ma tak nędznego bytn, na któryby, jak rosy na poziome trawki, nie zlewał Bóg chwilę szczęścia.... trzeba je tylko umieć przyjąć. A są rośliny co nie biorą rosy i ludzie nie zdolni do szczęścia. Oni chcą się kąpać w tem co zlatuje z niebios kropelką i padają w kałużę.

— O mój Boże, jak ty to ślicznie powiedziałeś — odezwiała się przejęta Konstancja. — Czemuz to tego ktoś inny nie słyszy, tylko ja jedna, com tego nie warta? Obwiniaj mnie jak chcesz, alem zawsze dla ciebie, Bóg widzi! nie sobie więcej pragnęła. Tyś wart być wyżej...

— A co to wyżej? — spytał powolnie Hieronim, wszyscyśmy ludźmi, wszyscy pod okiem Bożem; to co świat zowie wyższością, jest, po chrześcijańsku, prawdziwie, tylko ciężarem i pętami. Wyższość nie daje praw

więcej do szczęścia, ponmaza tylko obowiązki. Jużem ci powiedział co u mnie szczęściem, to właśnie, czego nie daje żadne położenie wyłącznie, czego kupić nie można, co jest dla wszystkich. Stojący wyżej, odpowiedzialni są straszniej przed Bogiem, sobą i ludźmi, a cóż zyskują?

— A, mój drogi — odpowiedziała szybko kobieta — pomyśl tylko? zyskują to, że więcej uczynić mogą!

— Prawda, prawda — rzekł mąż — ale sił po temu potrzeba, a ja ich w sobie nie czuję. Nie pragnę też nic więcej, tylko spokoju w cichym naszym kątku, i doczekania się z powrotem dzieci naszych. O! pusto bo bez nich, pusto!

I westchnęli oboje, a myśli ich poleciały w tę stronę, gdzie co dzień odwiedzały dzieci, spoczęły nad ich główkami i zatrzymały się nad Zosią, która w tej chwili może płakała i modliła się za rodziców, i jak oni tęskniła.

Frań także kołowrotek się zatrzymał i niedostrzeżona łza spadła na szarą nitkę....

---

## VI.

Wiadomość o nagłej śmierci Kasztelanica wszystkich jego krewnych zelektryzowała, nie wyjmując nikogo może, prócz pana Hieronima, nieżyczącego sobie nawet pojechać do Strumienia, i Samuela, który zbyt cierpiał na swojem wygnaniu z tego miejsca, by drugi raz tam wrócił.

Każdemu mniej więcej zdawało się, że miał słuszne powody spodziewania się jeśli nie całego spadku, to przynajmniej większej jego części. Grzeczność nieboszczyka dla krewnych, dary którymi go obsypywali w ostatnich czasach, na które, choć się wściekał, odpisywał jednak w wyrazach najwyszukańszej wdzięczności, były główną podwaliną tej budowy nadziei. Nikt

się do nich nie przyznawał głośno, choć wszyscy uśmiechali się po troszę z drugich, posadzając ich o myśli podobne. Jeden Samuel się nie mylił, twierdząc w duszy, że albo testamentu nie będzie, lub znajdzie się taki co ich wydziedziczy; obawiał się też instynktowo Jaśka. Inni jak pan Piotr nawet, Pobiłowie wszyscy, Antoni, rachowali na niczcie, którego w Kasztelanien nie było nigdy.

Jasiek tymczasem pokornego i smutnego udawał, a Sobocki zacierając ręce śmiał się po cichu. Co najspieszniej poczęła się zjeżdżać cała familja do Strumienia, tak, że dwóch tylko wyjąwszy, nikogo nie brakło. Każdy w drodze rachował się z sobą i wynajdował powody dla których Kasztelanien nie komu innemu, jak jemu powinien był niemal wszystko zapisać.

— Jakkolwiek bądź — mówił w duszy pan Piotr — Stanisław umiał mnie ocenić; nważałem z jakim ucznieniem przyjmował moje uwagi ostatnią razą, z jaką czułością prawie na kilka listów moich odpisał. Jest w nich coś nawet, co mi niepłonną czynić może nadzieję, że zostanę głównym spadkobiercą; w takim razie będę się tylko nważał za plenipotentą nieboszczyka i rozdzielię pozostałość najśłuszniej, wedle potrzeby każdego z członków familji....

Angust Pobiałą, wybierając się z Suchoborn myślał także o ostatniej odpowiedzi jaką odebrał od Kasztelanica, na trzy dni przed jego śmiercią, gdy mu posłał ananasy i kouserwy jakieś.

— Te pewna, że wo mnie poznał człowieka tego świata, tej strefy towarzyskiej do której sam należał. Nie wątpię, że musiał pamiętać o mnie! Kto wie, jeśli mi wszystko zapisał, niepospolity kłopot mnie czeka! Familja rzuci się na mnie, nie obejdzie się bez udziałów!....

Tomasz rachował na dowcip, który ocenić miał Kasztelanien, Józef na swoją gospodarność i oszczędność; oba w duchu przemysłiwali, jak sobie postąpią, jeśli nieboszczyk im zostawi swoją fortunę. Nie jedna nadzieja

próżna, nie jeden daremny frasunek, przeleciały przez ich zakłopotane głowy.

Najskromniej, najciszej i najpokorniej znajdowali się Sobocki i Jasiak, i na twarzach ich tylko jakiś niepokój widzieć się dawał. Zaraz po śmierci Kasztelanica, gdy się zajęto przygotowaniami do pogrzebu, przeznaczył Jaś wszelkimi sposobami wejść do pokojów, i nieczekając testamentu, pochwycić coby się dało na schedę swoją. Stał mu jednak na zawadzie Puślikowski, który stróżował około domu niezmordowany, i widząc przestrzeżony przez Sobockiego, a nawet Bulwę, lękający się odpowiedzialności przed resztą spadkobierców. Pomimo znajomości miejsca, posiadania klucza od pokoju tajemniczego i dwóch dni zupełnej prawie samotności w Strumieniu, Jaś nic zrobić nie mógł. Ie razy wymknął się z oficyny do dworu, znajdował tam nieodstępne Puślikowskiego, który wartował około okien i drzwi. Próbował chłopak przez strychy dostać się do zakłętogo pokoju, ale zmiarkowawszy że wdarcie się takie, zbyt widoczne zostawiłoby po sobie ślady, wyrzec się go musiał. Puślikowski, z doświadczeniem starego sługi, pozamykał co tylko było kosztowniejszego, ustanowił warty, i nawet groźbom Jasia się opierał, nie pozwalając mu uad miarę gospodarzyć. Bulwa tymczasem korzystał z pory i łwijał się na bokach, gdzie go nikt dopliować nie mógł.

Jaś za przybyciem delegowanych od sądu, pod pozorem nowego opieczetowania, chciał chociażby wpaść tylko ko zamkniętych pokojów, ale i tu Puślikowski dając sobie radę, uparł się żeby nowe przyłożono pieczęci, nie wchodząc do środka, gdyż przejrzenie i spisanie pozostałości w tej chwili do sądu nie uależało. Jaś tylko nie zapomniiał opieczetowania kantorka, do którego włożył testament.

Ciało nieboszczyka, już po uczynionej sekcji, która okazała wyraźne ślady apopleksji, po nabalsamowaniu, wzniesione zostało na wsporniki katafalk. Pogrzeb naturalnie miał być przepyszny i naokoło zaproszono wszystkich księży; proboszcza tylko nie było, bo wyjechał



właśnie do familji i wikary go zastąpić musiał. Trzeciego dnia już cała niemal familja zgromadziła się w Strumieniu, i w jej asystencji, przy blasku tysiąca świec, pochodni i smolnych beczek, eksportowano ciało do cmentarzowej kaplicy parafialnego kościółka.

Dziwny to był pogrzeb, na którym w jednej twarzy szczerego nie czytałeś żalu, który łzy jednej nie wycisnął. Z oczu wszystkich patrzała tylko ciekawość i niepokój.

Bulwa sam trochę się roztkliwiał, przewidując zapewne ściślejsze obrachunki, kto wie, może wygnanie z raj! Jaś silił się na łzy i wydobyć ich nie umiał, zakrywał więc oczy chustką, żeby nie pokazać, że są suche.

Z ludzi nikt nie pożegnał pana z tem uczuciem, które mimowolnie pamięć dobrodziejstw wyrывa z piersi; zimnemi, obojętnemi oczyma patrzali na świecącą trumnę i tłum spadkobierców, w których się domyślali panów nowych.

Ruszył się karawan z przed ganku dworu, jak gdyby nie niósł na sobie ostatnich szczątków tego, co był duszą miejsca, które opuszczał.... zaśpiewali księża, zajaśniały pochodnie, zahuczały powozy, a za chwilę pustką niemą stał dworzec, i na gościńcu tylko widać było sznur światła, daleko wyciągnięny ku cmentarzowi miasteczka.

Od pół drogi zawrócił się Jasiek, obawiając się szkody we dworze, bo wszystkich posadzał, i nie spokojny czuwać chciał nad tem co za swe dobro uważał wcześniej; zasiadł w oniemiałej salce, gdzie tylekroć przegrał w warcaby z Kasztelanicem, podparł się na łokciu i zadumał. Serce mu biło na myśl o testamencie. A nuż go za nieważny uznają? nuż się podrobienia domysła? Gdyby nawet się utrzymał, jakie krzyki, jakie żale.... jaki gniew całej familji wywoła!! Może raz pierwszy w tej chwili uroczystej, Jaś instynktowo poczuł, że zrobił niegodziwie, że pieniądź nie potrafi opłacić zgryzoty. Ale ta myśl przelotna, którą anioł stróż opromienił jego czoło na chwilę, zaraz ustąpiła

miejsca gorącym pragnieniom życia, co się złotemi wroty przed nim otworzyć miało. I mar tysiące, wywołanych namietnościami, przesuwało się przed oczyma rozognionego chłopaka, aż potem zimnym oblało się spracowane czoło jego.

Głęboka cisza panowała we dworze, tylko gdzieś, puszczyk krzyczał na ogrodach i strażę werda powtarzały w oddaleniu: zegar, co tyle godzin wymierzył zmarłemu, szedł zwykłym krokiem licząc mu chwile wieczności poczętej.

W tem drzwi skrzypnęły od jadalnej sali i zamyślonny Jasiek porwał się przelekły: skrzywiona twarz Sobockiego ukazała się ostrożnie.... chwiejącym się krokiem, zastanowił na środku, obejrzał, nie powitał nawet Jasia, chociaż go zobaczył.

Rysy jego malowały walkę w duszy, obawę jakąś... wzrok miał oblakany, oczy osowiałe, a rękę gryzł do krwi jak upiór, którego grzech czy wspomnienie na świat wywołało. Nie uszedł oka Jasia ten nieczwycajny wyraz twarzy Sobockiego, i obawa z oblicza przybyłego przeszła na rysy brata.

— Co ci jest? — zawołał zbliżając się — co ci jest? mieliżbyśmy obawiać się czego?

Sobocki zaciął usta i cicho wyszepnął:

— Testament! testament włożony?

— Włożyłem go, ale masz jaką wątpliwość? mów, możemy złamać pieczęci, wykraść go i złożyć to na ludzi... w ten sposób weźmiemy cokolwiek.

— Nie! nie! nie! powinniśmy mieć wątpliwości.... a jednak — dodał Sobocki — nie wiem czemu, pierwszy raz w życiu własnego dzieła się boję! Wolalbym był tego nie robić.

Jaś z przestraczem spojrzał na niego.

— Myślisz, że mogą się poznać na fałszerstwie?

— A któż to wie — jakby naumyślnie dodał Sobocki. — Zdaje mi się, że wszystkie formy są zachowane, ale jedna drobna, niepostrzeżona okoliczność, może obalić wszystko. Ja nie wiem...

— Zdaje mi się, że sam dla siebie pracując nie mo-

głem dobrowolnie źle zrobić — uśmiechając się szatańsko zawołał Sobocki.

— Dla nas, chcesz mówić — poprawił Jaś.

Obudwom słów zabrakło, w milczeniu przeszli po sali, z chmurnymi czołami, czytając niekiedy myśli swoje w wejrzeniach przelektłych. Im bardziej zbliżała się chwila, tem okrutniej strach każdemu towarzyszący występкови ich ogarniał. Sobocki, któremu ten stan był niezwyčajny, przypisywał go po części zbytnej swojej od rana trzeźwości i zażądał wina.

Posłano do piwnicy, przyniesiono spleśniałą butelkę i dwaj współnicy zasiedli przy niej za stołem, czerpiąc odwagę, której obu zabrakło, w upojeniu i szale.

Tak zszedł ten pierwszy wieczór w opustoszałym dworze, a scena w sali powtórzyła się z malemi odmianami, po wszystkich kątach Strumieniowskiej siedziby.... Na folwarku, Bulwa ponczykiem przyjmował pisarzy i ekonomów, w kredensie pocieszano się piwem i wódką. W oficynach stały flasze na stolach.

Tymczasem ciało doszło do cmentarnej kaplicy i familja nieboszczyka zanocowała w miasteczku, czekając jutrzejszego pogrzebu. Z sąsiedztwa ciekawość widzenia wspaniałego obrzędu sprowadziła także osób mnóstwo.

Natlok był ogromny, wystawność wielka, księży mnóstwo i nabożeństwo poczęło się od rana. Wielkiem jednak zadaniem były mowy, któremi należało przeprowadzić zmarłego do mogiły; cóż o nim powiedzieć i w czem go pochwalić? Musiano uciec się do ogólników i mówić o śmierci. Nareszcie, po przemowach, po śpiewach, trumna spuścila się do murowanego grobu i przytomni rzucili na nią garścią piasku, ostatnim z modlitwą podarkiem dla duszy i ciała. Przygotowano stypę w obszernym budynku, który ledwie ciekawych i głodnych mógł pomieścić, a biesiada ta wystawiała obraz najobojętniejszego ścisku. Kupkami rozdzieleni goście, rozmawiali po cichu o życiu nieboszczyka, sądzili go surowo, powtarzali o nim dziwne baśnie, które dawniej jeszcze krążyły; jedli, pili i rozjechali się jedni utrzymując że karawan nie dość był przepy-

szny, drudzy, że świec u katafalku postawiono oszczędnie, inni że wino którem częstowano nie było najlepsze; dziadowie pod kościołem piszczeli, że im nie dość suto dano jałmużnę.

Z południa, rodzina Kasztelanica poczęła powoli powracać do Strumienia, i nad wieczorem salonik pełen był już gości, na których twarzach występowały wszystkie uczucia niepokoju, oczekiwania i ciekawości, znamionujące podobne zebrania. Rozprawiano głośno o możliwości znalezienia testamentu i ogólnem zdaniem było, że Kasztelaniec nie miał czasu go zrobić; każdy jednak po cichu się go spodziewał. Otwarcie pokojów i rozpieczętowanie odłożono wszakże do jutra.

Sobocki i Jasiek drżeli wyczekując chwili stanowczej, ale pierwszy nadrabiał miną jeszcze, gdy drugi zaszywał się w pokorę.

O południu nikogo w salonie nie brakowało; urzędnik przysłany dla zdjęcia pieczęci oczekiwał tylko hasła, którego nikt dać nie śmiał. Zbliżała się godzina rozwiązania wszystkich nadziei i obaw. Pan Piotr, który wiekiem i powagą przodkował, odezwał się że przystępują do rozpatrzenia pozostałości i poszukiwania testamentu. W tejże chwili Sobocki, który najwięcej mówił i krzątał się, nagle zniknął; Jaś zobaczył to, ale że użyty został za przewodnika, choć go to niepokoiło, odstąpić nie mógł.

Pierwsze drzwi do pokoju, oddzielającego salon od sypialni, zostały otworzone i biuro w którym znajdował się testament wpadło naprzód w oczy wszystkim. Złamano pieczęci... poczęto poszukiwanie, i szufladka po szufladce rozpatrywano nagromadzone papiery, po większej części mniej ważne. Były to listy i kopje odpowiedzi, rachunki, notatki, rejestra; już ostatnią kryjówkę pominąć nawet mieli, sądząc ze znalezionej, że tu nic więcej oczekiwać nie można, gdy pan Piotr wysunął się i zawolał:

— Co to jest?

— Testament! — krzyknął ktoś spojrzawszy na napis i pieczęci.

— Testament! — powtórzyło kilka głosów, między którymi pana Pawła górował...

Oczy wszystkich zwróciły się na plik, i serca za-  
biły, pomieszanie rozlało się po twarzach.

— Stary zrobił testament! zrobił testament! —  
odzywali się niektórzy wyciągając szyje i usiłując przy-  
bliżyć do biura — to rzecz dziwna!

— Nietylko że go zrobił — dodał pan Piotr z uwagą  
mu się przypatrując — ale że go złożył w przechodnim  
pokoju, w biurze widocznie przeznaczonem na skład  
najmniej ważnych papierzyków.

— Może właśnie — przerwał urzędnik uśmiechając  
się — tam gdzie wiedział, że się go najmniej spodzie-  
wać można...

— Prosimy o odczytanie! — krzyknął niecierpliwy  
pan Paweł, myśląc już zaraz o wyrwaniu się do domu,  
i traktacjach z Hieronimem, jeśliby było o co.

— Za pozwoleniem — wstrzymał pan Piotr — na-  
przód, obejdźmy wszystko, przekonajmy się że pieczęci  
nienaruszone... później przystąpimy do czytania ostatniej  
woli zmarłego.

Milczeniem wszyscy na to zezwolili; testament za-  
trzymał urzędnik, biuro zostało zamknięte, poszli dalej.

W sypialnym pokoju wszystko jeszcze przypominało  
niedawno ztąd odbiegłe życie, tylko zegarki nie po-  
nakręcane stały; krzesło z którego spadł uderzony  
apopleksją Kasztelanic, jeszcze stało na środku, obok  
na stoliczku szklanka z lemoniadą, przyniesiona przez  
panią Tryze. Oczy spadkobierców chciwie się zwracały  
na wszystkie strony, szukając kosztowności, o których  
tyle prawiono, ale ich nie było wiele na wierzchu.  
Wzmogła się ciekawość gdy przyszedli do drzwi tajem-  
niczego pokoju, w którym po kilka godzin na dzień  
trawił starzec. Jaś przystąpił z kluczem; drzwi których  
progu nie przeszedł oddawna nikt obcy, otwarły się  
dla ciżby. Nic nie wyrówna zajęciu, z jakim się tu  
cisnęli wszyscy...

Pokój ten widziany przez Jasia, jużemy powierz-  
chownie opisali; w pośrodku był stół z fotelem i krze-

słom, na którym leżały rachunki jakieś niezrozumiałe i kilka talij kart, kałamarz i ołówki. Na ścianach parę obrazów, nędznych kopij z włoskiej szkoły, wystawiały szkaradue sceny rozpusty... Niektórzy uśmiechnęli się spojrzawszy na nie, inni odwrócili oczy. Szafy i kufry pozamykane były szczelnie; dziedzice nie śmieli ich jeszcze przetrząsać, odemknęto tylko jedną i znaleziono stosy kart, flaszek, proszków, pigulek i znowu rachunki....

Każdy rad był się dowiedzieć, co się tam działo w tych okutych skrzyniach, które do koła pokój otaczały, w szkatułach i szafeczkach poustawianych po kątach; nikt nie śmiał zaproponować oglądu. Rzuciwszy więc tylko okiem po izbie do czasu zrobienia inwentarza, wysunęli się po jednemu dziedzice i znowu przyłożono pieczęci... a urzędnik zabrał klucze.

Każdemu spieszno było do testamentu, i gestem kołom stanęli wszyscy przy urzędniku, który powoli rezerwując stan koperty, nienaruszoność pieczęci rozpotał arkusz.

Na nim było tylko kilka wierszy.

Jaś drżał jak liść; cisza głęboka panowała w sali..., oczekiwanie wyrażało się posępnem, głuchem milczeniem. Ostatnia wola zmarłego, zamkniętą była w kilku słowach, zapisywał cały swój majątek dorobkowy Antoninie córce Józefa Zawilskiego i mężowi jej Sobockiemu, oddając wszystko pod zarząd męża, a Jasiowi i Michałowi Zawilskim, zostawując po 50.000 złotych; resztę familji usuwał zupełnie.

Jaś jakby piorunem rażony, zbladł, usta zaciął i gdyby nie to, że był oparty o stół, upadłby może, tak silnie uczył cios, który go raził. Wszyscy zdziwieni, osłupieli prawie, spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc ani powodu, ani znaczenia tak dziwnego testamentu.

— Cóż to jest? — zawołał nareszcie pan Piotr biorąc do ręki papier, na którym znalazł podpisy świadków zmarłych i datę dwuletnią. — Co to jest? co to znaczy, dlaczego zmarły zapisał wszystko jej jednej?



Na to zapytanie naiwnie rzucone, nikt nie odpowiedział, bo wszyscy je właśnie zdumieni sobie samym zadawali, nie umiejąc rozwiązać. W twarzach przytomnych malował się zawód doznany, boleść, niepokój, niepewność; z kolei brali do rąk testament, rozpatrywali go i nie wiedzieli co począć. Sobockiego jeszcze nie było.... Wszedł właśnie niezgrabnie ndając obojętność, gdy pan Antoni włożywszy na nos okulary, po raz trzeci odczytywał wolę zmarłego, kiwając głową i czmychając nad każdym wyrazem.

— Winszuję państwu — odezwał się poważnie do przybyłego pan Piotr, wskazując ręką na kartę — żona i pan jesteście spadkobiercami zmarłego wyłączniemi. Pan Jan i Michał biorą tylko po pięćdziesiąt tysięcy. Nie pojmuję z nas nikt tego rozporządzenia, to pewna, ale je szanować będziemy....

Sobocki, zapomniawszy odegrać zdziwienia i radości, jak wypadło, podniósł głowę na obietnicę szanowania woli nieboszczyka z nśmiechem prawie szyderskim, mogącym znaczyć: — Chcielibyście ukąsić, ale nie potraficie.

Kilku uważniejszych uderzeni zostali wyrazem jego twarzy, dziwnie z okolicznościami niezgodnym.... Sobocki ukośnie spojrział na Jasia, którego okiem szukał, i zadrżał czytając w nim złość, jaką wyrażały rozpalone czy, chmurne czoło i zacięte do krwi wargi, z których kropla ciekła czerwona.

— Pan Piotr — odezwał się powolnie Antoni, wznosząc oczy ku Sobockiemu, — Pan Piotr mówi to w swoim imieniu, gdyż my, pozostali spadkobiercy nieboszczyka, nie myślimy przyjmować testamentu, dopóki go ścisły rozbiór nie okaże prawomocnym.

— Jakto? — obruszył się Kancelista. — Państwo byście śmieli mn zaprzeczyć?

— Naprzód — powolnie dodał August Pobiałą z wysokości spoglądając na Sobockiego, — nic nie dowodzi, że późniejszego testamentu nie ma! Są tu formy! ale rzucony był do linrka między śmiecie, w przechodnim pokoju, datowany od lat dwóch; trochę osobliwsza i to,

że świadkowie podpisani oba umarli! Prosimy o złożenie oryginału w sądzie....

Zadrzał Sobocki, widocznie zmieszał się, chciał njsć, wstrzymał, odwaga go opuszczała. Nie spodziewał się widać żadnej opozycji, i ta go nie przygotowanym schwyciła. Wzruszył ramionami, jak mógł zdobył na umiarkowanie i po chwili wybałnął:

— Anim wiedział o takiej woli zmarłego, anim się o nią starał.... zresztą, jeśli do prawa nieć się będzie potrzeba, z obowiązku męża, muszę bronić majątku żony mojej i dziecięcia.

— Ciekawym — syknął Jaś z kątką nagle, — jak opiekę Antosi i jej jedynaka powierzyć można człowiekowi, który ją zmusił do ucieczki z własnego domu?

Śmiech szyderski towarzyszył tym kilku wyrazom z pogardą wyrzeczoną. Sobocki spuścił głowę.

— Wszystko to — rzekł gniew tłumiąc — prawo rozstrzygnie; ja, jako jedyny spadkobierca proszę o zdanie mi majątku.... Ci panowie niech się procesują kiedy chcą.

— Powoli! powoli! — przerwali Pobiałowie i pan Piotr — my żądamy pieczęci, administracji i procesu!

Nikt nie zważał, jak wśród zamieszania zrodzonego tą sceną, Paweł, który nie wiedział co z sobą zrobić, a miał wyraźny rozkaz od żony przybycia dla narady natychmiast po odczytaniu testamentu, wysunął się z pokoju, dopadł swojej bryczki i poleciał do domu.

Byłby rozpaczał zaprawdę, gdyby opór pała Piotra, Antoniego i Pobiałów, nie czynił mu nadziei złamania testamentu i unieważnienia go; wszakże szalenie bolała go głowa, rzucał się zjadły, zaciskał pięści i zmieniiony udęczeniem do niepoznania, wpadł do dworu w Horoszkach. Przez chwilę nikt się słowa od niego dopytać nie mógł..... Hiacynta trzeźwila go, żona niecierpliwiła się, córka ruszała ramionami z politowaniem.

— Cóż się stało? Był testament!

— Był! był!

— Komuż zapisał? komu zapisał?

— Autosi Sobockiej....

— Ale to nie może być! Cóż jej zapisał?

— Wszystko!

— Wszystko! — krzyknęła Julia łamiąc ręce i spoglądając na Petrę. — Rozumiem — dodała z gorzkim uśmiechem. — Pawle! Pawle, czy ci się nie śni, czyż to być może?....

— Tak jest.

— I wy na to zezwalacie!

— My, to jest Piotr, ojciec i inni, nie chcą na to pozwolić, będzie proces.... możnaby w ciągu sprawy, widząc jak to pójdzie, ponabywać pretensje.... Właśnie przyjechałem się z tobą naradzić.... ojciec postąpi jak ja go namówię.... Czy się mamy łączyć do procesu?

— Do procesu! do ostatniej koszuli! — odezwiała się Julia — to się ma rozumieć! tu nie ma nad czym myśleć. Waćpan odmień konie, siadaj i jedź napowrót.... będziemy się procesować! musimy! Całą fortunę jej jednej, to się nie utrzyma! to być nie może.

Nie dano nawet wytchnąć Pawłowi, który napojony naprędce fusami zamiast kawy, musiał wsiąść na bryczkę znowu, z poleceniem żony aby się procesowano do upadłego, i ruszył nazad do Strumienia.

Chciał on wstąpić do Hieronima i oznajmić mu o testamencie, ale Julia teraz mniej o braterstwo dbająca. powiedziała mu, że do nich z tem poszle, i czem prędzej wyprawiła napowrót.

Hieronim, wróciwszy z pola późnym wieczorem, znalazł karteczkę, odczytał ją, nie zdziwił się wcale. ruszył ramionami i do żony się tylko odezwał:

— Widzisz kochanie, otóż i po Horoszkach i po naszych nadziejach! Antosia bierze owe miljony! Cha! cha! niechże ja, to ja.... niewielem się i niedługo spodziewał; ale inni, co za zawód okrutny!.... Doprawdy żal mi ich serdecznie.

Konstancja z westchnieniem spuściła głowę: — Wola Boża — rzekła — szczęściem, że cię to nie trapi!

Bryczka pana Pawła, wpadająca na dziedziniec z jednej strony, zetknęła się prawie z drugą, od parafjal-

nego miasteczka wiozącą księdza proboszcza Bakałowskiego. Z nim razem weszli do sali na dole, w której niemal całe wczorajsze zgromadzenie znajdowało się jeszcze, miano rozpoczynać spisywanie inwentarzy i ścisły przegląd papierów, gdyż wielu z familji oczekiwali w nich czegoś jeszcze....

Na progu ukazujący się proboszcz, zwabił naprzeciwko siebie pana Piotra, Antoniego i Augusta — poszli ku niemu witając go uprzejmie.

— Darujcie mi panowie Dobrodzieje — edezwał się kapłan — alem opóźnieniu nie winien... byłem u krewnych, nie przewidywałem nigdy tak nagłej śmierci Kasztelanica....

— Któżby się był mógł spodziewać tego — odparł pan August. — Wszakże dziękujemy panu Dobrodziejowi za starania jego wikariusza; wszystko co się tyczy pogrzebu odbyło się jak najprzyzwoiciej....

Ksiądz skłonił głowę.

— Ja bo mam względem Waćpanów Dobrodziejów inny jeszcze obowiązek.

— Obowiązek? — podchwycił pan Piotr.

— A tak jest, nieboszczyk powierzył mi testament! — rzekł ksiądz Bakałowski.

Sobocki, który odopchnięty od wszystkich, stał w kącie z wyrazem wyzywu na twarzy, dosłyszał z cicha wymówione słowa, porwał się z miejsca i zdrętwiał.

— Testament! — powtórzyli wszyscy! — drugi testament! drugi testament! I odżywione na twarzach nadzieje błysnęły, a co żyło skupiło się do księdza.

— Jaki drugi? — zapytał proboszcz — alboż był jaki inny? ja wiem z pewnością, że zmarły ten jeden tylko przygotował....

Głuchem milczeniem przyjęto to wyrazy i oczy zwróciły się na Sobockiego, który zdawał się chcieć a nie mógł uciekać. Stał jak obwiniony, potępiając się swoim przestępstwem.

— Tak jest — kończył ksiądz Bakałowski — nieboszczyk, którego raz tylko widziałem, na krótko przed śmiercią swoją, wezwał mnie do siebie pod pozorem

układu o dziesięciny. Przybyłem, ale mi nie dał mówić o nich, i począwszy się uskarżać na tych co go otaczali, nie mogąc nikomu zaufać, oddał mi swoją wolę ostatnią, wyraźnie nadmieniwszy, że to był jedyny jaki zrobił testament.

To mówiąc proboszcz wydobył kopertę starannie opieczętowaną i ukazał ją przytomnym.

— Za pozwoleniem — rzekł wymownie pan August — ponieważ charakter kapłana i osoby jego ręczy za rzetelność tego co Waćpan Dobrodziej nam powiadasz, cóż znaczy pierwszy testament? Były to więc rzeczy podobione... Stary axiomat, is fecit cui prodest, zniewala nas naprzód upewnić się o osobie tego, którego mamy prawo uważać za szalbierza...

Obrócił się do urzędnika, wzywając go żeby Sobockiego aresztowano, gdy kancelista nagle przecisnął się przez ciżbę stojących i gnany strachem panicznym, poczał uciekać. Ruszył się wprawdzie dla formy urzędnik, ale nikt nie chciał więcej łapać obwinionego, który szczęśliwie umknąć potrafił.

Teraz większa jeszcze ciekawość podbudzała do odczytania testamentu, a pan Paweł, docisnąwszy się do stolika przy którym otwarty został, uchem ciekawem chwycił następujące dobitnie odczytane wyrazy:

„Nie miałem myśli i zamiaru majątkiem moim rozporządzać, bo mi to zupełnie obojętne, kto go po mnie weźmie; dla nikogo z krewnych moich nie mam szczególnego afektu, ani wdzięczności. Ostatniemi czasy nadszkakiwania jednych, zdrady drugich osób do familji należących, poddały mi myśl zawiedzenia nadziei wszystkich. Tyle mi dokuczali i ci których miałem przy sobie, i ci którzy się naciskali, obsypując grzecznościami i interesowanemi nadszkakiwaniami, że powziąłem niezłamaną wolę zostawienia majątku komuś całkiem mi nieznajomemu. A że z całej familji mojej, jeden tylko pan Hieronim Zawilski nigdy u mnie nie był, nie mi nigdy nie przysłał, listów do mnie nie pisywał, i z tego wnoszę, że więcej wart od innych, których miałem szczęście poznać; przeto temuż JMP. Hiero-

nimowi Zawilskiemu, synowi brata mojego Antoniego, przelewam, zapisuję, zostawiam, daję i darowuję, wszystko co w dniu śmierci mojej, w majątku ruchomym i nieruchomym mieć będę, nic nie wyjmując i nie ekscypując. Ażeby zaś ta wola moja najmniejszej nie ulegała wątpliwości, drugi podobnie co do słowa spisany testament, przesyłam do sądu głównego. Co własnoręcznie, przytomny na ciele i umyśle zupełnie zdrów, podpisuję.

*Stanisław z Zawila Zawilski*

Kasztelanic Pr... mp.

Paweł mało nie oszalał słysząc te słowa, nastawiał uszy, usiłował zrozumieć, w głowie mu się mięszało, nie pojmował.

Pan Piotr mimowolnie się rozśmiał, a za nim pan August choć kwaśno, ale dla dobrego tonu poklasnęła.

— A to pocieszna historia! — zawołał stary pan Antoni zrywając się z krzeselka — Hieronim sukcesduje! Hieronim! to żarty chyba!

— Wcale nie żarty — odparł ksiądz Bakałowski — najmniejszej nie ma kwestji; testament jest jak być może najważniejszym, a jakkolwiek powody dziwne, wie podobno Bóg co robi.

Reszta współdziedziców stała, poglądając wzajemnie na kwaśne swe twarze, aż wielkim chórem wybuchło oburzenie.

— To szalenieć! — wołał pan Józef kulą stukając o podłogę — patrzcie! odpisywał ślicznie! dziękował, wdzięczył się a figla chciał spłatać za nasze dobre chęci. Niech żeby był powiedział, że mu te grzeczności nie w smak, bylibyśmy się chętnie od nich uwolnili...

— Taki testament — dodał pan Paweł — w pierwszym ferworze, może być zwalony, bo w nim jest widoczny ślad pomieszanja!

Inni tę myśl pochwycili za nim.

— Tak, tak! to dowód nieprzytomności! to wyraźne pomieszanie.



— Za pozwoleniem — przerwał proboszcz żywo — mówiłem z nim prawie całą godzinę, i poświadczę, że pisać to był najzupełniej przytomny. Obowiązkiem jest moim uczynić to zeznanie, a obowiązkowi nie uchybię.

Zawstydził się trochę pan Paweł, zamilkli żwawsii, puszczali głowy...

— Nie! nie! — zawołał pan Piotr — nie mamy i nie możemy nic przeciwko temu testamentowi; ja pierwszy bronić go będę. — Hieronim zasłużył na tę łaskę losu; zresztą, któż z nas dorobkowym majątkiem rozporządzić prawa mu odmówi? Ktokolwiek myśli o procesie niech będzie pewien, że darmo by się nań naraził — testament się utrzyma.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — rzekł ksiądz.

— I ja tak myślę — dodał pan Antoni.

— To pewna! — potwierdził urzędnik.

Inni milczeniem się zgadzali. W istocie, nie było powodu oponowania; Paweł zwąchał że nie ma innej rady jak zawczasu sobie brata zaskarbić; znowu więc z pokoju się cichaczem wymknął, siadł na ledwie wyprężoną bryczkę, i choćby konie popadać miały, poleciał nazad.

Całą noc tak tłukł się po najgorszej drodze, usiłując wyprzedzić umyślnego, którego do Hieronima z oznajmieniem wyprawić miano. Nad rankiem, niepopasając nigdzie, ochwaciwszy parę koni, stanął przed zamkniętym dworkiem, a że pilno mu było zobaczyć się z żoną, począł stukać do drzwi i budzić w najlepsze usypiających jeszcze.

Julia przeleżała się spostrzegłszy go przybywającego o tak niezwykłej godzinie, a miarkując z tego jak ważne przyznać go musiały okoliczności, dostała palpitacji serca. Panna Hiacynta wbiegła w nocnym dezalbiku, przerażająca swą kościstą fizjognomią, ale tak ciekawa, że ją nawet od napadu na pokój sypialny, przytomność pana Pawła nie mogła powstrzymać.

Ocucono serdecznym śmiechem zagrożoną Julję, i Paweł, widząc jaki skutek wywarło na nią same jego

przybycie, nie wiedział już czy dalej mówić czy milczeć; łatwo mu się było domyśleć, co za wrażenie zrobić może wiadomość o drugim testamencie, na korzyść Hieronima.

Wahał się jeszcze co począć, gdy Julja wpadła nań z gniewem prawie.

— Mówże, czegoś tak wleciał i mnie przeraził; co się znowu stało z tą przekłętą sukcesją?

— O prawda że przekłeta! — westchnął pan Paweł, zbolale czując już w sobie kości od nieustannych przejażdżek — ale tu znowu całkiem nowe historie!

— Cóż nowego! co nowego?

— Oto naprzód że pierwszy testament był podrobiony i pokazał się fałszywy; pisał go widać i podrzucił Sobocki, jak? nikt nie wie. Kasztelanic zrobił wprawdzie testament, ale go powierzył do schowania księdzu Bakałowskiemu. Proboszcza nie było gdy umarł, dopiero teraz powrócił i zjechał z testamentem. Sobocki, jak się tylko dowiedział o tem, drapnął.

— Ale cóż w nowym testamencie, na miłość Boga? — krzyknęła Julja — czy go czytali?

— Czytali — dodał smutnie pan Paweł — ale i drugi nie rozumniejszy od pierwszego.

— I komuż znowu zapisał? Jasiowi?

— Gdzież tam!

— Faworytom?

— O! nigdy nie zgadniesz.... To był szalony starzec, pisze że tyle mu familja dokuczyła, iż jednemu temu zapisuje, którego w życiu na oczy nie widział, to jest Hieronimowi!

Julja krzyknęła przeraźliwie, w jednej koszuli porwała się z łóżka i poczęła biegać, wołając:

— Proces! proces! to być nie może!

— Ani sposobu zwalić testamentu! — odparł skłopotany pan Paweł — wszyscy tam nad tem myśleli, ale darmo... Teraz wszyscyśmy u łasce Hieronima.

— A! Jezu! — zawołała żona — czyż można było doczekać takiego upokorzenia! My, ubożsi od niego!

my! na jego łasce! a! to umrzeć potrzeba... Słyszysz, Hiacyntho, słyszysz to! pojęta to rzecz!

— Niechże się pani uspokoi — przerwała usiłując dogodzić latającą po pokoju panna Hiacynta. — Pani się rozchorujesz.

— Tak! a tu potrzeba radzić! — dodał Paweł, dość stoicznie znosząc fochy żony.

Julja usiadła przecie, ale strapiona, złamana, i zadumała się mocno, głęboko; westchnienie po westchnieniu burzliwie wydobywały się z jej piersi... chciała płakać i złość nie puszczała łzów.

— Co tu począć? — mruczeć zaczęła — co zrobić? upokorzenie! nieszczęście! — Czy Hieronim wie już o tem?

— Właśnie jeszcze nic dotąd nie wie, a ja mało karku nie skręciłem po nocy lecąc tu, chcąc wyprzedzić posłańców... Możemy jeszcze powtórnie się zbliżyć do niego; on nie wiele dba o miljony, kto wie, mogliśmy piękny zrobić interes!

Julja żywo się uśmiechnęła.

— Trzeba próbować — rzekła spokojniej — pójdiesz do niego jutro rano, jak gdybyś nie o drugim testamentie nie wiedział, będziesz serdecznym... musisz się starać go sobie zjednać.

— Pójdę — odpowiedział Paweł — popróbuje, ale mnie inna myśl przychodziła..

— Otóżem ciekawa.

— Na co jemu taki majątek! — odparł mąż po cichu; trochę się wstydząc przed sobą myśli, z którą się musiał wynurzyć... On o to nie dba i zająć się taką fortuną nie potrafi. Dalibyśmy mu Horoszki, niby na niewidziane schedę jego targując... kto wie, mnie się zdaje, że za nie zrzekłby się wszystkiego...

Julja pomyślała chwilę, kiwając głową.

— A! zapewne — rzekła — pięknieby to było, ale czy się uda... Dowiedzą się ludzie, że na pewno traktowałeś... będą cię palcami wytykać za brata.

— O! moja pani! — odważył się powiedzieć pan Paweł — milionowych nie wytykają palcami...

— Upokarzająca to dla ludzkości, ale pełna rzeczywistości prawda! — powiedziała panna Hiacynta.

— Nie! nie — szepnęła Julja... to by się utrzymać nie mogło... to niepodobna!

— Hieronim jak raz da słowo, dla milionów go nie złamie — rzekł Paweł.

— Myślisz?

— Jestem tego najpewniejszy.

— Ale tobą pogardzać będzie jak oszustem...

Uśmiechnął się pan Paweł.

— Miliony Julko, to wielka rzecz; warto coś dla nich przecierpieć, a w sumieniu będę spokojny, bo Hieronimowi to niepotrzebne — naiwnie dokończył brat.

— Róbże sobie co chcesz, kiedyś tak rozumny — odpowiedziała kładąc się w łóżku Julja — ale to już nie będzie ani moją radą, ani moją głową; coś z niego skorzystać, nie mówię; tak go podejść znowu! to się choć wynosić z kraju...

— No! to się wyniesiemy! — zawołał pan Paweł — ja z tym majątkiem znajdę wszędzie kraj i przyjaciół, i stosunki...

Julja pomiarkowała, że szlachetnego zapалу męża wstrzymać nie potrafi, wołała ustąpić mu, zostawując sobie w zapasie swobodę wyrzucania mu jego postępuku, jeśliby się nie udał.

Pan Paweł, jakkolwiek umęczony mocno drogą, nie położył się spać, konie kazał schować i z niecierpliwością dnia i godziny wyglądał żeby do Hieronima przystąpić. Dziwne a coraz zuchwalsze projekta przechodziły mu przez głowę — a zasadą wszystkich było oszukanie brata.

Nareszcie, niecierpliwie oczekiwany ranek zaświtał, rozedniało, pogodny zimowy dzionek, ze słońcem tak w naszej chmurnej zimie drogiem, wesołe liczko pokazał.

Później nieco można było Hieronima nie zastać, mógł nadbiedz posłaniec, potrzeba się było spieszyć i choć godzina nie ze wszystkiem się godziła do odwie-

dzin, pan Paweł pospieszył do dworku. A idąc dumał i dumał.

— Do czego to jemu! do czego! ani użyć, ani się tem pocieszyć nawet nie potrafi!

Sumienie gryzło trochę, niesprawiedliwiał się jak mógł przed samym sobą.

— Tak! tak! — mówił — on tego ani pożahuje... dosyć mu bardzo Horoszek... a już mu całe oddam i ustąpię... remanent tylko mógłbym wyekscypować... Ale nie! powiedzą że m zbyt rachunkowy! oddam mu je z remanentem, jak są!

Przed bramą spotkali się z Hieronimem, który ze strzelbą na ramieniu, wesół i uśmiechnięty, wychodzi na polowanie.

— A! dzień dobry.

— Dzień dobry ci bracie.

— Cóż to, na polowanko?

— Jak widzisz, trochę ponowy, szadz przytem, psy dobrze pójdą, może się zajączek jaki zastrzeli. Kostusia lubi zwierzynę.

— A ja, panie Hieronimie, jak widzisz, gdyby z krzyża zdjęty; powróciłem ze Strumienia, darmo kości nabiwszy. Właściem ci przyszedł zwiastować... wszak to....

— Ale ja wiem o wszystkim.

— Jakto! — z przestrachem spytał Paweł.

— Sobocki tedy sukceduje; wygramy na tem, bo z kancelarji wyleci i da nam pokój. — To mówiąc roześmiał się Hieronim i chciał iść dalej, bo mu pilno było użyć pięknego ranka; gdy Paweł, który nie bardzo rad był go puścić, wstrzymał go nieco.

— Chciałem się z bratem rozmówić trochę — rzekł — bo to jednak rzeczy nieskończone! Kto wie! będziemy się procesowali, może i co wygramy!

— A! to się sobie procesujcie i wygrywajcie — odparł obojętnie ruszając ramionami myśliwy — mnie szkoda ranka, idę do lasu...

— No! to przejdziemy się trochę razem, bo i ja chciałem nżyć świeżego powietrza — dodał szybko Paweł nie chcąc wypuścić brata.

— Ale ci to nie przywykłem może zaszkodzić? — rzekł Hieronim — ty rzadko w takiej porze się przechadzasz.

— I owszem! i owszem; ale w którą idziesz stronę?

— Ku Zahłemu, jak widzisz!

— To dobrze; ja chcę moją sienną stertę zobaczyć to będzie po drodze... pójdziemy razem.

— Nie wiem tylko czy ty się ze mną zejdziesz?

— O! ja tak szybko chodzę! nie nawierzysz! — prędko podchwycił Paweł. — Otóż, o czym to mówiliśmy! a! o tej przeklętej sukcesji! Wystaw sobie, wszyscy są za procesem...

Hieronim powtórnie ramionami ruszył.

— Jeśli chcą, niech próbują szczęścia...

— I ojciec uawet...

— Szanuję wolę jego, nie podzielam zdania...

— A więc, ty, tobyś się gotów i rzec coby na ciebie przypało? — podchwycił niby śmiejąc się Paweł.

— Zrzec się, nie — rzekł Hieronim — mam dzieci, panie Pawle; ale że należeć do procesu nie mogę to pewna... pieniędzy nie mam, głowy do niego wcale... do czegożbym się zdał?

— Wszyscy mówią, że coś wygrać możemy!...

— Dałby to Bóg, ja w to nie wierzę!

Rozmowa toczyła się tak obojętnie, i do propozycji nie było jakoś zrzeczności; choć się Paweł usiłował zbliżyć do nich, szło mu oporem, język kolowaciał w ustach... a tu strach jeszcze, by posłaniec nie nadbiegł... Szczęściem byli w polu, gdzie ich odszukać było nie łatwo.

— Co do mnie — powoli rzekł po chwili — ja muszę ojcu do procesu dopomagać... nawet miałem tę myśl, żeby wszystkich co o to nie bardzo dbają schedy ponabywać i samemu już parać się z panem Sobockim.

Hieronim spojrzał na niego, ale pan Paweł oczy miał spuszczone, miukę niewinną.

— A! nabywasz — uśmiechnął się Hieronim. (Teraz to rozumiem — dodał w duchu — po co ze mną ku



Zahałemu poszedł). Cóżbyś naprzykład dał za moje nadzieje? jam ci je gotów bardzo odstąpić.

Paweł aż zadrżał, ale pomyślał sobie: jak mu dam od razu całe Hogroszki, pomiarkuje że coś jest, będę się powoli targował — więc zaczął:

— Naprzykład, a cóżbyś ty chciał?

— Ja? — rzekł Hieronim — toby potrzeba pomyśleć co to może być warto; słuszną jest żebyś zarobił, bo cię proces i kłopotu i pieniędzy siła będzie kosztował; nie zechcesz jednak zapewne żebym znowu wiele tracił.

— Paweł tylko pomruczał coś pod nosem:

— W najszcześniejszym razie — dodał pierwszy, licząc spadek po Kasztelanicy do trzech milionów, na schedę ojca wypadłoby do sześciukroć, a że nas jest troje, po dwakroć na każdą głowę. Trzeba naturalnie żebyś coś zyskał. Mówił i uśmiechał się Hieronim, mając to wszystko za żarty; Paweł słuchał bardzo uważnie.

— Ho! ho! wysoko bo widzę cenisz to co jeszcze wydobyć z niczego potrzeba — rzekł serjo — ale ja, gdyby co do czego przyszło, ryzykuję.

— To też mówimy tylko aby mówić — odparł młodszy....

— No, ale gdyby się to na serjo traktowało? — począł Paweł znowu.

— Zdaje mi się, że to być nie może — odpowiedział pierwszy — bałbym się ciebie oszukać a ty mnie tak-żebyś nie chciał zapewne.

Gdy to mówił, wołanie jakieś za niemi słyszeć się dało; Paweł zadrżał i pobladł, Hieronim się odwrócił; ode dworku szybkim krokiem ktoś ku nim pędził. Oba poznać nie mogli kto to był taki, tylko poły starej kapoty wiatr mu podnosił, a na głowie żółciała stara lisia kapuza.

— Zaczekajmy, ktoś goni! — wstrzymał się Hieronim — choć doprawdy nie rad jestem gościowi rannemu, co mnie polowania pozbawi.

Postrzegł Paweł że nie było ratunku, i że dalsze

upieranie się w traktowaniu zgubić go mogło; obawiał się żeby Hieronimowi nie powiedziano później iż był przytomny czytaniu drugiego testamentu, ruszył tedy konceptem i poznawszy iż goniący za niemi był dziadunio Dymitr, rozśmiał się serdecznie, rzucając w objęcia Hieronima, który zdumiony, nie pojmował co się tak nagle bratu stało.

— Widzisz, jakby to cię łatwo podejść i oszukać można, chciałem ci dać nauce!

— Co to jest?

— Nic.... tylko masz wiedzieć, że Kasztelanic cały majątek tobie zapisał!

— Dosyć żartów! — chmurno rzekł młodszy brat, co to ma znaczyć?

— Przysięgam ci, że tak jest! Cały, cały majątek!

Hieronim zupełnie nie rozumiał, a już i dziadunio nadchodził coraz żywszym krokiem, wołając z daleka:

— Szczęśliwomu szczęście<sup>1)</sup> Jak się masz kochany dziadziu! Stój! niech ci powinszuję!

— Państwoście się zmówili żeby mi głowę zawrócić! odezwał się Hieronim.

— Ale jak mi Bóg miły tak jest! tak jest! jak mówię, kochany braciszku! — krzyknął Paweł — Kasztelanic zrobił cię jedynym successorem wszystkiego.

— Cóż mu się stało? za co? jak?

— Za to żeś nigdy n niego nogą nie postął! — dodał zdyszany dziadunio, nadbiegając z oczami pełnemi łez, które i mróz i rozczulenie wyciskały. Stryjna, wujna, bis ne rodyna!<sup>2)</sup> powiadają, a tobie właśnie stryjasek się przysłużył! Oj! nie małego będziesz miał kłopotu!

I zacierał ręce i śmiał się.

— A i pan Paweł tu? — dodał obracając się ku niemu.

— Właśnie go powoli przygotowując do jego szczęścia, oznajmowałem o tem, ale nie chce wierzyć.

---

<sup>1)</sup> Szczęśliwemu szczęście.

<sup>2)</sup> Stryj — wuj — szatan nie krewny.

— To rozumiem — odparł pan Dymitr Palucki — łatwiej będzie niż szczęściu dać wiarę, ale tymczasem tak jest. Tiahny kobyło, choć tia ne myło <sup>1)</sup> Cóż ty na to, panie Hieronimie?

Hieronim zupełnie nieprzytomny prawie, wodził ręką po czole, jakby sen jakiś dziwny chciał z niego odpędzić; zamiast radości twarz jego wyrażała zamyślenie głębokie, zawrócił się ku domowi.

— To być nie może! — powtórzył raz jeszcze — mnie zapisał! mnie! którego nie znał?

— Właśnie dlatego żeś mu się nie naprzykrzał, śmiejąc się dodał dziadunio. Lubię go teraz! szalony dziad, ale mu Pan Bóg raz w życiu rozum dał! Ale taki zawsze po przysłowiu prawda, że swyj koły ne ukusyt', to uszczypne <sup>2)</sup>, bo testament nie słodki! Het! nas wszystkich obrzydził!

— Ale jakże to było? to sen chyba! — rzekł Hieronim — jeszcze nic nie rozumiem.

— Ot jak było — rzekł Dymitr — o Sobockim Waśc wiesz, że próbował testamencik sobie sporządzić, może z Jasiem na współkę. Płut na płucie jediat i płutom pohaniujut <sup>3)</sup> Tymczasem prawdziwy testament był u księdza Bakałowskiego; nadjechał z nim kiedyśmy jeszcze byli tam wszyscy, i z wielkiem podziwieniem wyczytaliśmy co słyszysz. Wyraźnie pisze, że dlatego i za to ci zapisał, iż u niego ani razu nie byłeś!

— Jakto? wszystko a wszystko! — wykrzyknął Hieronim.

— Co do grosza! witam cię milionowy chłopie — dodał dziadunio. — A co? ciężko nesty a żal pokinuty? <sup>4)</sup> — rozśmiał się staruszek.

Odurzonego tym wypadkiem pana Hieronima wiedli tak do dworu, pan Paweł uśmiechający się gorzko i wesoły dziadunio, a już naprzeciw niego szła Konstan-

---

<sup>1)</sup> Ciagnij kobyło, choć ci nie miło.

<sup>2)</sup> Swoj jak nie ukasi — to uszczypnie.

<sup>3)</sup> Łotr na łotrze jedzie, łotrem poganiają.

<sup>4)</sup> Ciężko nieść, a żal porzucić.

cja żywo, obawiając się nie bez przyczyny wrażenia, jakie wiadomość nagła mogła sprawić na mężu.

Milcząc spotkali się małżonkowie.

— Słyszałaś? — spytał Hieronim.

— Wiem! wiem! Bóg nad miarę na nas łaskaw! a! serce mi pęka! dzieci nasze będą szczęśliwe!

Hieronim dziwnie się uśmiechnął.

— Kobieto — rzekł — alboż to pieniądz daje szczęście?

— Daj ci Boże zdrowie, żeś to miał siłę w takiej chwili powiedzieć! wykrzyknął dziadunio — nie oszalesz od bogactwa!

Paweł to się uśmiechał, to krzywił i nie wiedział co począć z sobą, a odejść nie chciał, czując potrzebę zasługiwania się bratu.

— Potrzeba żebyś zaraz jechał do Strumienia — szepnął dziadunio — cała familja mnie tu po ciebie przysłała, czekając tam jegomości.

— Pozwólcie mi myśli zebrać, opamiętać się, rozmyślić, wytrzeźwić — odparł zbogacony — przyjsz jeszcze do siebie nie mogę. Boję się żeby te skarby głowy mi nie zawróciły.

— Panie Pawle — cicho szepnął Dymitr — dajmy im trochę pokój, niech się z sobą poradzą i pocieszą, bo wielką radość jest jak wielkie strapienie, nie bardzo zdrowa. Ja do Waści na śniadanie.

Jakkolwiek Pawłowi nie chciało się odechodzić, gdy go pod rękę ujął dziadunio, musiał z nim ruszyć do dworu. Hieronim usiadł na lawce z żoną i głęboko się zadumał.

W większym dworze tymczasem oczekiwano niecierpliwie powrotu pana Pawła, a Julja powtarzała, chodząc z panną Hiacyntką po pokoju: — Na co to tym ludziom! do czego to tej sroczce! prawdziwie, zawszem myślała, że los głupi, ale nie myślałam żeby do tego stopnia się omylił!

Po twarzy pana Pawła poznać było łatwo, że nie nie zrobił; nos miał czerwony od przyburozku i spu-

szczony na kwirte, ale przy dziaduniu opowiedzieć nie mógł. Westchnął tylko.

— Jakże to Hieronim przyjął? — spytała Julja.

— Zachciałaś Asiudźka — odparł stary — to dziwny człowiek — dosyt z Lacha kurki<sup>1)</sup>, jemu to nie tyle radości co kłopotu narobiło!

— Zawsze się dostanie takiemu co uawet się nie ucieszy! — szepnęła Julja.

— Ale że użyć potrafi pocziwie — to ręczę — rzekł Dymitr.

Rozmawiano długo i żywo, a było bo o czem! Tak nagle zmiana położeń, to niespodziane wzniesienie się Hieronima, konieczność przypochlebiania się tym, któremi się gardziło, w głowie obojga państwa Pawłów pomieścić się nie mogły; chmurno poglądali, wzdychali i gdyby nie staruszek, mieli wielką ochotę jedno drugiemu wymawiać niepowodzenie, którego doznali.

W parę godzin, dawszy Hieronimowi wypocząć po wrażeniu, dziaduniu ruszył do niego; ale pan Paweł nie puścił go samego, pociągnął także za uim.

Zostali oboje Hieronimostwo w pierwszej izdebce, zupełnie spokojnych i rozmawiających swobodnie; czoło miljonowego spadkobiercy już się było wypogodziło, znać tylko na powiece żony jeszcze nie zaschła łzę jakąś. Dziaduniu pilnie obejrzał twarze i wyraz ich go ucieszył.

— No! kochany Hieronimie — rzekł — Czas na czasu ne stoi<sup>2)</sup>, potrzeba ci do Strumienia jechać bo tam czekają na ciebie.

— Już kazałem zaprzęgać! — odpowiedział powolnie gospodarz.

— A i mnie weźmiesz z sobą; moja szkapa zmęczona — dodał Dymitr — pojedę z Waszmością.

— Dobrze, z całego serca.

— Ja także za bratem pospieszę — odezwał się Paweł — ale czy nie lepiejby było koczem mojej żony... pojechalibyśmy razem.

<sup>1)</sup> Dosyt z Lacha kurki.

<sup>2)</sup> Czas na czasie nie stoi.

— A mnie kocz na co? — ze śmiechem zapytał Hieronim.

— Juściż tak wózkiem zajechać?

— Cóż to szkodzi?

— Śmiać się będą.

— Niech się śmieją!

Paweł polecał wydać rozkazy zaprzęganía swojej najtyczanki; dziadunio sam został z obojgiem Hieronimostwem, ale o nic ich nie spytał, nic im nie radził. Hieronim też o spadku nie zagadał, chodził po izdebce zamysłony. Żona jego krzątała się około wyboru do drogi.

---

## VII.

Wszystkich oczy zwrócone były na drzwi, gdy Hieronim wszedł do sali w Strumieniu. Jego prosty wiejski ubiór, gdyż dziedzic milionów Kasztelanica, nie zmienił zwyczajnego swego stroju z szarego sukna, twarz ogorzała, czoło zorane pracą i niedostatkiem, dziwnie odbiły się wśród wytworniejszych ubiorów i białych lic familji, z nadskakującą witającej go grzecznością.

On tu raz pierwszy w życiu był główną figurą, ogniskiem. Niektórzy spojrzeli po sobie i widać było myśl przelatującą po twarzach. Do czego to jemu? co on z tem zrobi?

Każdy jednak pospieszył uścisnąć zamuloną dłoń wieśniaka, i starał się już poryskać go sobie, wyrazem oczu, ust lub słówkiem słodocy pełnem. Jakoś gorzko to przyjmował Hieronim, którego dusza oburzała się może na te hołdy i cześć oddawane bożkowi grosza.

Pomimo prostoty ubioru, rubasznych ruchów i wieśniaczego układu, oko postrzegacza byłoby zawsze wyróżniło tę postać, na której malował się nawet bogactwy nie zatruty spokój, szlachetność i wesele pocziwej duszy. Nikt z przytomnych nie miał tego pogodnego



spojrzenia, tej siły w sobie co on. Nie zmieszali go ludzie, nie wbiły w dumę poklony, nie upoiła woń kadzideł, — pozostał czem był.

Pierwszy pan Piotr, — przystąpił do niego.

— Hieronimie, — rzekł, — szczerze ci powiadam, że się cieszę twojem szczęściem; tyś na nie zasłużył... Daj Boże, żebyś użyć umiał na dobre tego, co ci los daje.

W milczeniu dłoń pocziwą uściśnął przybyły; za Piotrem zbliżać się poczęli wszyscy i witać i winszować i kłaniać. Szmer głuchy panował w salce.

— Patrzcie, — mówił pan August Pobiałą do Tomasza, — jakto czarodziejski ten pieniądz ludzi formuje... ten Jegomość tak już pewien siebie, tak śmiały, jakby się nieustannie o ludzi ocierał, a jednak ledwie pierwszy raz wylazł ze swojej skorupki.

— Ale wszyscy się zgadzają na to, że bardzo uczciwy człowiek!

— Wszyscy co biorą i mają miliony, są nadzwyczaj uczciwi ludzie, — z uśmiechem dowcipnym, dodał pan August.

— I czy to potrafi utrzymać, zarządzić, gospodarować, — przerwał kulawy Józef, — wątpię, wątpię!

Stary ojciec z rozrzewnieniem przystąpił do syna.

— Widzisz Hieronimku, rzekł ze łzami, — ja zawsze ci prorokowałem, że się to zle, na któreście boleli, odmienić musi. Chwała Bogu, winszuję, błogosławię ci! Nie wątpię że użyjesz dobrze i o familji, nie zapomnisz...

Rotmistrz, że to nie był wcale gadatliwy człowiek, a serce miał dobre, przyszedł tylko do Hieronima i pocałował go z obu stron w twarz, ale słowa nie rzekł.

— Nikt ci spadku nie zaprzecza — dodał po namyśle pan Piotr; prawo za tobą — a zatem chcieliśmy ci tylko powinszować...

Hieronim wciąż stał milczący.

— Za pozwoleniem — odezwał się po chwili —

wiem co jest moim obowiązkiem — chcecie mnie posłuchać.

Cisza głęboka przeleciała salę i szmer tylko cisnących się krewnych do koła Hieronima niekiedy ją przerywał. On spojrzał na dziadunia, i odezwał się śmielej:

— Nigdy w życiu nie pragnął majątku, ani posiadania jego ceniał wysoko; byłem ubogi i nauczyłem się, że ubóstwo nie jest tak wielkim złem. W spadku, który mi testament nieboszczyka przekazuje, widzę tylko zlecenie zmarłego; — powierzył mi majątek, nie mogąc go sam podzielić. Oświadczam więc, że nie chcę dziedzictwa wyłącznego, nie przyjmuję go, i do podziału równego, przypuszczam całą moją rodzinę!

Trudno odmalować wrażenie, jakie słowa te zrobiły na wszystkich. Paweł pochwyił się za głowę, ojciec Hieronima syknął i wstrząsł się tylko; inni oklaskiem i wykrzykiem zapалу, powitali oświadczenie Hieronima; Piotr tylko chwytając go za rękę zawołał:

— To nie słuszną — rzekł — powinienes i musisz mieć więcej od innych, choćby dlatego, żeś więcej cierpiał i okazał gotowość do ofiary, na którą, śmiało rzec mogę, nikt z nas zdobyćby się nie potrafił.

— Co pan Piotr mówi! co to jest! na co psuć dobrego uczynek! — odezwały się głosy zewsząd. Kiedy nie chce, pocóż mu zadawać gwałt!

Hieronim aż się uśmiechnął.

— To co na mnie wypadnie — rzekł powolnie — będzie dla mnie bardzo dostatecznem.

— Zostaw sobie Strumień przynajmniej — przerwał pan Piotr — dość będzie reszty dla nas.

— Ja zostanę w Horoszkach! — odpowiedział cicho Hieronim.

— Ja ci odstąpię Horoszek za małą cenę! — pośpiesznie dorzucił Paweł — to prawda, że lubię naszą wioseczkę bardzo, bo to i dobra i miła siedzibka, ale dla brata uczynię wszystko — oddam tanio.

— Bardzo dobrze, potem o tem! — rzekł Hieronim.

— To jakiś Cyncynatus! — szydersko dodał Pobiata — filozof! patrzcie! co za wspaniałość!...

— Ślicznie się spisał, niema co mówić! — z radością powtarzali inni. — Co to za człowiek! I poszli go szukać kolejną, chcąc podziękowaniem przypieczętować ofiarę.

Wszakże pomimo uwielbień powszechnych, przysłuchujący się baczniej, byłby w nich nie jeden charakterystyczny znalazł wykrzyknik. Wielu powtarzali po cichu: — Pstro w głowie! dobra dusza, ale mając czworo dzieci i zrękać się majątku, to coś niewidzianego!

Dziadunio zbliżył się z kolei, rozczulony, wesół:

— A szczo? zbuw sia Tato łycha, wse żyto zmołotyw <sup>1)</sup>). Dobrześ Wasan zrobił, ślicznie, pięknie i sprawiedliwie, pozwól niech cię uścisnę. — Ja tam nie nie potrzebuje, ale mi aż miło posłyszeć, że przecież znalazł się człowiek, co umiał swe żądania umiarkować i nie oszaleć od pieniędzy! Pozwól sobie jednak na niezabudź kochany Hieronimie, podarować jedno wysmienite ruskie przysłowie; jesteś może do zbytku dobry, ono ci nie zaszkodzi, gdy je pamiętać będziesz: Nie bud' sołodkij, bo tia rozłyżut nie bud' hirkij, bo rozplujut' <sup>2)</sup>). O rozplucie się nie boję, ale o rozlizanie bardzo!

Teraz winniśmy jeszcze cierpliwym czytelnikom naszym zakończenie, a z tak liczną familją jak Zawilskich, to nie mała robota; trzebać przecie o losie ich choć kilka słowy wspomnieć. Dopełnim tego cierpliwie i nudnie.

Naprzód, dla poznania jak się piszą nekrologi, i ile w nich bywa prawdy, mieścim tu całkowitą biografią Kasztelanica, ułożoną przez pana Augusta Pobiatę, i drukowaną w gazetach.

„W tych dniach prowincja nasza, bolesną poniosła stratę; śmierć porwała nam jednego z rzadkich ludzi, co był świadkiem najważniejszych w kraju wypadków

---

<sup>1)</sup> A co? zbył się ojciec licha, wszystko żyto zmłócił.

<sup>2)</sup> Nie bądź słodki, bo cię rozliżą, a gorzki, bo rozplują.

i w ciszy wiejskiej dożywał spokojnie ostatka dni, poczętych na świetnym dworze Stanisława Augusta. Bieżącego roku, dnia.. umarł w dobrach swoich Strumieniu, Stanisław syn Jana (niegdyś Kasztelana Pr...) Zawilski, były Paź a później Szambelan dworu Stanisława Poniatowskiego. Śmierć jego, wielką pustką pozostawiła znany z gościnności i dostatku, zawsze dla wszystkich otwarty, stary dwór w Strumieniu, a przerażała nas tem bardziej, że stan zdrowia nieboszczyka, jego wstrzemięźliwość i dziwnie regularne życie, długie mu jeszcze dni rokować się zdawały. Uderzenie krwi do głowy, przecięło pasmo pięknego życia jego.

Urodzony z Paluckiej, Stanisław Zawilski zawczasu oddany został na dwór królewski, gdzie wkrótce dowcip jego, piękna postawa, miły charakter, uczyniły go ulubieńcem wszystkich. Później mianowany Szambelanem, był ozdobą towarzystw, które się oń ubiegały. Smutne wypadki krajowe tej pełnej uczucia duszy, nie dozwoliły być świadkiem klęsk, na które zaradzić nie mogła; długa podróż za granicą, do reszty wykształciła go i nadała mu dojrzałość, wytworność obyczajów, doświadczenie, jakimi świetniał dla nas po powrocie. Bolesnie czując ciągle każde wstrząśnienie krajowe, Kasztelanie usunął się na wieś, oddając samotności, rozmyślaniu i skupiając słodyczą charakteru i dowcipem niezrównanym wszystkich co mieli szczęście być do jego towarzystwa przypuszczeni. Zgon jego życiu społecznemu okolicy zadał cios nie nagrodzony. Zgasły Kasztelanie Zawilski, zostawia znaczne dobra i kapitały, które testamentem zapisał najukochańszemu z krewnych, panu Hieronimowi Zawilskiemu, ale ten dziedzie zmarłego, odziedziczył po nim wspaniałomyślność rzadką i niechęć sam z daru korzystać, do działu całą liczną rodzinę przypuścił. Jest to piękny i rzadki przykład bezinteresowności“.

Co do samego interesu, zaraz po oświadczeniu Hieronima, którego nic kosztować nie zdawało się, porządkny zrobiono inwentarz pozostałości po Kasztelanie. To co znaleziono w pokoju zaklętym i w sypialni, po

różnych kątach, w remanentach, srebrach, klejuotach i wszelkiego rodzaju kosztownościach, przechodziło ze Strumieniem, po najskromniejszym ocenieniu ziemi, trzy miliony kilka kroć sto tysięcy. Owe skrzynie i szafy tajemnicze, w istocie pełne były pieniędzy: a szkatułki pierścieni i klejnotów, zapewne kiedyś w karty powygrywanych.

Z regestrów w szafach i na stoliku leżących okazało się, po baczniejszym ich rozpatrzeniu, że Kasztelanie dawszy słowo, iż z nikim grać nie będzie, a nie mogąc go dotrzymać, grywał codziennie z samym sobą, w godzinach przez ciąg których w swoim pokoju się zamykał. Rachunki gry tej od kilkunastu lat najporządniej były utrzymywane, i Kasztelanie zwał się w nich Kasztelanicem, a przeciwnik jego Djabłem. Tak tedy z djabłem grając, po ogólnem obrachowaniu, przegrał mu pięć tysięcy dukatów, które oddano na kościół. Hieronima zmusił pan Piotr i Antoni, że oprócz dwukroć kilkudziesiąt tysięcy wypadających na jego schedę, zatrzymał dla córek srebra i kosztowności niektóre, i wszystkie remanenta gospodarskie ze Strumienia. W skutek układu z panem Pawłem, który był zawsze gotów do nabywań i układów, bo na każdym coś zarobić musiał, Horoszki w całości dostały się Hieronimowi, a do nich dokupił jeszcze wieś drugą przyległą, posagi córkom skromne zostawując w gotowiznie.

Pan Samuel, z razu dowiedziawszy się od przybyłego Rotmistrza o wszystkich wypadkach zaszłych w Strumieniu, i rzeczeniu się Hieronima, wierzyć nie chciał takiej bezinteresowności; nareszcie upewniwszy się, że tak było w istocie, zakrzyknął: że piechotę warto pójść takiego człowieka zobaczyć. Na uspokojenie jego starości trzeba było, żeby Rotmistrz, jednak, wzięwszy całą schedę do sześciukroć wynoszącą, znalazł sobie z półtorakroć posagu, bardzo miłą i przyzwoitą panienkę, która za niego wyjść przyrzekła. Samuel w obawie śmierci, zajął się zaraz wyuczaniem przyszłej żony, jak ma nieznacznie pana Wincentego prowadzić i nim kierować. Trzeba też wyznać, że pie-

niądź nie zaszkodził Rotmistrzowi, któremu nawet usta utworzył nieco i język rozwiązał.

Pobiałowie także wzięli po dwakroć każdy, gdyż siostra ich swojego się zrzekła; pan August z wielką pociechą żony, dokupił zaraz wioskę za swoje i Tomasz pieniądze, od których tylko procent płacić się zobowiązał. Józef, że gotówkę swoją odebrał, a ziemię bardzo ostrożnie chciał nabywać i trzymał w kuferku grosz, wielkiej sobie biedy napytał, bo go dniem i nocą męczył ten skarb, o którym się niesłychanie obawiał. Przyszło do tego nareszcie, że go zniósł na bilety bankowe, a że się gdzieś przytrafiło, iż podobne myszy pojadły, a drugie się spaliły, ognia i myszów znów zaczął się lękać niesłychanie. Troskliwość przesadzona o ten nabytek, ażeby go nie utracić, doprowadziła go niemal do choroby; pospieszył się z kupnem ziemi i przepłacił ją trochę, co znów nabawiło go zgryzoty, tak, że w końcu sukcesję życiem przypłacił. Bracia odziedziczyli jego majątność.

Nie się zresztą nie zmieniło w familji Pobiałów, bo pan Tomasz się nie ożenił, a piękna Domicella, za mąż pójść nie chciała. Przebąkiwano, że to postanowienie obojga spowodowane było przywiązaniem, jakiego przykład mieliśmy w historii Oświęcimów: to pewna, że wielkie były podobieństwa.

Co się tyczy dzieci Józefa, a naprzód Jaska, który nie był szczęściem posądzony o współnictwo z Sobockim, bo oszukaństwo jego zakryło winę chłopca, którego się nie domyślano, pan Piotr zaopiekował się nim w początku. Później gdy nie było sposobu nie już z niego zrobić, musiano pełnoletniego wypuścić na wolę. Żle jej użył Jasiek, rozpasał się na wszelką rozpustę i marnie zmarł, prawie wszystko wprzód straciwszy w karty lub na najniegodniejsze istoty.

Michał, brat jego, umarł w szpitalu na Bessarabii z moldawskiej febry, którą skomplikowały stare grzechy.

Sobockiego długo słychać nie było, gdyż obawiając się kryminalnego procesu, choć go nie wnoszono, drażnił daleko, ledwie mając czas jakiś temu nadać pozor.



Antosia żona jego, która ukrywała się dotąd w miasteczku, objęła naprzód swoją, potem resztki sched braci, i dosyć smutne wiodła życie. Jedyną jej pociechą była dziecina, do której namiętnie się przywiązała. W lat kilka, z dalekich stron, powrócił odarty, zstarzały, wyniszczoney Sobocki, ale po cichu; wstąpił on znów w służbę i odezwał się do żony, która odkupując się od niego, pensyjkę mu tylko wyznaczyła. Małżonkowie nie widywali się, choć upokorzony kilka razy próbował zakolatać do serca Antosi, serce to nieskore było do przebaczenia i zbyt ciężko zranione, by darować miało.

Pan Sammel raz zamieszkawszy w klasztorze, już się potem z niego wynosić nie chciał, oddając się coraz bardziej nabożeństwu, a Rotmistrza poleciwszy jego żonie, kilka razy w rok tylko, na imieniny i święta, przyjeżdżał do Borszczówki, do pana Wincentego, żeby się jego szczęściem pocieszyć i znów do miasteczka powracał.

Pan Antoni w początku chciał koniecznie pomagać w gospodarstwie to Pawłowi, to Hieronimowi; wyniósł się był nawet na wieś w tym celu, ale sprzykrzył sobie, że, jak powiadał, najlepsze jego rozporządzenia zawsze przeciwne okoliczności najgorzej obracały. Z pensyjką więc swoją, powrócił znów do znajomego nam dworku, a że i pan Samuel mieszkał w miasteczku, bracia żyli ciągle z sobą. Samuel stołował się nawet u pana Antoniego, i codziennie będąc świadkiem scen małżeńskich między bratem i bratową, napróżno starał się ich godzić. Najczęściej wysiliwszy się na daremną wymowę, zatuliwszy uszy czapką, uciekał i z wielkiem podziwieniem swoim, gdy nazajutrz przyszedł na obiad, spodziewając się zastać bój od wczoraj przeciągniony i gniewy niepohamowane, znajdował albo czułości lub spory z nowej już beczki zaczęte. Przywykł nareszcie do tej stopy wojennej, ale niemniej w każdej wrzawie brał udział pojednawczy, nigdy się tego nie domyśliwszy, że jego najlepsze chęci, całe przeciwny robiły skutek, podsycając wojnę.

Wielki to był tryumf dla pana Antoniego, że rodzina jego zbgaciła się z ojca głowy, co trapiło niezmiernie znowu z domu Judzkę, która się żadnego spadku doczekać nie mogła. W tych walkach i cierpieniach zakończyła ona życie, a nikt jej pewnie szczerzej nie żałował nad męża, co kilkadziesiąt lat się z nią nieustannie kłócił.

Od jej śmierci pan Antoni widocznie podupadł myślowo i cieleśnie, posmutniał, stał się milczący, i nie mogąc znaleźć mieszkania w dworaku, który mu nieboszczkę zbyt żywo przypominał, przeniósł się do klasztoru, zajmując celkę obok Samuela. Bracia byli odtąd nierozdzielni, a że powoli pan Samuel przekonał się, iż gniewy Antoniego były mu konieczne potrzebne, pozwolił mu się nawet z sobą kłócić, pewien, że ta zabawka nie za sobą nie pociągnie.

Hieronim u jednych swoim postępkom pozyskiwał szacunek, u drugich uchodził za dziwaka; byli tacy co go wyśmiewali, skorzystawszy z jego poczciwości. W ogólności, obcy poglądali na niego z jakimś podziwem, jak się patrzy na karła, potwora lub dziwne z daleka przywiezione zwierze. Na to się jednak wszyscy godzili, że poczciwszego człowieka trudno znaleźć było.

Obok starego dworku w Horoszkach, w którym lat tyle przecierpień niedostatek Hieronimostwo, wymurował Hieronim dwór porządnym, na starszylachecką formę, ale jak relikwii nie tknął tej małej chałupki, do której z żoną na starość chciał się przenieść; podparli ją, wyrestaurowali, i codzień modlić się tam chodziła Konstancja. Teraz już wychowanie dzieci nie było dla nich ciężkiem; Zosia powróciła do domu, wesola, szczęśliwa, piękniejsza jeszcze jeśli być mogła. Znowu jej szczebiotanie ozwalało się po kłótkach, znów brzęk jej kluczyków i szmer jej modlitwy rozweselił stęsknionych. Kiedy przybyła do Horoszek, co było ludu, sług, znajomych ze wsi się zbiegło, powitać swoją panienkę.... i ściskali ją zo łzami, czując że przybycie jej było jakby zlecenie anioła Bożego, bo się z nią zrobiło jaśniej, weselej, spokojniej.

Hieronim bynajmniej trybu swojego życia nie zmienił, pozostał sobą, dając wielki przykład niezawisłości od pieniędzy. Swobodniejszy co do czasu, więcej tylko myślał, czytał i patrzył na ten świat, w którym duszą wznioślejszą upatrywał cuda piękności i mądrości Bożej. Poważany powszechnie, chwytany gdzie tylko o osądzenie pośredniczo chodziło, stał się wkrótce wyrocznią powietników i jednym z tych ludzi, bez których żadna się sprawa nie kończy, w których wierzą ci nawet, co w nic więcej wiary nie mają.

Biednej pani Hieronimowej, czy zbytek szczęścia, jak ona go nazywała, czy inne jakie przyczyny, wcale odjęły zdrowie. Jedynem strapieniem w domu było jej cierpienie; którego jednak domysłać się musiano, bo się z niem kryła, twarzą się śmiechając do swoich drogich, usta nigdy nie przyznając do bólesci.

Potrzebaż dodać, że Staś, powróciwszy z zagranicy, ledwie dwa dni zabawił w Zrębach i do Horoszek poleciał? Ani pan Piotr ani matka nie sprzeciwiali mu się; poznanie bliższe pocziwej i ślicznej Zosi wybrało ją za synową oddawna; jedno pokrewieństwo stawało na przeszkodzie i młodość Stasia, chociaż na to dziadunio powtarzał panu Piotrowi przysłowie: *Nebojsia rano wstąty, młodo do ożenyt, kupyty chatu ukrytn, a sukniu nszytn*<sup>1)</sup>.

Wstrzymano trochę to ożenienie, ale nareszcie pobłogosławiono. Zosia, jakkolwiek szalenie przywiązana do męża, rodziców opuszczać nie chciała; musiano z jej posagu i pieniędzy pana Piotra kupić wioskę niedaleko Horoszek, a Stasiostwo więcej u rodziców niż u siebie bawili.

Na cóż głębiej zaglądać mamy, co się później stało? Później zawsze straszne, zawsze grozi mogiłami; nie zwracajmy na nie oczu.

Chłopcy Hieronima poszli dobrze; serce matki, rozum ojca, przykład obojga ich prowadził i rośli na lu-

---

<sup>1)</sup> Nie obawiaj się rano wstać, młodo się ożenić, kupić chatę pokrytą, i suknię uszytą.

dzi nżytecznych, bo zawczasu powiedział im Hieronim:

— Musicie na chłob pracować i mieć go w rękach, majątek zawczasu dany rozlouiwia i psuje: każdy się powinien dorabiać, choćby dlatego żeby praca siły w nim dnszy rozwinęła....

Pan Paweł wyuiósł się z Horoszek bez żalu i wziął część z klucza Strumieńskiego, a nawet główne fundm. Zamieszkali więc państwo w owym dworze Kasztelanickowskim i niepomalu w dumę się tem podnieśli. Julja się roztyła, Petra do reszty skwaśniała, a panna Hiacynta próżno coś wyglądająca żeby jej posag dać, wymownie skarżyła się na skamieniałość serc ludzkich.

W dworcu starym, z powodu Petry, którą za mąż wydać chciało, bojąc się, żeby do reszty nie straciła humoru, bawiono się ciągle a szumno. Choć panna jedynaczka wcale piękny miała posażek, nikt się po nią bardzo nie kwapił. Julja nie mogła znów przebaczyć Hieronimostwu, że Zosię wydali za Stasia, i Piotrowi, że raczej ich córki za synowę nie wybrał. Na zabawy do Strumienia zjeżdżało się osób mnóstwo, ale już tych, których przyjmowano w Horoszkach, nie bardzo zapraszano tutaj. Innego chciało towarzysztwa, innych związków, a te czego pragnęli nie przybywało. W ostatku, jakiś hrabia z Ukrainy zjawił się w zapusty, paradnym ekwipażem, począł bywać, niesłychanie się podobał, nawet panuie Hiacyncie, której talenta głośno uwielbiał, i dosyć chyżo się oświadczył. Naturalnie przyjęto go cheiwie, ślub został o ile możności przyspieszony, a Petra aui patrzeć na ludzi nie chciała, zostawszy hrabiną.

Nieszczęściem, pokazało się nieco później, że majątności wielkie tego przybylcza zdaleka, zbliśka obrachowane kończyły się na sześciu chłopkach, po dwóch we trzech wioskach rozłożonych. Były to resztki jakiejś pokrytej kusym fartuszkciem eksdywizji. Hrabstwo także należało do owych, co to się niesłychanie rozmnożyły w ostatnich czasach z łaski fabrykantów guzików i powozów. Dziad pana Puciatowicza, był pe-

wnie murgrabią u Ogińskich, ale niezawodnie nie hrabią.

W podziale między spadkobierców. Hieronim niko-  
go, tem mniej siostry pominąć nie mógł. Żmura wziął  
swoją część, wycalaował szwagra, zaprzysiągł się na  
wszystko co mu na myśl przyszło, że gotów bić się i  
strzelać za niego, i pojechał polować i rządzić się na  
Rohoży. Radzono mu kupić majątek wołyński, ale po-  
lesink przywykły do tego kąta, nwięził swój kapitał  
w drugiej wiosce okolicznej, na której pnie smolne  
najwięcej rachował, i począł na wielką skalę wyrabia-  
nie smoły, reszty belek i potażu. Trafił na lata do-  
brej ceny i nie zle mu się ta spekulacja powiodła,  
odebrał bowiem połowę kapitału i chodził odtąd od  
jednego do drugiego ze znajomych, dowodząc im, że  
nie ma jak Polesie.

W Zrębach, u pana Piotra, także spadek po Ka-  
sztelanien wiele się przyczynił do dalszych losów fa-  
milji; Marja wydała nareszcie najstarszą córkę Józefę  
za zamożnego obywatela, a jak to najczęściej bywa,  
kiedy jedną kto weźmie i drugie idą za nią, starają-  
cych się o Marję i Hortenzją napłynęło zaraz podo-  
statkiem. Było więc w czem wybierać i matka o ten  
wybór teraz modliła się tylko. Pan Piotr napróżno sta-  
rał się jej dowieść, że do zbytku posuwa macierzyń-  
ską swą troskliwość, turbując się o mężów, gdy ich  
nie było, turbując o starających, gdy ich Pan Bóg dał  
do syta, martwiąc nareszcie przedwcześnie już o wnu-  
czki, których jeszcze nie miała. Są takie serca jak  
pani Piotrowej, którym frasunek o drugich jest konie-  
czną potrzebą, jak pannu Antoniemu kłótnia z żoną,  
którą kochał.

Na to nigdy nie pomoże cudza rada, przestroga i  
cudze myśli, które dla zwyciężenia się, z siebie wy-  
czerpnąć potrzeba.

Dziadunio najwięcej zawsze bawił u Hieronimów,  
których dzieci nawet przysłowiów ruskich powyuczał;  
nie mógł jednak usiedzieć stale na miejscu i co kilka  
tygodni, choć mu w Horoszkach dobrze było jak u Boga  
za piecem, zaprzęgał konika i ruszał na wędrówkę,

z której nigdy nie powracał bez gościńców dla dzieci i zapasu dobrego humoru. Jakoś pod koniec pierwszego roku zaraz szkapą jego, pomimo największych starań o nią, zachorowała, a że krwi w porę nie puszczono, zdechła. Było to wielkie strapienie dla Dziadunia, który pochowawszy pocziwe stworzenie z honorami, to jest ze skórą i podkowami, stracił humor zupełnie, dowodząc, że nigdy już sobie drugiego takiego konia dobrać nie potrafi. Pan Hieronim kazał mu zaraz na jeźdźać spokojnego siwosza, i przyzwyczajono go do wózka pana Dymitra, ale stary powtarzał:

— Ej nie to co było! Fedot ale nie tot' <sup>1)</sup>, już mi się mój towarzysz nie wróci, co mój głos rozumiał i wszystkie moje drogi wiedział. Poczem zawsze dodawał z westchnieniem: Rosty psu trawa, koły mojego konia nema <sup>2)</sup>. Wszakże siwosz woził go jeszcze i coraz lepiej lat kilka. Jakoś zimą przywłókł się stary do Horoszek z zaziębieniem i widocznie nie zdrów.

— Źle panie Hieronimie — rzekł na wstępie do niego — nie chciałbym wam przyczynić kłopotu, ale mi widzę czas. Czuję się bardzo czegoś nie dobrze... Skaczy wraże, jak pan każe <sup>3)</sup>, nie ma tu co w bawelnę obwijać: do góry wołają.

— Ale zmiłuj się dziadunin kochany!... nie puszczaj tej myśli.

— Ot, Waśc poszlij po księdza, a sam przyjdź do mnie zaraz, bo to nie żarty — odezwał się stary kładąc się na łóżko — Radab dusza do rajnu, ta hrychi ne puskajut! <sup>4)</sup> Na to nie ma rady, panie Hieronimie. Krnty ne werty, treba umerty! <sup>5)</sup> Posyłaj po księdza, a sam do mnie przychodź.

---

<sup>1)</sup> Teodozy, ale nie ten.

<sup>2)</sup> Rośnij psu trawa, kiedy mojego konia nie ma.

<sup>3)</sup> Skacz wraże, jak pan każe.

<sup>4)</sup> Radaby dusza do rajnu, grzechy nie puszczają.

<sup>5)</sup> Kręc się, wierć, przyjdzie śmierć.



Wielki się stał rozruch w domu; po proboszcza wysłano konie natychmiast, gospodarz przybiegł z żoną do łóżka starego.

— Pop ludęj chowaje, schowajut i popa!<sup>1)</sup> — rzekł wstając trochę stary, którego wesołość nie opuszczała — wielum ja przeżył, ale przyszła i na mnie godzina. Co wy myślicie, dziewięćdziesiąt osiem! dziewięćdziesiąt osiem! Ale uaprzód o interesie, panie Hieronimie.

— Jakiż interes zechcesz nam polecić?

— Oto żebyście nie wzgardzili moją chudą prostacką pozostałością, którą dla waszych dzieci zostawię. Czem chata ma je, tom i prynimaje!<sup>2)</sup> W dębowej szkatulce, która zawsze ze mną jeździła, znajdziecie tam tę odrobinę, tylko słowo twoje panie Hieronimie, że się już dzielić nie będziesz! Kostnusi! — zawołał do rozpłakanej Hieronimowej — niech mi da słowo!

— Ale po cóż to wszystko? — zawołali oboje.

— Ot, po to żebym umarł spokojnie; chcesz mi zatruć ostatnią godzinę! to się nie godzi! Daj Waś rękę.

Hieronim musiał rękę wyciągnąć.

— W hurci i kasza zjstsia!<sup>3)</sup> — dodał padając na łóżko stary — czworo dzieci, nie zaszkodzi i ten grosz co przybędzie; testament mój za rękami i w sądzie, biedy żadnej mieć nie będziecie... Ot zaraz, żeby później kto z zamętu nie korzystał, szkatułkę mi odnieść do pana Hieronima. Mensze na dworci, łeksze hołowi!<sup>4)</sup> — dodał przymusiwszy do posłuszeństwa. Ruszajcie sobie, bo mnie czas z Panem Bogiem się rozmówić, nim ksiądz przyjedzie, do najstarszego Pana, trzeba duszę ubrać w co stanie najlepszego!

Nadjechał ksiądz; wypowiadał się pan Dymitr, zdawało się nawet że mu jest lepiej, spać się położył, wszystkich pożegnawszy i dzieci pobłogosławiwszy, i

<sup>1)</sup> Chowa ksiądz ludzi, schowają i księdza.

<sup>2)</sup> Czem chata bogata tem rada.

<sup>3)</sup> W hurcie i kasza się zje.

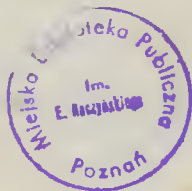
<sup>4)</sup> Mniej na dworze, lżej głowie.

w nocy, spokojniuteńko życie zakończył. Wszyscy, licząc w to oglądłego pana Pawła, rachowali zawsze dziadunia na jakie kilkadziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt tysięcy; testament jego i szkatułka, wskazywały w depozytach po klasztorach, w gotówce przeszło półtorakroć oszczędnością nagromadzonych. Pawłowie, którzy usilnie o pozyskanie sobie starszka starali się, znówu o mało się nie pokłócili z zazdrości, wymawiając jedno drugiemu, że byli powodem niełaski dziadunia. Julji mąż choć delikatnie zarzucał dumę, ona Pawłowi zbyt oczywistą chciwość; kwestja została nierozwiązana, a panna Hiacynta zrećźnie dziwactwu starca tylko, niepojętej ludzkiej głupocie i uprzedzeniu dla pana Hieronima, przypisała wypadek tak niespodziewany.

Pani Tryze wkrótce potem skończyła życie w domu obłąkanych. Jeden Żmura kosztem ją swoim utrzymywał, a ludzie mówili nawet po cichu, że przez pamięć dawnej jakiegś a bliskiej z nią znajomości, ale zdaje się że to były potwarze. Panna Aniela wyszła za mąż do Oloneckiej gubernji; Termiński skończył o torbie i kiju, a Puślikowski, cudem odzyskawszy zapis swój, wynagrodzony przez Hieronima i spadkobierców, gospodaruje na malej części w Polesiu.

Na tem się kończy długa, pospolita powieść nasza, pospolita jak życie, jak ono nauczająca i jak wszelki przykład zapewne na nic nieprzydatna. Przykłady to mają do siebie, że się z nich ludzie budują dopiero po czasie.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.







KSIEGARNIA

ANTYKWARIAT



D N° 261157

Biblioteka Raczyńskich

JIK 1438



JIK1438